





# Zdrowie w Pakiecie

## Ubezpieczenie medyczne do MultiKonta



Dla Klientów MultiBanku w Pakiecie Medycznym „Dbaj o Zdrowie” oferujemy:

- Konsultacje lekarza internisty maksymalnie w ciągu 24 godzin\*
- Konsultacje lekarza specjalisty maksymalnie w ciągu 5 dni\*
- Szeroki zakres badań laboratoryjnych i diagnostycznych
- Nielimitowaną opiekę lekarzy specjalistów w ponad 700 renomowanych placówkach medycznych
- Gwarancję konsultacji u lekarzy specjalistów bez konieczności posiadania skierowania lekarskiego
- Atrakcyjne pakiety medyczne dla członków rodziny

Zapraszamy do placówki lub złożenia wniosku na [www.multibank.pl](http://www.multibank.pl)

Doradca MultiBanku odpowie na Państwa pytania

**MultiBank**

[www.multibank.pl](http://www.multibank.pl) 801 300 000\*\*

Bankowość Detaliczna **BRE BANK SA**



### PRZEKROJ

Założył w roku 1945  
w Krakowie redaktor  
Marian Elle

#### „Przekrój” w sieci:

Brnął przez głęboki, puszysty śnieg. Nogi co chwila zapadały się po same kolana. Nic dziwnego – w końcu obłamane kikuty nart nie spełniały należycie swojej funkcji. Otarł wierzchem dłoni spierzchnięte usta. Wyjął, miotający się wiatr nie pozwalał nabrać głębiej powietrza i wyciskał tży. W popękanych ramkach gogli została może z jedna czwarta szkielec. Zaciśnął na moment powieki, zadrżał i ruszył dalej. W myślach błogostawił papier – spodnie sięgające ledwie do ćwierć tydki dawały lichą ochronę przed ziąbem, ale stare gazety przywiązane sznurkiem do nóg doskonale izolowały. Popchnięty kolejnym podmuchem wiatru przyspieszył, bo wkrótce musiał znaleźć schronienie – w końcu w plecaku została ledwie ćwiartka kanapki. Gdy następnego dnia ustała śnieżycy, na horyzoncie pojawiła się niebieska poświata, cień na granicy widzialności. Ale samotnemu wędrowcowi nie trzeba było niczego więcej. Nagle ćwiartki nart i obłamane kijki przestały przeszkadzać, mężczyzna niemal biegł. Z każdym krokiem mglisty błękit twardniał, zamieniając się w gigantyczne litery. Nim zapadł zmrok, mężczyzna stanął przed wielkim niebieskim napisem [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl). Był uratowany.



Też wielki, też niebieski, też budzi nadzieję.



Znowu błękit. O co tu chodzi?  
[twitter.com/przekroj\\_pl](http://twitter.com/przekroj_pl)



Blip. Blip. Blip. Dźwięk kijków wbijanych w śnieg.  
[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl)

Skargi i zażalenia:  
[redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

W SZPONACH UMIARKOWANEJ NADZIEI NIE PISZEMY...

...że wydany pod sztandarem browaru album „Męskie granie” otrzymał nominację do Fryderyka w kategorii muzyki alternatywnej. Bo doskonale rozumiemy, że muzykuje się dla chwały możnego sponsora – zwłaszcza w sytuacji bezalternatywnej – ale nazywanie tego alternatywą zdaje nam się rockandrollowym szwindlem w czystej, bezalternatywnej postaci.

...że odkąd najmłodszym sportem stało się produkowanie

elaboratów o tym, że minęła moda na PO, co przynieść ma niezwykle przełomowe wydarzenia, ukradkiem ziewamy i zachodzimy w głowę, co też: a) platformersi hecnego wymyślą, by na powrót stać się pierwszymi modnisiemi RP; b) kiedy wyborcy zaczną kierować się rozumem, a nie jakąkolwiek bądź modą.

...że coraz modniejszy i zaufania godzien staje się podobno Grzegorz Napieralski, co sprawia, iż nasze zaufanie nie tylko

do mody, ale i do zaufania samego dramatycznie spada na dno wesolutki (jak przyszły wicepremier od czegokolwiek bądź) rozpaczy.

...że i na dzień źle się dzieje, albowiem mędrzy z amerykańskiej Narodowej Administracji Oceanu i Atmosfery wyprorokowali, że rafy koralowe dotrwią do 2050 roku, a potem mogą kipnąć. Bo przecież od dawna wiemy, że czeka nas marność, a najlepiej – jak chciał pewien klasyk współczesności – żeby w ogóle niczego nie było.

...że skoro na razie coś tu i tam jednak jest, z braku wyraźniej lepszych pomysłów uznajemy to za umiarkowany sukces i nucąc hymn naszej najulubieńszej partii politycznej – Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa): „Nas żadna burza nie zaskoczy, nie spęta drut więziennych krat, umiarkowany postęp kroczy zwyciężym marszem poprzez świat!” – wkraczamy w zgola nieumiarkowaną przyszłość.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

TVP przerywa w nocy emisję, a konkurencja? Konkurencja nie śpi



## W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju” Marka Zajęca i Orbita „Przekroju” Jarosława Makowskiego
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

## PRZED WSZYSTKIM

- 10 Prostyuują się kobiety, prostytuują się mężczyźni. Niby nic nowego, ale skala jest zadziwiająca. Już co piąty student w Polsce uprawia nierząd. Anna Szulc i Agata Jankowska sprawdziły dlaczego
- 14 Kadafi jeszcze trwa. Co będzie z Libią, gdy upadnie – zastanawia się Rafał Kostrzyński
- 16 Plagiatorzy żyją dłużej? To oczywiście przesada. Ale często jest im lepiej niż reszcie, i to mimo wykrycia przestępstwa. Joanna Woźniczko-Czczott o przygodzie ministra obrony Niemiec
- 18 Andrzej Lepper wraca. Spokojnie – na razie do biznesu. Kierunki ekspansji: Maroko, Jordania, Emiraty Arabskie, Irak, Chiny, Białoruś. Wszystkie kontakty byłego lidera Samoobrony tropi Donat Szyller
- 20 Wygrać talent-show chcą nie tylko ci, którzy mają dość talentu, ale też ci, którzy mają dość swojego życia. Ilu ich jest? Na castingi do „X-Factor” i „Must be the Music” przyszło kilkadziesiąt tysięcy osób. Z tłumu co ciekawszych wyławiła Małgorzata Świąchowicz
- 24 Krótko

## ROZMOWA PRZEKROJU

- 26 Piotr Kaczkowski po kilkunastomiesięcznej przerwie wraca do radia. Grzegorzowi Miecugowowi wyznaje, że boi się bardziej niż za pierwszym razem

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 Jak przyciągnąć do nauki tych, którym kojarzy się ona z drętowymi gadkami? Wie to Olga Woźniak

## OD AUTORÓW



### Agata Jankowska

Jeśli znasz pięciu studentów, możesz mniemać, że jeden z nich czerpie zyski z prostytucji. Nie wierzysz? Najnowsze badania socjologa Jacka Kurzępy (s. 10) dowodzą, że źródłem dochodu kwiatu polskiej inteligencji – zaraz po kieszonkowym od rodziców – są właśnie usługi seksualne. Z Anną Szulc próbujemy dotrzeć do źródła zjawiska i odkryć, co kieruje studentami – potrzeba zarobku czy rozbuchana seksualność.



### Rafał Kostrzyński

Strasznie fajna rewolucja – przekonuje mnie znany bliskowschodni ekspert Yigal Carmon, gdy pytam go o to, co tak właściwie dzieje się w Libii. Pewnie, że fajna, bo chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie życzy już powodzenia pułkownikowi Kadafiemu. Na naszych oczach kończy jeden z najdłuższych rządzących satrapów. Bardzo brzydko kończy. Teraz trzeba poszukać kogoś, kto ładnie po nim zacznie. Będzie trudno. Więcej na s. 14.



### Małgorzata Świąchowicz

Dlaczego gość z planety Zetaretiki 4 koniecznie chce wystąpić w ziemskiej telewizji? A facet, który jeździ walcem drogowym? Dlaczego – zamiast walcować – chce śpiewać, i to od razu na całą Polskę? To pytania, które tłukły mi się w głowie, odkąd zobaczyłam precastingi do nowych programów typu talent-show. Pewnie zostałabym z potłuczoną głową, gdyby nie facha chowa pomoc psychologiczną. Też możesz skorzystać – s. 20.

- 33 Żebyś wiedział, co szykuje na Ciebie Apple
- 34 Wielka muzyka powstaje dziś w małych urządzeniach. Mariusz Herma o tym, jak łatwo nagrać płytę
- 36 Korzystaj
- 38 DODATEK PRZEKRÓJ ZNAJ WILII

## KONIEC Z KULTURĄ

- 46 Być jak John Malkovich? To już było. My szukamy kogoś, kto chciałby być jak Lech Wałęsa. Aktorów o ich wizję roli byłego prezydenta pytały Karolina Pasternak i Anna Jastrzębska
- 49 Komiks za sprawą TVN trafił pod strzechy. Szkoda, że akurat z tej historii nikt nie chciał nic zrozumieć – twierdzi Sebastian Frąckiewicz
- 50 Poznajcie Josha Brolina – namawia Karolina Pasternak
- 52 Małgorzata Sadowska o słabościach tegorocznego Berlinale
- 54 Lektura: Tadeusz Nyczek pyta Stanisława Radwana o absolutny brak ambicji

## OTWÓRZ OCZY

- 58 Nie wiadomo, czy Jerzy Nowosielski jest w prawdziwym niebie. Ale w niebie malarzy i filozofów na pewno. Zmarłego w zeszłym tygodniu artystę wspomina Tadeusz Nyczek

## RECENZJE

- 64 Muzyka: Herma z umiarkowanym entuzjazmem o Radiohead
- 65 Film: Oleszczyk zachwyca się „Fighterem”
- 66 Książki: Sendeki pada plackiem przed Rothem
- 67 Sztuka: Szablowski z dystansem o zwariowanych nauczycielach

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 Kroniki popkultury Orbitowskiego
  - 68 Rozmaitości z krzyżówką i jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
  - 72 Stopklatka
  - 73 Dziennik Jerzego Pilcha
- 3, 24, 74 Raczkowski



Ilustracja na okładce: Mateusz Kolek [mateuszkolek.com](http://mateuszkolek.com)

## PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, [www.ruch.pol.pl](http://www.ruch.pol.pl)



ADRES REDAKCJI:  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,  
[www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)  
e-mail: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)  
lub [imie.nazwisko@przekroj.pl](mailto:imie.nazwisko@przekroj.pl)

REDAKTOR NACZELNA:  
Katarzyna Janowska  
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:  
Marek Zajęca  
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
SEKRETARZE REDAKCJI:  
Magda Gędziorowska, Piotr Witek  
SEKRETARIAT:  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33  
PRZED WSZYSTKIM:  
wydarzenia@przekroj.pl,  
Paweł Więczorek (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz,  
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,  
Anna Szulc, Donat Szyller,  
Małgorzata Świąchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczott;  
stałe współpracują: Agata Jankowska,  
Marcelina Szumer  
CYWILIZACJA OD ŚRODKA:  
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid Chehab,  
Olaf Szewczyk; stałe współpracują:  
Irena Cieślińska, Urszula Dąbrowska,  
Piotr Kossobudzki  
KONIEC Z KULTURĄ:  
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),  
Marcin Sendeki (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,  
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski  
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;  
stałe współpracują: Kaliber 45  
PRACOWNIA GRAFICZNA:  
Władysław Buchner (wicedyr. art.),  
Agnieszka Kwiatkowska,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski  
FOTODYSCY:  
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),  
Marek Szczepański; stałe współpracują:  
Anna Bajorek  
KOREKTA:  
Dorota Dul, Tatiana Hardej  
PROJEKT GRAFICZNY:  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
STRONA INTERNETOWA:  
Marcin Cichoński  
ARCHIWUM: Dominika Bok  
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

WYDAWCA:  
Grzegorz Hajdarowicz  
PREZES WYDAWNICTWA:  
Jan Godtowski  
DYREKTOR WYDAWNICTWA:  
Sławomir Mokrzycki  
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:  
Artur Rumianek  
PROMOCJA I MARKETING:  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremeczka (szef),  
Jakub Maszkowski  
BIURO REKLAMY:  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Makowski, p.o. dyrektora biura reklamy, 695 414 905, Małgorzata Skorupa 601 432 821, Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń 501 227 979, Eliza Zyromska 785 855 886  
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:  
Elżbieta Maciążek  
DRUK: RR Donnelley

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:  
Grzegorz Hajdarowicz  
PREZES WYDAWNICTWA:  
Jan Godtowski  
DYREKTOR WYDAWNICTWA:  
Sławomir Mokrzycki  
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:  
Artur Rumianek  
PROMOCJA I MARKETING:  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremeczka (szef),  
Jakub Maszkowski  
BIURO REKLAMY:  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Makowski, p.o. dyrektora biura reklamy, 695 414 905, Małgorzata Skorupa 601 432 821, Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń 501 227 979, Eliza Zyromska 785 855 886  
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:  
Elżbieta Maciążek  
DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótoów w nadesłanych artykułach i listach.



## Internet od 15 zł w ofercie All Inclusive.

Łącz się ze wszystkimi, kiedy tylko chcesz!

Teraz masz nielimitowany dostęp do portali społecznościowych, m.in. do Facebooka i NK. Możesz też korzystać z Internetu w nocy bez ograniczeń, a modem 4G masz już za 1 zł.

Chcesz wypróbować nową ofertę? Przetestuj ją bez ryzyka przez 7 dni! Dołącz do znajomych w sieci!

[www.playmobile.pl](http://www.playmobile.pl)

Najszybciej rozwijająca się sieć w Polsce.



# PLAY

# Online

Nielimitowany dostęp dotyczy wyłącznie elementów własnych portali (usługa niedostępna w Play Online 15 na godziny i przy rozliczaniu minutowym). Nocny Transfer (godz. 24:00 - 9:00) nie jest dostępny w Play Online 15. W Play Online 69 i 99 dostępny za 0 zł. Po wykorzystaniu limitu danych w abonamencie prędkość transferu zostaje istotnie ograniczona. Modemy oznaczone jako „4G” działają w sieciach UMTS 900 i 2100 MHz wykorzystując technologię HSPA+ i niższe, dostępne za 1 zł w wybranych taryfach. Zasięg usługi ograniczony. Szczegóły oferty i mapka zasięgu na [www.playmobile.pl](http://www.playmobile.pl)





## ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

MAREK ZAJĄC  
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ

### Czyja zasługa większa?

**D**obry pan ze wszech miar August III był tak nieszczęśliwy, że za jego panowania trzydziestoletniego żaden sejm nie doszedł – bolał imć Kitowicz w „Opisie obyczajów”. „Lada poseł ciemny jak noc” zrywał tedy obrady z byle przyczyny: „Takie tamowania *activitatis* całej izbie często się zdarzały; nawet gdy poseł, mówiący nieostrożnie, jakie słowo przeciw drugiemu urażliwe powiedział, urażony natychmiast mścił się na całej izbie. Więc schodzili się do niego tam, gdzie on siedział, marszałek, posłowie, a na czas i delegowani z senatu, prosząc o przywrócenie *activitatis*; dopiero ten nadąsawszy się i nasapawszy do woli, nasycony prośbami i ukłonami, wracał *activitatem*”.

Dziś owe liberum veto, ową *pupilla libertatis*, to jest źrenicę wolności, że łba demokracji wycięto i Sejmu zerwać już nie idzie, bo i konstytucja nasza nie dozwala. Wszelako można tamować *activitatis*, to znaczy swobodną debatę, którą nieraz urządzi się po owym *miraculum*, czyli po ruchomych obrazach kinematografią zwanych. Taka oto płochosć nieszczęsna zapanowała bowiem w izbie poselskiej Anno Domini 2011.

...

Ryszard Terlecki niejaki, poseł krakowski, po owym ruchomym obrazie „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł” w Sejmie przedstawianym z ławy się zerwał i rzekł, że z owymi, co Platformę w sercu mają i Królowi Jegomości Bronisławowi spotkania z jenerałem Jaruzelskim nie wyrzucają, debatować o kinematografii i historii nie będzie. Koncypował zaś tak: podług prawa boskiego i ludzkiego sługa za występki pana przecie odpowiada, więc i grzech Króla Jegomości Bronisława całą Platformę kała. Natenczas poplecznicy Terleckiego izbę poselską z okrzykiem wielkim opuścili. Tumult powstał, a inny poseł krakowski, ale z Platformy się wywodzący, imć Jerzy Fedorowicz, z trupą komediantów niegdys Rzplita przemierzający, dupkami ponoć wychodzących nazwał. Na owo *dictum* usłyszał, że w grudniu roku pańskiego 1970 ojczyzny w potrzebie wcale nie wspierał. Uniósł się na to Fedorowicz honorem i zaprzysiągł, że młodym jeszcze komediantem, choć już nie pacholęciem, będąc, w Szczecinie był i widział, jak komitet PZPR gore. Ale i Terlecki Ryszard jeszcze mu się odgryzł, że w onym roku to na Montelupich za ojczyzną miłą siedział, więc czyja zasługa w oczach ludzi, Najświętszego Salwatora i Świętej Panienki większa?

Bogu jeno dziękować, że straż sejmowa szabel wnosić nie pozwala, boby na onych szablach niejednego posła w tamten dzień roznieśli. Choć może, koniec końców, jakiś pożytek by z tego biedna Rzeczpospolita odniosła.



## ORBITA PRZEKROJU

JAROSŁAW MAKOWSKI

### Plebsu wyścig szczurów

**N**eoliberalowie żywią przekonanie, że państwo to rak, którego należy wypalić gorącym żelazem. Wierzą, że prywatne jest lepsze niż państwowe. Konkurencja jest lepsza niż solidarność. Jednak państwo czasami im się przydaje – jako narzędzie przemocy. I wtedy jest cool. Gdy wbrew ludziom aplikuje wolnorynkowe reguły. Politykiem i ekonomistą, który nie lubi państwa, ale domaga się, by go użyto, chroniąc niewydolne OPE, jest Leszek Balcerowicz. Wtórują mu tacy ludzie jak Jerzy Hausner czy Dariusz Rosati. Czyż to nie dziwne, że owych mężów dzieli przynależność partyjna, ale neoliberalne credo jest każdemu z nich bliższe niż ciało koszula?

Neoliberalowie kapitalistyczne reguły lekką ręką narzucają innym. Gotowi są nakładać ciężary na barki ludzi, ale sami nie za bardzo chcą je dźwigać. Zgoda: Balcerowicz, Hausner czy Rosati, którzy dzięki państwu zrobili swoje kariery, dadzą sobie radę na wolnym rynku. Sęk w tym, że ich frazesy o dobrodziejstwach wolnego rynku na każdej płaszczyźnie powiela cała rzesza ślepych wyznawców: polityków, urzędników i ludzi pełniących swe funkcje z nadania partyjnego. Wszyscy oni piszą lub wygłaszają poematy prozą ku czci kapitalizmu. Domagają się, by jego „błogosławionym” regułom poddał się plebs, ale sami niemal przyspawali się do państwowych stanowisk. Może dziwić zatem, że „państwowi neoliberalowie” z takim oburzeniem reagują na rządowe plany redukcji kadry urzędniczej. Są profesjonalistami, ich wartość rynkowa nie podlega dyskusji, a na konkurencyjnym rynku pracy i idei powinni czuć się jak ryby w wodzie. Wolny rynek czeka na ich inicjatywę, pomysły, przebojowość... To dla takich ludzi jak oni został stworzony. Tyle że przyzwoite społeczeństwo potrzebuje skutecznego państwa, by móc zadbać o tych najsłabszych. A nie tylko wciąż im powtarzać: „Idźcie sobie do diabła”. Albo: „Macie wolny rynek, radźcie sobie sami”. Twórcza polityka koncentruje się na szukaniu mechanizmów i budowaniu instytucji mających zasypywać nierówności. Jeśli chcesz dobrobytu, czyni sprawiedliwość. Dla neoliberalów skuteczna polityka polega na tym, że gdy nie działa państwowa spółka czy szpital, należy szybko je sprzedać. I wtedy będzie święty spokój. Cóż nam jednak po politykach, którzy potrafią tylko handlować? I to nie swoim. Cóż po politykach, którzy jak mantrę powtarzają, że brak pracy jest zawsze wynikiem ludzkiego lenistwa, a nie złej polityki społecznej?

I na koniec moralna przestroga, którą ukuł pastor William Sloane Coffin jr. w królestwie kapitalizmu – Ameryce. Do kończących studia żaków z Yale powiedział: „Pamiętajcie, że nawet jeśli wygracie wyścig szczurów, to wciąż będziecie szczurami”.

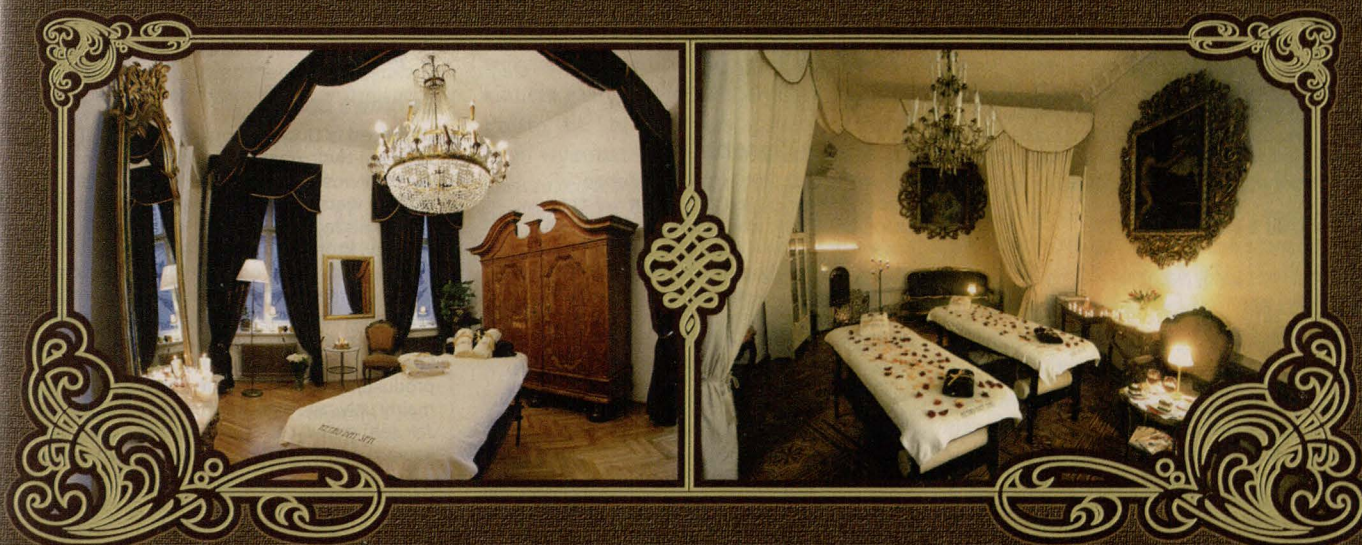
• Autor jest szefem Instytutu Obywatelskiego



Salon zaprasza na:

- aromaterapeutyczne masaże relaksacyjne
- masaże prawdziwą ciepłą czekoladą
- odżywcze masaże płynnym miodem
- rytualne masaże świecą
- naturalne peelings, rytuały
- świecowanie uszu
- gamę zabiegów na twarz i ciało
- zabiegi dla Dwojga

Zapraszamy do wykupienia zaproszenia do Salonu, jako prezentu dla bliskiej osoby.



RETRO DAY SPA

Al.Ujazdowskie 18/11, 00-478 Warszawa  
tel. 22 622 03 69, tel.kom. 0 509 947 477  
biuro@retrodayspa.pl, www.retrodayspa.pl





Kulturalnie polecamy



Natalia Lach-Lachowicz to jedna z bohaterek wystawy „TRZY KOBIECY” W WARSZAWSKIEJ ZACHĘCIE

WTOREK 1 MARCA

Kobiety trzy

Maria Pinińska-Bereś, Natalia Lach-Lachowicz i Ewa Partum – ich prace, często ironicznie nawiązujące do feministycznych dzieł z lat 70., zobaczcie na wystawie, której tytuł pochodzi od filmu Roberta Altmana „Trzy kobiety” (1977). Wcześniej zainspirował on inne trzy kobiety (Annę Bednarczuk, Izabellę Gustowską i Krystynę Piotrowską), które w 1978 roku w poznańskim Arsenale urządziły wystawę uważaną za pierwszą manifestację sztuki kobiet w Polsce. Panie i panowie, nie może was tu zabraknąć.

Warszawa, do 8 maja, Zachęta

ŚRODA 2 MARCA

Ameryka nad Odrą

47. odsłonę wrocławskiego festiwalu Jazz nad Odrą zdominują Amerykanie: wokalo-fortepianowy duet Randy Crawford-Joe Sample, słynny saksofonista Joe Lovano, klarncista z Detroit Bennie Maupin oraz jeden z najbardziej obiecujących trębaczy młodego pokolenia Christian Scott. Europę będzie reprezentował unikatowa formacja European Jazz Ensemble, w której obok muzyków z Niemiec, Anglii czy Francji gra nasz trębacz Piotr Wojtasik. A już stuprocentowo polski będzie projekt

Leszka Możdżera i Krzesimira Dębskiego. Clou festiwalu jest wyścig o miano indywidualności jazzowej roku. Tym razem wśród kandydatów są soliści, zespoły, a nawet... 17-osobowy chór.

Wrocław, do 6 marca, CS Impart, Synagoga pod Białym Bocianem, galeria Na Dole, więcej na [www.jazznadodra.pl](http://www.jazznadodra.pl)

CZWARTEK 3 MARCA

Hipnoza w Hipnozie

Katowicki Jazz Club Hipnoza świętuje dziesięciolecie istnienia. Zamiast wystrzałów szampa usłyszymy jeden z najcichszych zespołów świata – choć gra w nim aż dwóch perkusistów. Szkocka Hidden Orchestra brzmieniowo spokrewniona jest z The Cinematic Orchestra oraz romantyczną muzyką filmową. Elektroniczne sample nastrojają, dźwięki wiolonczieli i klawiszy wzruszają, a pętle basu – hipnotyzują.

Katowice, Jazz Club Hipnoza, godzina 20

PIĄTEK 4 MARCA

Burza nieklamana

„Linie syntezatorów gną się złowieszczco, a bębny grzmią niczym pioruny na tle tubalnych ryków

wokalisty” – pisał brytyjski „Guardian” po jednym z koncertów White Lies. W nas mieszane uczucia wzbudziła wydana w styczniu ich nowa płyta „Ritual”, ale rock zawsze lepiej sprawdza się w okolicznościach rockowych. Może więc warto zaryzykować? Największą szansę na satysfakcję mają fani Joy Division, Interpol czy Editors.

Poznań, 4 marca, Eskulap, godzina 20  
Warszawa, 5 marca, Stodoła, godzina 20

Gdyby Banksy był Polakiem...

...być może nazywałby się Jola Kudela? Jej prace warszawiacy mogą pamiętać z projektu „Otwarta pracownia wizytująca – znaki miasta”, podczas którego na Pradze zaprezentowała 10 grafik wzorowanych na arcydziełach renesansowych. Na wystawie przedaukcyjnej „Urban Art” prezentującej przekrój polskiego street artu zobaczcie też innych rodzimych streetartowców o międzynarodowej sławie, takich jak Zbiok czy M-City. To pierwsza taka ekspozycja w Polsce!

Warszawa, do 15 marca, galeria Senatorska

Bardzo przyjemny festiwal

Podczas tegorocznej edycji Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych będziemy badać rzeczywistość współczesnego teatru. Zobaczymy więc sztuki Jana Klaty („Kazimierz i Karolina” Horvátha oraz „Utwór o matce i ojczyźnie” Keff), Mai Kleczewskiej („Babel” Jelinek) czy Anny Augustynowicz („Migrena” Grzegorzewskiej). W tym tygodniu okazja dla tych, którzy nie widzieli jeszcze „Naszej klasy” Tadeusza Słobodzianka w reżyserii Andrzeja Spiśki. Będzie przyjemnie? A czy w teatrze zawsze musi być przyjemnie?

Łódź, do 6 kwietnia, Teatr Powszechny, więcej na [www.powszechny.pl](http://www.powszechny.pl)

SOBOTA 5 MARCA

Że głowa boli

„My Head Is Dubby to oparty na audycji radiowej twór zrzyszający miłośników niskich częstotliwości. Narzędziem ich pracy jest winyl, a warsztatem obowiązkowo ciemna sala” – piszą organizatorzy wrocławskiej imprezy, która odkrywała dla Polaków dubstep. Podczas marcowej odsłony MHID będziemy krążyć pomiędzy trzema parkietami. Zwracamy uwagę na scenę dubstepową, której gwiazdy sprowadzono z Londynu. To 25-letni Pangaea i bardziej doświadczony Untold. Ten drugi produkuje już od 18 lat, ale dopiero w tym roku mamy usłyszeć jego pełnometrażowy debiut. Jak sam mówi, chce robić „szczerze, oryginalne kawałki, które ludzie pokochają lub znienawidzą”.

Wrocław, Browar, godzina 21

Kalifornijski bit

La-Gdańsk Coast2Coast? Już tłumaczymy. Za tym karkołomnym tytułem ukrywa się nadmorski

cykl imprez prezentujących nową muzykę elektroniczną z Los Angeles. Pod koniec marca gośćmi gdańskiego klubu Żak będą Take oraz Free the Robots. A już w najbliższy piątek polskie wybrzeże nagłośnia Teebs i Jeremiah Jae. Tego pierwszego ze sztuk wizualnych na muzykę nawracał sam Flying Lotus, gdy jeszcze pomieszkiwali w jednym apartamencie. I to właśnie w wytwórni Lotusa Teebs zadebiutował wspaniałym albumem „Ardour”. W barwach tej samej oficyny ma się wkrótce ukazać pierwszy solowy album Jeremiah Jae. Zobaczymy, co pokażą.

Gdańsk, klub Żak, godzina 21

NIEDZIELA 6 MARCA

Kolory Hałasu...

...a raczej Hałasa (Józefa) zobaczcie podczas wystawy „Gwasze”. Ekspozycja dzieł nestora polskiego malarstwa to okazja, by przyjrzeć się ostatniej dekadzie twórczości artysty związanego z Wrocławiem, którego dokonania porównywane są często do fantazji poetyckich Paula Klee. Eksperymenty z podłożem obrazu plus kolorystyczna maestria, czyli Hałas w skosach i pionach przed wami.

Wrocław, do 15 kwietnia, galeria Platon

PONIEDZIAŁEK 7 MARCA

Kręcąc z Idziakiem

Już teraz warto zaplanować sobie wyjazd na Plenery Film Spring Open, bo do imprezy zostało tylko 19 dni. Odbędzie się ona w Przegorzałach pod Krakowem. Między 26 marca a 7 kwietnia, dyskutując o przyszłości kina pod opieką inicjatora wydarzenia Sławomira Idziaka i innych profesjonalistów, zrealizujecie własną etiudę. Finałem warsztatów będzie pokaz waszych dzieł podczas festiwalu Off Plus Camera, który startuje tuż po Plenerach. Zostało mało czasu, więc lepiej szybko się zarejestrować!

więcej na [www.filmspringopen.eu](http://www.filmspringopen.eu)



Na kanapie

Co zrobić z wygraną w totka? Pomysł podrzuca Andrzej Kondratiuk we „Wniebo-wziętych”, gdzie dwójka utracjuszy (Zdzisław Maklakiewicz i Jan Himilsbach) przepuszcza nagrodę na lata- nie LOT-em po kraju. Drugi film z boku jest o niemocy. W „Jak to się robi” ci sami aktorzy grają reżysera i pisarza próbujących na-



Andrzej Kondratiuk, zestaw trzech filmów, Wydawnictwo Kino Polska, 89,99 zł

Zombi a sprawa polska

Czy będzie „Bulletstorm” na „Dead Island”?



ŁUKASZ ORBITOWSKI

Polska potęgą jest i basta. Dokonała się premiera „Bulletstorm”, wysokobudżetowej gry akcji obliczonej na barwne rozwalanie przeciwników, a wykonanej u nas za pieniądze międzynarodowego giganta. Trailer do „Dead Island” ekipy wrocławskiego Techlandu obejrzało zaś prawie trzy miliony internautów, rozpoczynając żywą dyskusję o graniu – ale na emocjach.

Serwis Kotaku pisał o „najbardziej łamiącym serca trailerze do gry o zombi”, dziennikarz „Guardiana” określił film mianem „niezwykle wzruszającego i emocjonalnego doświadczenia”, by zaraz spytać, czy tak na pewno można. O co chodzi? Oczywiście o żywe trupy w słonecznej scenarii kurortu. W trailerze ojciec ratuje córeczkę przed bandą nieumarłych, zarażona dziewczynka w gryza się w tatusia i wypada przez okno, kamera gaśnie na jej szklanym spojrzeniu. Proste, ale i znaczące za sprawą niebanalnego wykonania. Film puszczone od tyłu – wiem, co się stało, dowiaduję się jak. Plus perfekcyjny montaż i doskonały dźwięk.

Oczywiście rodzinka skonsumowana przez zombi córkę pojawiła się już w „Nocy żywych trupów” (1968), filmie, który – wykastrowawszy gotycyzmy – wpuścił grozę w naszą powszedniość. Techland powtarza to rozwiązanie, dopomina się o dojrzałość, rozumiejąc, że gra oferuje coś, czego kino nie potrafi, czyli możliwość uczestniczenia, nieraz kolektywnego, w fikcyjnych światach znanych skądinąd. Ja jestem, ja uciekam, ja mogę zostać zjedzony.

Pracując lata temu w Bostonie, pilnie tropiłem ślady polskich wspaniałości, wyłączyw-

szy jedynie samego siebie w tak zwanych butach kontraktorkach i łachach ufurmanionych pyłem oraz farbą. Znalazłem zdjęcia z Wałęsą w niektórych knajpach, pomnik Pułaskiego, zasmarkane flagi nad Klubem Weterana oraz grę „Painkiller” ustawioną na premiowanych miejscach w supermarketach, jakby wykonano ją nie w Warszawie, lecz w Kalifornii. Potem sukces odniósł „Wiedźmin”, co ze względu na granie klimatem Słowiańszczyzny wygenerowanym z wąsatej wyobraźni Sapkowskiego cieszy tym bardziej. Nie zawojowaliśmy świata filmem: Polański był Amerykaninem z ducha, nawet gdy kręcił „Nóż w wodzie”, kino współczesne zaś przepada sromotnie w oscarowych przedbiegach. Z muzyką jest podobnie – nawet niezły skądinąd Behe-moth kołocz się gdzieś w rogatym ognie bluźnierczej ekstraklasy. Trudno wciąż stwierdzić, czy „Dead Island” i „Bulletstorm” odniosą komercyjny sukces, ale już zdążyły się zapisać w globalnej świadomości. Jesteśmy dobrzy w branży stosunkowo młodej, niesłusznie pogardzanej, za to rozwijającej się szybciej niż blitzkrieg.

Fakt, pieniędzy dostarczyły zachodnie koncerty, świadome tego, że pracownik w Polsce, Czechach i na Ukrainie potyra ofiarniej za mniej i jeszcze będzie się cieszył. Co z tego? Młody twórca wciąż cieszący się statusem entuzjasty zyskuje możliwość pracy kreatywnej, by nie rzec: artystycznej, zarazem wolnej od uwikłań i koneksji ciągnących nad kinem oraz sztukami plastycznymi. Do tej naiwności dorzucam kolejną. Polska od zawsze kłopotce się wtuleniem zgniłemu światu własnej kultury i wydarzeń historycznych. Amerykanów programowo nie obchodzą nasi wieszce i nasze walki narodowowyzwoleńcze, gry za to i owszem, co stwarza nową szansę. Hipotetyczna strzelanina w realiach powstania warszawskiego to materiał na hicior o walorach edukacyjnych. Można i dalej. Oto gracz niczym Król-Duch od Słowackiego furga przez epoki historyczne: walczy pod Grunwaldem, wyzwała Wiedeń, pierze Sowietów nad Wisłą i skacze przez plot Stoczni Gdańskiej. Konieczne są uproszczenia i weryfikacja wcześniejszych stanowisk. Wszystko w służbie digitalizacji mitu.





# Student daje ciała

Sponsorzy lubią stosunki międzynarodowe. Sponsorki zaś rekreację i turystykę. Warunek konieczny – ci sponsorowani muszą mieć indeks wyższej uczelni. To gwarantuje tani i schludny seks zakończony czasem konwersacją o teatrze. Krainę uniwersytetu penetrują dziś tysiące studentów

TEKST AGATA JANKOWSKA, ANNA SZULC  
ILUSTRACJA ŁUKASZ POŚLAD / STUDIOILUSTRACJI.COM

**D**arek wymiotuje średnio dwa razy w tygodniu, najczęściej nad ranem, po wyjściu sponsora. Po prostu tak ma, nie zastanawia się dlaczego. W każdym razie od pewnego czasu traci na wadze. Ostatnio ten 21-letni syn szkolnej higienistki rodem z Pszczyny w ogłoszeniu zamieszczonym w jednym z wielu portali poświęconych tak zwanemu sponsoringowi (poszukuje kolejnego mecenasa, chciałby zwiedzić całą Europę) napisał, że jest drobnej postury. Przy wzroście 170 centymetrów waży zaledwie 59 kilogramów. Napisał również, że lubi anal, a jeszcze bardziej oral, że swojemu dobrodziejowi zrobi ustami według jego upodobań: – Mogę to robić szybko lub wolno, w skórze albo owinięty boą.

No i oczywiście zapewnił też, że studiuje. Filologię angielską na jednym z krakowskich uniwersytetów. Wie, że to haczyk na sponsora. Bo często, choć nie zawsze, mecenasa interesuje nie tylko seks bez ograniczeń, ale także dyskusja o Szekspirze.

Darek wie dużo więcej. Ile można zarobić na kasie w sklepie, a ile za numer w gejowskim klubie, do którego trafiają bogaci biznesmeni i gwiazdy estrady. Więc za jeden numer Darek może opłacić czynsz za mieszkanie.

Co ciekawe, wcale nie jest pewien, czy jest gejem.

– Nie mam pojęcia, czy wolę chłopców, czy dziewczynki – wzrusza ramionami. – Chyba nie płęć jest ważna, ale zasobność portfela.

O tym doskonale wiedzą jego dwaj koledzy z uczelni, z którymi wynajmuje niewielki domek na przedmieściach Krakowa. Cała trójka to męskie prostytutki. Z tym że w przeciwieństwie do Darka jego współlokatorzy oddają swoje ciała – tu cytat – „nie starym, bogatym parówom, ale starym rurom”, czyli poszukującym wrażeń i towarzystwa paniom po czterdziestce. To studenci żigolacy. W odróżnieniu od Darka muskularni i wysocy. Ale też jak on elokwentni.

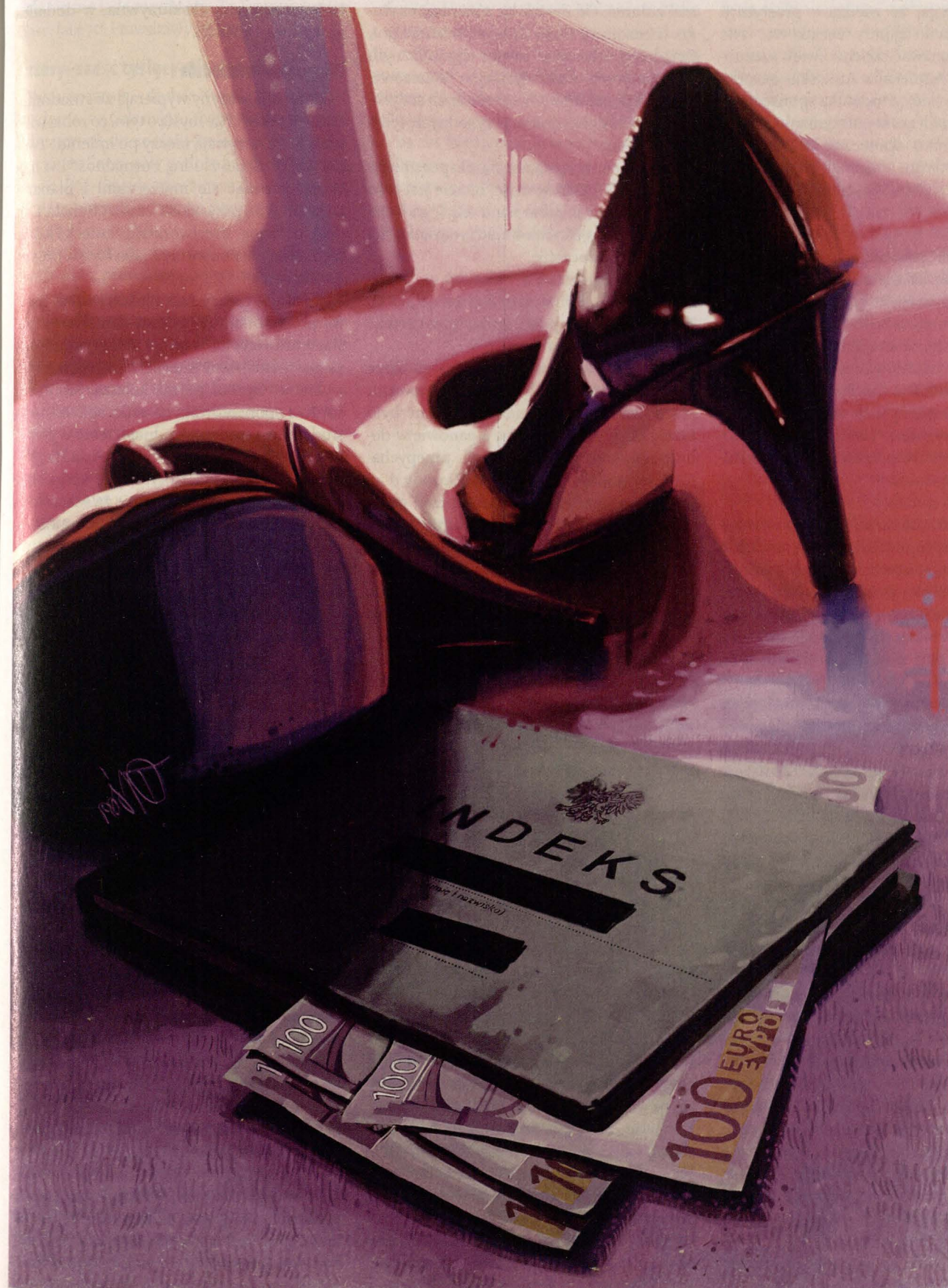
## Ambitny humanista poszukiwany

Może nie dziwić, że inspirujących dialogów o sztuce i literaturze – oprócz równie inspirującej urody i seksapilu – domagał się w swoim anonsie („Szukam studentek do seksu”) wykładowca akademicki z Warszawy. Za usługi oferował „konkretną kasę”. Ale po co studentka biznesmenowi po pięćdziesiątce z Płocka (branża samochodowa), który w Internecie do dziś poszukuje „ponętnej słuchaczki uniwersytetu, najchętniej na dwóch fakultetach”? Po co właścicielce firmy kosmetycznej w nieokreślonym wieku „ambitny student humanista”, którego hojnie wynagrodzi w zamian za upojne noce w śródziemnomorskich hotelikach?

– Student to nie sprzedawca z hipermarketu, dodaje klientowi prestiżu. Z reguły oznacza też dla niego gwarancję, że będzie uprawiał seks z osobą kulturalną, obytą i schludną – wyjaśnia w rozmowie z „Przekrojem” profesor Jacek Kurzępa, socjolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, który w latach 2009–2010 przeprowadził badania na temat prostytucji wśród studentów siedmiu polskich uczelni. W sondażu wzięło udział 760 osób obojga płci z całej Polski. Profesorowi Kurzępie i jego współpracownikom (w tym również studentom) udało się dotrzeć do 78 prostytutek płci żeńskiej i 74 prostytuujących się młodzieńców, którzy oferowali swoje usługi po wykładach.

Wyniki swoich analiz na temat rynku usług seksualnych wśród studentów socjolog z SWPS w pełni ujawni dopiero wiosną. Wtedy bowiem w księgarniach pojawi się jego nowa książka „Młodzi, piękne i niedrody. Młodość w objęciach seksbiznesu”. Już dziś jednak profesor Kurzępa wyjątkowo zgodził się podzielić z „Przekrojem” częścią swoich wniosków. – A wnioski są chwilami szokujące – przyznaje socjolog. – Mamy do czynienia z prężnie działającym systemem usług seksualnych, o którego skali nie mieliśmy dotąd większego pojęcia.

To prawda. Nawet ci badacze, którzy już wcześniej zajęli się tematem, →





→ potwierdzają, że wiedza o prostytucji studentów była do tej pory szczątkowa. – Nie ośmielię się podawać jakichkolwiek szacunków – mówi Agnieszka Anielska, autorka pracy magisterskiej „Studentka sponsorowana. Portret współczesnej utrzymanki w kontekście przemian społeczno-kulturowych w Polsce” z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

### Ciało i biznes

To nie tak, że nie prowadzono dotąd żadnych statystyk. Kilka lat temu krakowska fundacja Zobaczyc Człowieka ogłosiła wyniki sondażu przeprowadzonego wśród 931 studentów – okazało się, że w tej grupie z prostytucji utrzymuje się 311aków, czyli co trzeci. Później jednak szefowie fundacji przyznali, że przygotowana przez nich ankieta nie była do końca wiarygodna. Najczęściej przyjmowało się więc, że swoje ciało sprzedaje w Polsce co dziewiąty student.

Tylko co to za student?

Badania profesora Jacka Kurzępy wskazują, że prostytucję uprawiają głównie studentki wydziałów humanistycznych, przede wszystkim filologii (blisko 25 procent tych, którzy świadczą seksusługi) i pedagogiki (18 procent). Ciekawostka – przyszłe nauczycielki często podkreślają w anonsach erotycznych, że „lubią dzieci”.

Z kolei wśród studentów dominują kierunki ścisłe oraz akademie wychowania fizycznego (po 13,5 procent), z tym że studenci uczelni nastawionych na kulturę fizyczną i sport (więc w pewnym sensie na kult ciała) w zasadzie nie decydują się na sponsoring homoseksualny. Natomiast najrzadziejprostituują się studentki i studenci prawa (3,8 i 4 procent) oraz medycyny (2,7 procent). Powód?

– Sądzę, że ma to związek z tym, iż zarówno zawód lekarza, jak i prawnika to zawody z misją, z założenia etyczne – uważa profesor Kurzępa.

Co istotne, w uniwersytetach (pojęcie ukute przez socjologa) częściej wchodzi młodsi: studentki w wieku 21 lat (29 procent) i 20-letni studenci (32 procent). Starsi już rzadziej.

Asia ma 21 lat. Gdy idzie korytarzem katedry Wydziału Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, czuje pożądliwe spojrzenia kolegów. Słyszy szepoty i niewybredne dowcipy o rozkładaniu nóg. – Na pierwszym roku nie rozkładałam. Dziś rozłożyłam za tysiąc złotych – wyjaśnia. Ewentualnie za weekend w Juracie, dobry hotel, opłacone rachunki za mieszkanie, za miesięczne czesne – odpowiada bez pruderii, nie-

mal z dumą. Od dwóch lat Asia płaci za studia wieczorowe i kawalerkę w Śródmieściu, świadcząc seksualne usługi zagranicznym biznesmenom odwiedzającym Warszawę. Miała blisko 40 klientów. Niektórych stałych, na kilka miesięcy, czasem przygodnych, tylko na jedną noc.

– Z czasem przystałam na eksperymenty – opowiada. – Dziś w mojej ofercie jest seks analny, oralny, z zabawkami (czyli gadżetami z sex shopu), kneblowanie i wiązanie. Nie godzę się na zboczenia.

Asia nie zamieszcza ogłoszeń w portalach w sieci: – Z Internetu korzystają płotki. Tych z najwyższej półki, grube ryby, spotkać można w nocnych klubach.

Zaczął się od niewinnego tańca na barze w ekskluzywnym klubie przy warszawskim placu Teatralnym. W powietrzu czuć było biznesklasę. Asia tańczyła, a panowie w dobrze skrojonych garniturach przepychali się, by podejść jak najbliżej. Zawody o jej względy wygrał Anton, Szwed przed czterdziestką, który właśnie robił interesy w Polsce. Znajomość rozwinęła się błyskawicznie. Dwa drinki, jeden taniec i seks w apartamencie Hotelu Europejskiego. Rano już go nie było. Na poduszce obok leżała za to kartecz-

**Wśród studentów dominują kierunki ścisłe oraz akademie wychowania fizycznego, z tym że studenci uczelni nastawionych na kulturę fizyczną (w pewnym sensie na kult ciała) w zasadzie nie decydują się na sponsoring homoseksualny**

ka z krótkim *Have a nice day* i 200 euro. – Ktoś mnie potraktował jak dziwkę. Z drugiej strony trzymałam w rękach taką kasę... Nie mogłam uwierzyć, że przyszła tak łatwo – dziewczyna wspomina tamten wieczór z ekscytacją. Wracając do domu Krakowskim Przedmieściem, zatrzymała się przed sklepową witryną: – Nareszcie mogłam je mieć. Własne seksowne szpilki. Wiedziałam, że jeszcze mi się przydadzą.

Szpilkę się przydały, i to nieraz. Ale Asia oburza się, gdy słyszy słowo „prostytucja”. – Prostytutka to brudny, smutny zawód.

Ja jestem czysta, ekskluzywna, w dodatku szczęśliwa – kwituje.

### Wszystko i wszędzie

– Często dziewczyny wypierają ze świadomości swój sekret. Nie myślą o tym, co robią i dlaczego. Nie nazywają rzeczy po imieniu. Tworzą wokół siebie złudną normalność i w niej tkwią, karmiąc się marzeniami i planami na poprawną przyszłość – mówi Renata Gardian, pedagog, streetworkerka, autorka książki „Zjawisko sponsoringu jako forma prostytucji kobiecej”.

W gruncie rzeczy Asia nie jest jednak typową prostytutką. 90 procent damskich i męskich uniwersytetek swoje usługi proponuje za pośrednictwem Internetu. A jest w czym wybierać. Oprócz portali kojarzących sponsorów i sponsorowanych setki ogłoszeń dla studentów i studentek odnajdziemy w popularnych serwisach, jak Gumtree. Poza klasycznymi propozycjami erotycznymi sponsorzy oferują studentom mieszkanie za seks, słońca gratyfikację za sprzątanie nago z możliwością konsumpcji, a nawet pomoc w napisaniu pracy magisterskiej (w zamian za kilka nocy pełnych rozkoszy).

W sieci nie brakuje też ofert od samych studentów. Wystarczy parę kliknięć myszką, by głodny wrażeń internauta przekonał się, jak bezpruderyjna i oddana sponsorowi potrafi być „rzucająca na kolana” studentka germanistyki Magda z Lublina albo jak wielkie umiejętności posiada „Kasia, która pozwoli włożyć ci wszystko i wszędzie”.

Jak prężnie działa uniwersytet, przekonaliśmy się ostatecznie na własnej skórze. Zaledwie kilka godzin po zamieszczeniu w necie ogłoszenia jako bogata i znudzona życiem kobieta, która szuka studenta do pikantnych uciech, dostałyśmy kilkanaście anonsów. „Zawiązałbym ci oczy i długo podduszałam krawatem, niemal do utraty tchu. Potem silnie wykreślił ci ręce, wziął cię od tyłu” – odpisuje nam Kamil.

Ma 22 lata, 180 centymetrów wzrostu, piwne oczy i muskularne ciało, bo trenuje boks. Studiuje informatykę na Politechnice Gdańskiej i pracuje „na słuchawce” w call center, namawiając do korzystania z usług jednej z sieci telefonii komórkowej. Wcześniej był metrologiem w urzędzie miar. W wolnym czasie gra w zespole na gitarze elektrycznej (choć zaznacza, że jego miłością jest gitara basowa). I opowiada nam o jednej ze swoich gitar, która nabyta na miejskim targowisku za grosze oka-

zała się nie lada rarytasem. To Framus Junior Bass, lata 70. Prawdziwy vintage.

### Cztery–sześć tysięcy miesięcznie

– Pasja kosztuje – dodaje Kamil. Tak jak życie studenta w Gdańsku. Jego stawka wynosi od czterech do sześciu tysięcy złotych miesięcznie. Szczegóły – do uzgodnienia przy kawie. Później uda nam się ustalić, że chłopak (choć to ukrywa) od pięciu lat ma dziewczynę, z którą planuje ślub.

– Bardzo często studenci, którzy sprzedają swoje ciało, prowadzą podwójne życie – przyznaje profesor Kurzępa. – To w dużej mierze wynik rozluźnienia się w ostatnich latach norm moralnych, ale także pragmatyzmu. Jak też wiary w to, że prostytucja jest czymś przejściowym, czymś, co w określonym momencie ma zapewnić w miarę dostatnie życie, pozwoli spełnić marzenia.

Według socjologa wiele uniwersytetek myśli podobnie: zarobię na tyle, by wreszcie się odkuć, potem o tym zapomnę, założę rodzinę, a przeszłość wymażę z pamięci jak gumką myszką. – Moje rozmówczynie zapewniały mnie, że kiedyś z tym skończą, zamkną niechlubny rozdział, a wspomnienia zamiotają pod dywan – dopowiada Agnieszka Anielska, która obroniła pracę magisterską o sponsoringu.

„Od dwóch lat, czyli od początku studiów, jestem w stałym związku sponsorowanym przez 33-letniego mężczyznę, któremu sprzedałam dziewictwo. Mieszkam z nim, kupuje mi wszystko, czego zapragnę, finansuje studia – pisze w e-mailu studentka architektury krajobrazu Kinga, filigranowa blondynka spod Wrocławia. – Z kasy za dziewictwo (czyli 40 tysięcy złotych) nie wydałam ani złotówki, a co miesiąc przybywa mi kolejne 7 tysięcy! W przyszłości, po studiach, planuję generalny remont domu rodziców. Chciałabym też otworzyć agroturystykę”.

Bo Kinga kocha kwiaty i przyrodę: „W parkach, ogrodach jest prawdziwe piękno. Marzę, aby móc stworzyć swój własny idealny ogród, gdzie zagłębię się w świecie baśni i poczuję jak w raju”.

### Znamie życia

– Raju nie będzie – ostrzega profesor Jacek Kurzępa. – Czy nazwiemy to sponsoringiem, czy bardziej wprost prostytucją, tak czy siak to po prostu rujnuje psychikę. Bardzo trudno jest później młodym ludziom odbudować wiarę w normalne związki i relacje nieoparte na przekonaniu, że wszystko, nie tylko ciało, jest na sprzedaż.

Kobiety mają gorzej. – Doświadczenia z płatnym seksem na wiele lat mogą obciążyć wszystkie sfery ich życia, od zawodowego po rodzinne – mówi profesor. – Bardzo często, nawet jeśli skończą z prostytucją, uważają się za istoty gorszego gatunku, które nie są godne szczęścia. Popadają więc w depresję, w najlepszym razie w cynizm.

A uniwersytetki w męskim wydaniu? – Mężczyznom łatwiej jest oddzielić sferę seksualną od uczuciowej, dlatego taki układ nie jest

**Wiele uniwersytetek myśli: zarobię na tyle, by wreszcie się odkuć, potem o tym zapomnę, założę rodzinę, a przeszłość wymażę z pamięci jak gumką**

trudny do udźwignięcia. Traktują go jako seks z bonusem – tłumaczy Renata Gardian.

Choć w studenckim seksbiznesie niezależnie od płci obowiązuje zasada oddzielania seksu od emocji.

– No właśnie, Kinga, co z prawdziwą miłością? – pytamy studentkę z Wrocławia.

– Jeśli miłość istnieje, to ile ona kosztuje? – dziewczyna odpowiada pytaniem na pytanie. Kolejne pytanie: Czy czegoś się boi? Kinga wymienia choroby weneryczne i niechcianą ciążę. Po chwili dodaje, że stać ją na aborcję.

– Usunięcie ciąży to tylko jedna z bardziej przykrych i niebezpiecznych konsekwencji, na jakie naraża się uniwersytetka – podkreśla Kurzępa. – Możliwe są także zagrożenie szantażami ze strony odrażonych klientów, pobicia i gwałty, wreszcie ostracyzm społeczny, bo przecież nie ma żadnej gwarancji, że seks za pieniądze nie odbije się czkawką, na przykład wtedy, gdy pracodawca nieoczekiwanie okaże się byłym sponsorem.

### Los w majtkach

Co jednak sprawia, że mimo groźby chorób, podbitych oczu i kłopotów w przyszłości studenci decydują się na płatny seks?

– Kiedyś panowało przekonanie, żeprostituują się młodzi ludzie z biednych, patologicznych rodzin – zauważa profesor Kurzępa. Z jego najnowszych badań wynika, że dziś nie ma znaczenia ani status materialny studenta, ani to, czy pochodzi ze wsi, czy z dużego miasta. Choć oczywiście istotny wpływ na to, że dzisiejsi słuchacze uniwersytetów zara-

biają ciałem na życie i zachcianki, ma fakt, że zarówno w czasie studiów, jak i po nich trudno im znaleźć dobrze płatną i ciekawą pracę. – Przydałyby się zmiany strukturalne, większe wsparcie przez polityków ludzi, którzy kiedyś z racji wykształcenia będą decydować o naszych losach – uważa profesor.

Tymczasem los Nadii z pedagogiki na Uniwersytecie Śląskim leży wyłącznie w jej rękach. A właściwie w jej majtkach. Bo oprócz seksu dziewczyna oferuje też na sprzedaż „majteczki z trzydniowymi soczkami”. I marzy o tym, by pracować kiedyś z upośledzonymi dziećmi, a w wakacje przemierzać Puszczę Amazońską.

Borys z Warszawy, student wydziału turystyki i rekreacji w jednej z warszawskich prywatnych uczelni, specjalizacja: turystyka biznesu, zbiera na samochód – mini coopera. Zebrał już sporo, bo miał dwie sponsorki. – Jedna lubiła patrzeć, jak odkurzam jej mieszkanie w obcisłych bokserkach – opowiada.

Za to 23-letni Kuba, który na Politechnice Warszawskiej studiuje inżynierię produkcji, a bogatym paniom oferuje upojną noc w hotelu (700 złotych plus koszt dojazdu), odkłada na zabieg udroźnienia i implantacji stentu dla chorej na stwardnienie rozsiane mamy.

– Niezależnie od motywacji, dla której studenci sięprostituują, dla nas wszystkich oznacza to jedno: perspektywę, że przyszłe elity naszego kraju będą ubrudzone – nazwijmy to po imieniu – bagnem moralnym – martwi się Jacek Kurzępa.

### Oral i domek w Toskanii

Tydzień po umieszczeniu w sieci ogłoszenia student anglistyki z Krakowa Darek odnalazł odpowiedniego dla siebie mecenasa, właściciela sieci budek z hamburgerami. Spotkanie przy kawie przebiegło pomyślnie. Dobrze się złożyło, bo podobnie jak Darek jego dobrodziej woli oral od analu, w dodatku ma domek w Toskanii. Chłopak ma nadzieję, że we Włoszech nieco podreperuje zdrowie, może wreszcie przestanie wymiotować i chudnąć.

Za Szekspirem akurat ten sponsor nie przepada. Ale i tak jak większość gustuje w schludnych, czytanych studentach.

Imiona niektórych bohaterów tekstu na ich prośbę zostały zmienione.

**Pytanie na Śniadanie**  
Więcej o prostytucji studentów w „Pytaniu na śniadanie”. Oglądaj we wtorek 1 marca w TVP2 o 8.30–10.45



# Nikt nie słucha Kadafiego

W Libii wybuchła rewolucja, choć Muammar Kadafi wyraźnie tego zabronił. I rzuciła się, by go pożreć, choć wcale nie jest jej dzieckiem. Z tych dwóch niedorzeczności nie może wynikać nic dobrego

RAFAL KOSTRZYŃSKI

**T**ryb przeprowadzania rewolucji w Libii pułkownik precyzyjnie opisał w 1975 roku na kartach swojego manifestu politycznego zwanego Zieloną Książką. Według Kadafiego zwyczajne rewolucje są z gruntu złe – niedemokratyczne i dyktatorskie, bo stoją za nimi jednostki. A jednostki – jak wielokrotnie przekonywał – to nie społeczeństwo. Jeśli obywatel chce przeprowadzić rewolucję zgodnie z zaleceniami Zielonej Książki Kadafiego, powinien zgłosić swoje postulaty na forum lokalnych konferencji i komitetów ludowych. Takie postulaty będą potem omawiane na coraz wyższych szczeblach, aż w końcu dotrą na sam szczyt, czyli pod obrady Powszechnego Kongresu Ludowego, gdzie zostaną zrealizowane.

## Dzieje się fajna rzecz

Pierwszy rewolucyjny postulat pojawił się w Libii 36 lat później. Pod koniec stycznia tego roku miejscowy pisarz, niejaki Dżamal al-Hadżdżi, wezwał rodaków, by wzorem Tunezyjczyków i Egipcjan obalili swojego dyktatora. Powszechny Kongres Ludowy nie miał jednak szans pochylić się nad tym wnioskiem, bo Hadżdżi do zgłaszania rewolucyjnych postulatów wybrał sobie platformę, o której Kadafi w Zielonej Książce nie wspominał – Internet. W trosce o spokój społeczny władze natychmiast wyłumaczyły pisarzowi, że musi iść do więzienia – za spowodowanie wypadku samochodowego, którego nie spowodował.

Ale było już za późno. Twitter i Facebook okazały się bardziej skutecznymi nośnikami informacji niż ludowe zgromadzenia. 15 lutego zawrzało w Bengazi. Następnego



Demonstranci powrócili do czerwono-czarno-zielonej flagi. To stare barwy imperium osmańskiego

FOT. Ed Oul/The New York Times/East News

dnia protesty objęły wszystkie większe miasta na wschodnim wybrzeżu Libii – od Tobruku po Adżdabiję. W piątek, gdy zamykamy ten numer, bezsporna władza Kadafiego ogranicza się już tylko do Trypolisu. Reszta metropolii jest pod kontrolą opozycji.

– Dzieje się bardzo fajna rzecz – cieszy się prezes Bliskowschodniego Instytutu Badań nad Mediami (MEMRI) Yigal Carmon. – Rewolucja ogarnia cały region, bo ludzie mają dość dyktatur i chcą współrządzić.

Akurat w momencie, gdy rozmawiamy, sprawujący władzę od 42 lat Muammar Kadafi w telefonicznym orędziu nadanym nie wiadomo skąd przekonuje, że zamieszki to robota Osamy ben Ladena i bandy narkomanów pod wpływem „mleka, neski i halucynogenów”. – Co za brednie – kwituje to dosadnie Carmon.

– Trzeba być naprawdę skończonym idiotą, żeby sądzić, że ktoś w to uwierzy.

Już od dawna nikt nie wierzy Kadafiemu. Jego przemówienia to ciągnące się w nieskończoność tyrady w malignie. Dyktator przeskakuje od tematu do tematu, nie kończy wątków, mamrocze do siebie, czyta z Zielonej Książki. W 2009 roku, gdy debiutował na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, zamiast przepiślowego kwadransu zajął delegatom półtorej godziny. Podarł w tym czasie egzemplarz Karty Narodów Zjednoczonych, uznał, że ONZ jest jak Al-Kaida, zażądał prawie ośmiu bilionów dolarów odszkodowania dla Afryki za czasy kolonializmu i stwierdził, że szalejąca w tym czasie na świecie świńska grypa to broń biologiczna opracowana w laboratoriach wojskowych na Zachodzie. Bredził tak, że prowa-

ducje były zakazane. Także rząd, parlament, partie polityczne, prasa. Słowem: wszystko. W rezultacie „państwo mas” stało się tworem, w którym masy nie miały nic do powiedzenia, bo nie działały żadne instytucje publiczne. Pieniądze ze sprzedaży ropy naftowej szły wyłącznie na umacnianie reżimu. Kadafi zapelniał komitety ludowe swoimi zausznikami, którzy zajmowali się wcielaniem jego pomysłów w życie, za co dostawali wysokie wynagrodzenia, mieszkania i samochody. Reszta społeczeństwa klepała biedę. – Nie ma żadnych inwestycji, morale sięgnęło dna – skarżył się w rozmowie z amerykańskim radiem NPR architekt z Bajdy. – Nawet mówić o tym trudno, bo przez 42 lata milczenia zapomnieliśmy, jak to się robi.

Nic dziwnego, że gdy wybuchły rewolty w Tunezji i Egipcie, również sfrustrowani Libijczycy postanowili przerwać milczenie. Pułkownik rzucił przeciwko nim nie tylko samoloty, ale i czołgi oraz służby bezpieczeństwa, najemników z Czadu i Nigerii. Z dysydentami zawsze rozprawiał się ostro.

Rewolucja zaczęła się na wschodzie, bo wschód zawsze był niechętny Trypolisowi. W Bajdzie protestujący pod hasłem obalenia reżimu puścili z dymem siedzibę służb bezpieczeństwa, a budynek szkoły zamienili w prowizoryczne więzienie, do którego wtrącili stu bojówkarzy Kadafiego pojmanych w czasie bitwy o miejscowe lotnisko. – Rewolucję zaczęły dzieciaki na Facebooku – mówi profesor Hamdy Jakub z Uniwersytetu Omara al-Mukhtara w Bajdzie. – Nikt się nie spodziewał, że już następnego dnia będziemy się zastanawiać, jak postawić kraj na nogi.

## Rewolucja bez twarzy

Czarno to widzę – przyznaje w rozmowie z „Przekrojem” Imad el-Anis, ekspert do spraw Libii wykładający na Uniwersytecie Nottingham. – Libia to nie Egipt ani Tunezja. Siły, które mogą pomóc w okresie przejściowym: partie polityczne, związki zawodowe, niezależne instytucje czy organizacje społeczne, po prostu nie istnieją. Nie ma żadnych struktur politycznych, które są w stanie działać bez Kadafiego. Kraj jest podzielony, przywódcy klanów zaś skłóceni. Sprzątanie po dyktatorze potrwa co najmniej kilka lat.

Yigal Carmon, ten, który uważa, że w Libii „dzieje się bardzo fajna rzecz”, zgadza się, iż mieszkańcy tego kraju stoją przed nie lada zadaniem. – Ta rewolucja jest jeszcze bardziej anonimowa niż przewroty w sąsiednich krajach. Ona nie ma żadnej twarzy. Mam wrażenie, że nie obejdzie się bez zrehabilitowania

niektórych kadafistów, bez sprowadzenia polityków żyjących na emigracji. Proszę spojrzeć na Irak czy Afganistan – tam proces budowy klasy politycznej trwa do dziś.

Rob Malley, ekspert bliskowschodni z waszyngtońskiego oddziału International Crisis Group: – Kadafi zostawia po sobie pustkę. On nawet nie ufał armii, choć przecież doszedł do władzy po puczu wojskowym.

A przecież było już dobrze. Po amerykańskiej inwazji na Irak Kadafi przyznał, że Libia miała własny program atomowy oraz arsenał broni chemicznej, i wpuścił do kraju międzynarodowych obserwatorów. Przyłączył się również do międzynarodowej kampanii przeciwko nuklearnym ambicjom Iranu. Potępił terroryzm, zwolnił bułgarskie pielęgniarki skazane na śmierć za zarażenie ponad 400 libijskich niemowląt wirusem HIV w szpitalu w Bengazi. Został za to wpuszczony na europejskie salony. Dzięki wstawiennictwu prezydenta Francji Nicolasa Sarkozyego podpisał kilka ważnych umów gospodarczych z Unią Europejską, między innymi dotyczącą rozwoju technologii nuklearnej stosowanej do odsalania wody z Morza Śródziemnego. UE, ONZ i USA zaczęły znosić sankcje. Wyglądało na to, że Kadafi dołączy do grona przywódców, którzy wprowadzili w demokrację nie mając nic wspólnego, ale są obliczalni, jak na przykład były już prezydent Egiptu Hosni Mubarak. Docenił to nawet George W. Bush, który w maju 2006 roku ogłosił rozwiązanie z Libią pełnych stosunków dyplomatycznych, nazywając Kadafiego wzorem do naśladowania dla prezydenta Iranu Mahmuda Ahmadinedżada.

Pomylił się.

– Po Kadafim Zachód będzie musiał przemyśleć na nowo relacje z władzami w Trypolisie – mówi El-Anis z Uniwersytetu Nottingham. – Spodziewam się, że w Libii zapanuje świecka demokracja, jak w Turcji czy innych krajach umiarkowanego islamu. To znaczy władze będą przychylnie nastawione do Zachodu, ale nie będą od niego uzależnione, tak jak uzależniony był Egipt Mubaraka. Kumpelskie układy, jakie z Kadafim mieli przywódcy Francji czy Włoch, już nie wrócą. Ale to dobrze. Wierzę, że po tej rewolucji uda się w Trypolisie stworzyć państwo, które będzie prowadziło przewidywalną politykę zagraniczną, choć na razie nie widzę osób, które miałyby się tym zająć. To dopiero początek długiej drogi.

Poprzednia droga ciągnęła się przez 42 lata i zaprowadziła donikąd. Libijczycy nie chcą „państwa dla mas”. Chcą państwa dla ludzi. Teraz sami będą mogli je zbudować. ●



# Kopiuj, wklej, zapomnij

Szef niemieckiego ministerstwa obrony **KARL-THEODOR ZU GUTTENBERG** popełnił plagiat i stracił tytuł doktora. Jak pokazuje historia, to może być początek wspaniałej politycznej kariery

JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

**N**ie wystarczyło mu już samo Karl Theodor Maria Nikolaus Johann Jacob Philipp Franz Joseph Sylvester Freiherr (czyli baron) von und zu Guttenberg. Musiało być: doktor Karl Theodor Maria Nikolaus... I tak dalej. Dziesięciorga imion minister okrył się wstydem. – Popęniłem poważne błędy – tłumaczył się tydzień temu na wiecu wyborczym w Kelkheim w Hesji. – W jednym czy dwóch miejscach nie podałem źródła.

Takie wytłumaczenie nie oddaje jednak ciężaru oskarżeń. Minister bowiem popełnił plagiat.

## Jednak nie ideal

Afera wyszła na jaw, gdy profesor prawa Andreas Fischer-Lescano z Uniwersytetu w Bremie zarzucił Guttenbergowi, że całe strony jego pracy doktorskiej są skopiowane wprost z artykułów prasowych i naukowych bez podania źródła. Profesor początkowo chciał po prostu napisać recenzję doktoratu ministra. Odruchowo wrzucił w wyszukiwarkę fragmenty jego pracy i odnalazł ich oryginalne odpowiedniki. O swym odkryciu opowiedział gazecie „Süddeutsche Zeitung”, czyli najpopularniejszemu dziennikowi w Bawarii, skąd pochodzi – i gdzie bije rekordy popularności – minister Guttenberg. Śledztwa przeprowadziły też „Frankfurter Allgemeine Zeitung” oraz „Der Spiegel”. I afera rozpętała się na dobre.

– Widzicie przed sobą oryginał, nie kopię – próbował żartować minister Guttenberg, gdy stał przed heskimi wyborcami. Ale żarty się skończyły, kiedy opozycja zażądała jego dymisji.

Sprawa byłaby mniej poważna, gdyby nie chodziło o Guttenberga. Nie jest on bowiem zwykłym szefem resortu obrony. To gwiazda niemieckiej polityki i nadzieja chadeków na przyszłość. Lokomotywa koalicji CDU-CSU w kolejnych wyborach i człowiek, którego obywatele doceniali w sondażach bardziej niż kanclerz Angelę Merkel.



Guttenberg, ostatnio zwany też „Googleberg”, tłumaczy plagiat brakiem czasu na pracę naukową

Guttenberg nie bez powodu cieszył się sławą. Do Bundestagu wszedł w wieku 31 lat z ramienia CSU, bawarskiego koalicjanta partii rządzącej. Siedem lat później – już jako gwiazdor niemieckiej polityki – został szefem tego ugrupowania, a jego sława pomogła koalicji wygrać wybory. W 2009 roku został ministrem gospodarki, a potem obrony. Energiczny 39-latek, arystokrata z udokumentowaną historią rodu sięgającą XII wieku, potomek autorów antynazistowskiego spisku i zamachu na Adolfa Hitlera, mąż pięknej praprawnuczki Ottona von Bismarcka do niedawna był człowiekiem bez skazy. I do tego z doktoratem z prawa, co w Niemczech wiąże się z ogromnym prestiżem. Rodacy go pokochali,

a analitycy wieszczili, że w kanclerskim fotelu może zastąpić samą Merkel. A tu taka wpadka! Nic dziwnego, że na konferencji prasowej po publikacjach ujawniających plagiat działania pani kanclerz skupiały się na jednym – oddzieleniu Guttenberga doktora od Guttenberga ministra. – Nie mianowałam autora pracy doktorskiej – podkreślała. – Wypełnia świetnie swoje obowiązki i tylko to się dla mnie liczy.

Guttenberg w zeszły wtorek zrzekł się tytułu naukowego, w środę wieczorem zaś odebrał doktorat potwierdzając bawarski Uniwersytet Bayreuth. I być może dzięki temu polityk ocali skórę. Niemiecki świat nauki może stracić doktora, ale kanclerz nie pozwoli sobie na utratę takiego ministra. Historia bowiem

pokazuje, że zasługi liczą się bardziej niż skrupulatne przywoływanie źródeł.

## Mowa wielokrotnego użytku

Gdy 23 sierpnia 1988 roku senator Joe Biden przemawiał w stanie Iowa, nie przypuszczał, że z faworyta na kandydata Demokratów do wyborów prezydenckich zmienia się właśnie w przegranego. – Gdy tu przyjechałem, zacząłem się zastanawiać, dlaczego to Joe Biden jest pierwszym w swojej rodzinie, który poszedł na studia? – mówił. Wskazawszy na żonę, kontynuował: – Dlaczego to moja żona jest pierwszą w swojej rodzinie kobietą, która skończyła college? Czy to dlatego, że nasi ojcowie i matki nie byli mądrzy? Skoro jestem pierwszym Bidenem w historii, który uzyskał dyplom, to czy stało się tak dlatego, że jestem mądrzejszy niż inni?

Publiczność, jeśli wierzyć relacjom, siedziała zaskoczona. Aż do kipiącego emocjami finału. Biden być może zostałby prezydentem w 1989 roku, gdyby dwa tygodnie po wiecu w Iowa „New York Times” nie napisał, że niemal identyczną mowę wygłosił kilka miesięcy wcześniej Neil Kinnock, ówczesny lider brytyjskiej Partii Pracy. Ta sama konstrukcja, te same retoryczne pytania i ta sama puenta. Tyle że Joe Biden na Kinnocka się nie powołał.

*Plagiat nie musi zaszkodzić. Czasem wręcz przeciwnie. W końcu nawet Martin Luther King ukradł swoje słynne „I have a dream”. I dostał za to Nagrodę Nobla*

Media zaczęły drażnić i ujawniły, że kradzież przemowy Kinnocka nie była plagiatowym debiutem senatora, gdyż ten nastąpił już w czasach akademickich. Biden oblał metodologię prawa, bo spisał pracę ze specjalistycznego magazynu „Fordham Law Review”. Musiał powtarzać przedmiot i zaliczył go na dobrą ocenę, mimo to łotka plagiatora została.

Joe Biden sam wycofał się z kampanii wyborczej. Czy wpadka z przemówieniem przekreśliła jego dalszą karierę? Dziś Joe Biden jest wiceprezydentem USA.

## Miałem nie swój sen

Plagiat nie musi szkodzić także z innego powodu. Bo jeśli czyjeś dzieło jest naprawdę wiel-

kie, podobieństwo do innego dzieła przestaje mieć znaczenie. W końcu co z tego, że końcowy fragment najsłynniejszej przemowy Martina Luthera Kinga („I have a dream” – „Mam marzenie”, mowa wygłoszona w czasie Marszu na Waszyngton w 1962 roku, po którym pastor dostał Pokojową Nagrodę Nobla) to plagiat? Do złudzenia przypomina bowiem finał mowy wygłoszonej dziewięć lat wcześniej przez Archibalda Careya juniora, chicagowskiego polityka Partii Republikańskiej.

King przebił jednak i Bidena, i Guttenberga. Chodzi o jego doktorat z teologii obroniony na Uniwersytecie Bostońskim. Gdy w latach 80. przejrzeni go naukowcy z Uniwersytetu Stanforda, odnaleźli w nim obszerne fragmenty pracy autorstwa innego doktoranta z Uniwersytetu Bostońskiego Jacka Boozera, który obronił ją na tej uczelni trzy lata wcześniej niż King. Specjaliści ocenili wręcz, że przepisana bez podania źródła została ponad połowa rozprawy doktorskiej!

Czy to umniejsza dokonania Martina Luthera Kinga? W końcu przecież nie dostał Nobla za dysertację z teologii.

## Doktor Putin

Dlaczego więc nie czerpać do woli ze światowej skarbnicy? Taka myśl mogła przyświecać Władimirowi Putinowi, gdy w 1997 roku w swoim doktoracie z zarządzania zasobami naturalnymi umieszczał 16-stronicowy cytat z pracy profesorów Williama Kinga i Davida Clelanda z amerykańskiego Uniwersytetu w Pittsburghu. Że to był cytat, długo pozostawało tajemnicą, jak na byłego szpiega przystało. Identyfikacja obu prac odkryli analitycy z waszyngtońskiego Instytutu Brookings dopiero w 2006 roku. Wskazali jednocześnie wiele innych zapożyczeń. I co? I nic. Tytuł naukowy rosyjskiego premiera nie tylko nie został cofnięty, ale wręcz sam doktor Putin wykazał w swojej karierze, że zarządzanie zasobami naturalnymi, takimi jak gaz ziemny i ropa naftowa, opanował na najwyższym poziomie.

Przykłady można mnożyć, a wniosek nasuwa się sam. To, jakie konsekwencje ponosi delikwent stosujący zapożyczenia bez wskazania źródła, zależy nie tyle od skali zapożyczeń, ile od rangi osobowości. Jeśli spojrzeć na zamieszanie wokół Guttenberga z tej perspektywy, to finał afery wokół jego stopnia naukowego można uznać za miarę jego politycznej pozycji. Eksdoktor nie tylko nie stracił ministerialnej teki. Poparcie dla niego w ostatnich dniach skoczyło z 68 do 73 procent. Wszystko więc jeszcze przed nim.

REKLAMA

mayfly

Fellini  
Stodkie życie  
DVD 25 lutego

O filmie opowiada  
**Krzysztof Zanussi**

SIEDMIU SAMURAJÓW  
A STATEK PŁYNIE ODŁOT  
BOCCACCIO '70 UKRYTA  
FORTECA GINGER I FRED SA-  
MOTNOŚĆ DŁUGODYSTAN-  
SOWCA GIULETTA I DUCHY  
ANIOŁ ZAGŁADY NIEBIESKI  
PTAK PIĘTNO ŚMIERCI WY-  
WIAD MIŁOŚĆ BLONDYNKI  
ZBŁĄKANY PIES VIRIDIANA  
PIJANY ANIOŁ JOHN I MARY  
NIEBO I PIEKŁO PIES ANDA-  
LUZYJSKI TRON WE KRWI  
PRÓBA ORKIESTRY KON-  
KURS RASHOMON MIASTO  
Kobiet STRAŻ PRZYBOCZNA  
OSIEM I PÓŁ IDIOTA CZAR-  
NY PIOTRUŚ RUDOBRODY  
OPOWIEŚCI KANTERBERYJ-  
SKIE SANJURO MATNIA KES  
SZYMON PUSTELNIK WSTRĘT  
WAŁKONIE YOJIMBO SALO  
120 DNI SODOMY SKANDAL

TVP2 TVP KULTURA VOX PRZE KROJ K MAG

EKSLUSIV STOPKlatka PL FILMBOX



# Wszystkie kontakty Leppera

Wrócił przewodniczący Samoobrony. Spokojnie, na razie tylko do biznesu. Andrzej Lepper wytyczył nowe kierunki ekspansji: Maroko, Jordania, Emiraty Arabskie, Irak, Chiny. I Białoruś Aleksandra Łukaszenki

DONAT SZYLLER

Wszystko będę robił wyłącznie legalnie – zapewnia „Przekrój” Andrzej Lepper. Podczas naszej półgodzinnej rozmowy użył tego słowa kilkanaście razy. Jego legalne interesy – zarejestrowane w Krajowym Rejestrze Sądowym jako spółka Apa Trade – mają dotyczyć pośrednictwa. Jeśli chcesz sprzedać sok żurawinowy na Białorusi, cegły w Jordanii albo filtry do wody w Chinach, szef Samoobrony obieca ci dobry kontrakt. Mimo że Apa Trade nie ma nawet własnej siedziby.

Do rejestru spółka trafiła we wrześniu 2010 roku. Adres: hotel Marriott w Warszawie, lecz próżno jej tam szukać. Umowa na wynajem niewielkiego biura wygasła na przełomie stycznia i lutego. – Jesteśmy w trakcie organizacji siedziby – przyznaje Piotr Ryba, wspólnik Andrzeja Leppera i jego były asystent oskarżony w tak zwanej aferze gruntowej.

Choć bezdomna, spółka Apa Trade zamierza zarabiać już za miesiąc. Na początek Lepper chce wysłać polskich przedsiębiorców na Białoruś i korzystających ze znajomości, skontaktować ich z miejscowymi biznesmenami.

## Kolaboracja?

To właśnie białoruski kierunek wzbudza falę krytyki. – Robić interesy z dyktaturą Łukaszenki

to jak kolaborować z faszystowskimi Niemcami – denerwuje się Marek Bućko, były wiceambasador Polski na Białorusi, który został pobity przez tamtejszą milicję i w 2005 roku wydalony z tego kraju. – Na Białorusi niszczone są partie, związki zawodowe, niezależne media, wybory są fałszowane, funkcjonuje brutalny system represji. Nie ma tylko ludobójstwa. Robienie tam biznesu jest nieetyczne – dodaje.

– Do kolaborantów się strzelało albo goliło się im głowy. Nie jesteśmy kolaborantami, tylko przedsiębiorcami – odparowuje Ryba. – Ja chcę robić interesy z biznesmenami, nie z politykami – dodaje Lepper. – Tego nie da się rozdzielić. Robiąc tam interesy, wspiera się system – przekonuje Bućko. – Politycznych konksji wykorzystywać nie będę. Jestem znany i lubiany także wśród przedsiębiorców – odpowiada Lepper.

– Znany jest, to fakt – potwierdza Igor Banczer ze Związku Polaków na Białorusi. – W Polsce o Lepperze prawie nikt już nie pamięta, a w białoruskiej telewizji państwowej pokazywany jest bardzo często. Przedstawiają go jako prominentnego, czołowego polityka. A on chwali rządu Łukaszenki.

Chwalił choćby w połowie lutego, gdy przekonywał białoruskich widzów, że zatrzymanie członków opozycji przez



Andrzej Lepper w Mińsku obserwował grudniowe wybory prezydenckie

milicję jest normalną techniką, stosowaną także w Polsce. Chwalił podczas grudniowych wyborów, po których Aleksander Łukaszenka ponownie został prezydentem, zdobywając 79,67 procent głosów. Lepper był jedynym polskim obserwatorem z ramienia OBWE, który nie zauważył żadnych nieprawidłowości podczas wyborów.

Chwali i dzisiaj. – Łukaszenka dba o Polaków. Buduje kościoły i przydrożne kapliczki. A ile kościołów wybudował pan Bućko i Związek Polaków? – pyta przewodniczący Samoobrony.

I opisuje Białoruś widzianą swoimi oczyma: bezrobocie na poziomie 0,7 procent, pensje i emerytury wypłacane na czas, szpitale bez lepsze niż w Polsce. Tę sielankę potwierdzają dane polskiej ambasady w Mińsku. Krzysztof Januskiewicz, I sekretarz ambasady, powołuje się na Narodowy Komitet Statystyczny Białorusi i wylicza: w 2010 roku gospodarka rozwijała się w tempie 7,6 procent (w Polsce 3,4 procent w ciągu trzech kwartałów 2010 roku), a wynagrodzenia wzrosły o 13,2 procent (w Polsce o 1,5 procent).

– Na Białorusi system statystyczny odziedziczony jest po czasach sowieckich. Jest kłamstwo, wielkie kłamstwo i sowiecka statystyka – kontruje Marek Bućko. Prze-

konuje, że ukryte bezrobocie jest na poziomie kilkunastu procent. Ludzie pracują, ale tej pracy wystarczy na jeden dzień w tygodniu. Niewielkie pensje wcale nie są wypłacane na czas, a robotę jednego człowieka wykonuje pięć osób. – Jak u fryzjera: jeden ścina włosy, drugi myje głowę, trzeci zamiata, czwarty inkasuje zapłatę i tak dalej – dodaje były wiceambasador.

## Miliony do wzięcia

– Za parę lat nie będzie ani Leppera, ani Łukaszenki, ale będą dwa narody robiące ze sobą interesy. Czy jest wojna, czy pokój, ludzie jeść muszą – zapewnia były lider Samoobrony.

Problem w tym, że interesy za białoruską granicą nie zawsze są bezpieczne. W 2009 roku firma Terravita wykupiła w prasie ogłoszenia, w których ostrzegała potencjalnych kontrahentów tamtejszego biznesu. Terravita była jednym z największych polskich inwestorów w tym kraju. Urochomiła w Mińsku fabrykę czekolady, inwestując milion dolarów w maszynę. Na podstawie fałszywych dokumentów zostały one spóźnie skradzione.

– Takie pojedyncze przypadki mogą być. W Rosji też zabili polskiego przedsiębiorcę, który handlował drewnem. Ale Białoruś jest bardzo bezpieczna, żaden

z moich znajomych nie miał problemów z uzyskaniem płatności – zapewnia Lepper.

– To bardzo dobre miejsce do robienia interesów, zwłaszcza w perspektywie nieuniknionego rozwoju gospodarczego tego kraju – zgadza się ekonomista Robert Gwiazdowski z Centrum imienia Adama Smitha. – Przedsiębiorcy powinni robić swoje, nie oglądając się na polityków. Przecież w PRL też mieliśmy prywaciarzy, dzięki którym było co położyć na stół. Interesy robiło się z nimi, a nie z generałem Jaruzelskim. Tak samo na Białorusi robi się interesy nie z Łukaszenką, tylko mimo Łukaszenki – dodaje.

– W 2010 roku polska wymiana handlowa z Białorusią była warta 1,9 miliona dolarów – informuje Krzysztof Januskiewicz. Według szacunków MSZ kwota ta może się zwiększyć nawet czterokrotnie, do wartości ośmiu milionów. Drugi główny kierunek ekspansji Leppera – Chiny – jest wart o wiele więcej. Polska wymiana handlowa z Państwem Środka wyniosła w pierwszej połowie 2010 roku 5,3 miliarda dolarów. Jednak jej lwia część to towary, za które to my płacimy Chińczykom. Import z Polski to „tylko” 954 miliony. – W Chinach byłem już ośmiokrotnie, mam doświadczenie w kojarzeniu przedsiębiorców – zapewnia Piotr Ryba.

No dobrze, ale jakie znajomości mają obaj współpracownicy poza Białorusią i Chinami? – Wszędzie mamy współpracowników – mówi tajemniczo Andrzej Lepper, by od razu dodać, że biznes biznesem, ale z polityki nie odchodzi. – Na pewno Samoobrona mocno uderzy w czasie wyborów parlamentarnych – obiecuje.

Czy wystarczy mu czasu na obie działalności? Lepper jest pewien: – Starczyło mi czasu, by zablokować cały kraj, to i teraz mi starczy.

Wszystko wskazuje na to, że wystarczy mu też klientów. W ciągu tygodnia do spółki Leppera i Ryby zgłosiło się 22 przedsiębiorców zainteresowanych współpracą. ●

# Komu szkodzi Monar?

Polemika z artykułem „Narkomanom szkodzi Monar?” Macieja Jarkowca i Anny Szulc („Przekrój” nr 07/2011)

**S** towarzyszenie Monar i jego metody leczenia uzależnionych stały się obiektem krytyki ze strony kilku osób lansujących inny punkt widzenia na złożony, zdrowotny i społeczny problem, jakim jest narkomania. Czy naprawdę, tak jak chcieliby krytycy Monaru, da się ten problem rozwiązać za pomocą „cudownego leku”?

(...)

## Co się stało w Krakowie

Pierwszą sprawą, której uwagę poświęcają autorzy tekstu w „Przekroju”, jest ubiegłoroczne rozwiązanie krakowskiego Centrum Terapii Narkomanów kierowanego przez Marka Zygałę. Na przestrzeni ostatniego roku Zarząd Główny odbierał liczne sygnały o narastających konfliktach personalnych oraz o częstych nieprawidłowościach w funkcjonowaniu krakowskiego Monaru. Sygnały te zostały zbadane podczas kontroli przeprowadzonych przez zarząd oraz komisję etyki stowarzyszenia. Kontrolujący sformułowali szereg zarzutów wobec Marka Zygałę, które dotyczyły między innymi niegospodarności, dopuszczenia do prowadzenia ksiąg rachunkowych niezgodnie z obowiązującymi przepisami oraz nadużywania stanowiska służbowego do realizacji celów konkurencyjnych wobec działań Stowarzyszenia Monar. Kierownik CTN był jednocześnie działaczem innej organizacji pozarządowej. Ponadto komisja etyki zarzuciła Zygałę między innymi, że nie przestrzegał zasad współpracy zespołu terapeutycznego, a także angażował pacjentów w konflikty między sobą a innymi terapeutami.

Sytuacja w Krakowie, w opinii Zarządu Głównego, wymagała zmiany formuły organizacyjnej lokalnych struktur stowarzyszenia. Stąd decyzja o rozwiązaniu CTN.

(...)

## Ten sam raport, różne wnioski

Kolejną sprawą są wnioski płynące z raportu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka (HFPC), która w 2009 roku (a nie pod koniec zeszłego roku jak podano w artykule) badała dostęp do stacjonarnego leczenia uzależnień od narkotyków i przestrzeganie praw pacjentów w ośrodkach. Zarówno tytuł artykułu „Narkomanom szkodzi Monar?” jak i to, że nasze stowarzysze-

nie jest jedyną organizacją, której nazwę przywołuje się w kontekście raportu, mogą prowadzić do mylnego wniosku, że opracowanie HFPC, opisane w nim przykłady i hipotezy dotyczą głównie placówek Monaru. Tymczasem w raporcie czytamy, że został on sporządzony na podstawie danych z 18 ośrodków (na ogólną liczbę 87 przywoływaną za Krajowym Biurem do spraw Przeciwdziałania Narkomanii), w tym tylko siedmiu monarowskich oraz pogłębionych wywiadów z... siedmioma pacjentami, i to nie leczącymi się obecnie, lecz byłymi.

(...)

## Cudowne lekarstwo nie istnieje

Kwestią, która przewija się w artykule w „Przekroju”, jest opozycja między leczeniem stacjonarnym a ambulatoryjnym. Opozycja wykreowana sztucznie i bezzasadna. Nie ma prostej odpowiedzi na pytanie, czy poddawać narkomanów wielomiesięcznej terapii w ośrodkach stacjonarnych, czy podawać im metadon w ambulatoriach. Tutaj krótkie wyjaśnienie: terapia substytucyjna, zalecana czasem osobom uzależnionym od opiatów, polega na podawaniu objawy uzależnienia. Często wystarczy metadon odstawić i osoba staje się na powrót wrakiem człowieka. Metoda ta nie leczy więc przyczyny, tylko skutek. Poza tym ma ona zastosowanie jedynie wobec osób uzależnionych od niektórych rodzajów narkotyków, dlatego wielu polskich uzależnionych w ogóle nie kwalifikuje się do udziału w terapii metadonowej.

Metadon jest silnym, uzależniającym narkotykiem. Z założenia jego podawanie planowane jest na wiele lat. Niekiedy jest to uzasadnione, co rozumieją specjaliści z Monaru. Jednak tworzenie ideologii, według której metadon jawi się jako złoty środek na rozwiązanie problemu narkotykowego, jest błędem.

(...)

O skuteczności naszego systemu leczenia świadczą rzesze pacjentów szukających pomocy w placówkach Monaru. Blisko 14,5 tysiąca narkomanów wyleczonych w naszych ośrodkach to dowód na sens działania Monaru.

**Przemysław Bogusz,**  
specjalista do spraw promocji  
w Biurze Stowarzyszenia Monar

Skróty od redakcji. Cały list na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)





Znasz tego faceta? Ponoć wszyscy już go znają. Dla Gregi Love każdy talentshow to okazja, żeby wyjechać z Koszalina

# Zaśpiewaj mi to jeszcze raz

Wygrać talentshow chcą nie tylko ci, którzy mają dość talentu, ale też ci, którzy mają dość swojego życia. Z tego, jak próbują się przebić, można stworzyć listę przebojów

**MALGORZATA ŚWIĘCHOWICZ**

**M**onika Fijałkowska ponoć zawsze krzyczy, kiedy jej córka małuje sobie oczy i usta, bo kto to widział, żeby 11-latką tak się pacykowała. A jednak z umalowaną dziewczynką wsiada do autobusu relacji Brzeziny-Łódź, którym jadą na precasting. Dobrze by było, żeby mała dostała się do telewizji.

Córki Beaty Siemienowicz z Łodzi też chcą, żeby je zawieźć na precasting. Mają to samo marzenie: zaśpiewać, pokazać się. Jedna ma 9 lat, druga 12 (muzykalne są po tacie, który młodo zmarł). Jeśli chodzi o repertuar, znają wszystko Ewy Farny, na przykład:

*„Cicho, jakby cały świat zgasił światło, poszedł spać. Mamy kłopot ty i ja, jak słów odkryć smak. Między nami nuda, strach, twego głosu wciąż mi brak”.*

– Jeśli widzimy drobną dziewczynkę w leginsach, to już wiadomo, że będzie piosenka Ewy Farny – mówi Katarzyna Kalicińska-Goczał. Producentka telewizyjna, która organizuje castingi i pomagała przy precastingach do Polsatowskiego „Must be the Music”, zdążyła już poznać muzyczne upodobania młodych Polek. Farna mieszka na Zaolziu, w sierpniu tego roku skończy 18 lat, a już ma na koncie sześć płyt – dla dziewczynek to niekwestionowany wzór do naśladowania. Jeśli od niego odchodzą, to w kierunku Natalii Kukulskiej lub Edyty Górniak. – Ale

z ich repertuaru śpiewane są tylko wybrane piosenki. „Dłoń” pierwszej, a tej drugiej „List” – dodaje Jan Kępiński, producent „Must be the Music”.

– W kółko to samo. Na zmianę z fragmentem musicalu „Romeo i Julia” – dodaje producentka „X-Factor” Katarzyna Szalańska. Brł Wysypki można dostać. Albo nawet czkawki. Ze strachu:

*„Boję się, choć wiem, że zbudzę się za dnia, lecz boję się w podziemiach być, gdzie zimny mrok ogarnie mnie”.*

Z całego musicalu każdy wybiera właśnie tę piosenkę. Jakby innych nie było.

## Nie ma wyjścia

Pierwszy odcinek „Must be the Music” Polsat pokaże w sobotę 5 marca. Dzień później w TVN będzie można zobaczyć debiut polskiej wersji „X-Factor”. Będą emocje. Ale czy większe niż wtedy, gdy obie stacje organizowały precastingi do swoich programów?

Tylko do Polsatowskiego „Must be the Music” zgłosiło się 10 tysięcy chętnych – najmłodszy miał 5 lat, najstarszy 80. Nie-



Lady GaGa jako Lady nie powinna być w męskiej toalecie. Ale czego się nie robi dla zdjęcia

którzy, żeby zwiększyć swoje szanse, jeździli na wszystkie przesłuchania: do Gdańska, Szczecina, Warszawy, Wrocławia czy Rzeszowa.

W tym ostatnim ludzie ustawiali się w kolejce już o godzinie 23 dzień przed precastingiem. Co zaradniejsi obstawiali nie tylko ten program – chcieli też skorzystać z szansy pojawienia się w TVN.

Za każdym razem trzeba było przerabiać to samo: przyjść najlepiej przed świtem, kiedy jeszcze ciemno i zimno, zająć kolejkę i patrzeć, jak ogonek rośnie, wykrzywia się, zawiąza, a w końcu zamienia w tłum. Wtedy zawsze pojawiają się pytania: czy na pewno zaczną wpuszczać o czasie? A może już otworzyli drzwi, tylko tego nie widać? Mijają godziny, podczas których pogoda się zmienia, jak na przykład w Łodzi – z marznącego deszczu robi się śnieg. Ktoś rzuca, że wpuszczają chyba tylko po 10 osób. Inny, że w takim tempie to może zejść do nocy. Co robić? Na precastingi przychodzi od 500 do 1200 osób, żeby się dostać przed komisję, trzeba czekać, nie ma wyjścia.

Tadeusz Kortas z Władysławowa (pracuje przy mrożeniu ryb) tak bardzo chciał się pokazać w „X-Factor”, że przed Filharmonią Bałtycką w Gdańsku stał od nocy. Jej próg przekroczył dopiero w południe. Kiedy już pokonał tę pierwszą kolejkę, musiał stanąć w kolejnej – po formularz zgłoszeniowy oraz numer. I znów czekać, aż zostanie wezwany na przesłuchanie. O 15 zmęczony Kortas nie pamiętał już, co chciał zaśpiewać. Z pewnością miał to być Stachurski i jego „Typ niepokorny”. Ale jak to leciało?

## Zamrożone pokolenie

Adam Domoń ze Świecia (obstawił precastingi od Wrocławia po Gdańsk, myśli: „Jak tam mnie odrzuca, to może tu przyjmą”) zastanawia się, czy lepiej zaśpiewać coś Kombi, czy lepiej Lady Pank? We flanelowej koszuli, która wystaje spod swetra, z reklamówką po butach w jednej ręce i formularzem zgłoszeniowym w drugiej nie przypomina lidera żadnego muzycznego zespołu. Na co dzień jeździ walcem drogowym – kiedy się walec puści w ruch, to hałas taki, że uciekają. Domoń

walcuje czasami sześć dni w tygodniu, więc dobrze, że w wieku 46 lat w ogóle jeszcze siebie słyszy.

– Ja też nie mam lekko – przyznaje Kortas. Bardzo by chciał wystąpić w telewizji, bo tylko to – jak sądzi – mogłoby tchnąć trochę życia w jego życie. Ktoś, kto tak jak on pracuje przy mrożonych rybach, nie ma wielu wrażeń. Napatrzy się na śledzia, czasami na dorsza, a z reguły na szprota, i co więcej? – Nic – narzeka. – We Władysławowie nic się nie dzieje, niczego nie ma.

Żeby uściślić: jest duży port, jest tunel, w którym można mrozić 80 ton ryb na dobę, ale nie ma miejsca, w którym Kortas mógłby zostać odkryty, odnieść należny sukces, błysnąć.

## Jak chłopak ma spodnie luźne

Adam Domoń ze Świecia też chciałby zostać odkryty, doceniony. – Oderwać się – mówi – od tego, co mam teraz.

A ma walcowanie drogi, związek z kobietą, ale nie stały.

– Zaśpiewam jednak Kombi – decyduje.

„Każde pokolenie ma własny czas, →



→ Każde pokolenie chce zmienić świat,  
Każde pokolenie odejdzie w cień,  
A nasze – nie”.

– Akurat to pokolenie, które mamy obecnie – mówi medioznawca, profesor Wiesław Godzic – dobrze pojęło, jakie są mechanizmy dzisiejszej kultury: trzeba być dostrzeżonym! Ludzie co rusz słyszą, że ten czy tamten doszedł do sławy i pieniędzy, mimo że nie skończył szkół, nie pracował w mozole. Skoro innym się udało, to czemu nie spróbować.

Według profesora Godzica żyjemy w kulturze próbowania. Nieustannego prezentowania się, wystawiania: niech mnie ktoś zauważy, niech mnie ktoś weźmie. Nawet nieważne po co. Istotne jest to, żeby się pokazać.

– Co casting, to twarze, które już kiedyś widziałam – przyznaje Katarzyna Szałańska. Zanim została producentką „X-Factor”, wyprodukowała między innymi cztery edycje „Idola”, a pierwsza była 10 lat temu. Przez dekadę niektórych osób nauczyła się na pamięć. Jeżdżą za ekipą i choć zmieniają się programy oraz miasta, w których odbywają się przesłuchania, to ci uparci nie poprawiają się w śpiewie, nie uczą, nie rozwijają. Ale ciągle próbują.

– Może im się wydaje, że dostaną się do programu przez zasiedzenie? – śmieje się Szałańska.

– Gdy widzę, że chłopak ma spodnie luźne w kroku, to wiadomo: beatbokser albo hip-hopowiec – Katarzyna Kalicińska-Goczał tłumaczy, że kandydaci na gwiazdy są bardzo przewidywalni. – Kiedy przychodzi dziewczyna w wieku od 19 do 23 lat, z ładną buzią, fajnie ubrana, to można iść o zakład, że będzie chciała śpiewać jak Alicia Keys.

Ludzie nie mają pomysłów. Za to są zdesperowani. Przebierają się: sukienki długie, krótkie, kabaretki, getry, maski, kapelusze, turbany, korale. Po korytarzach niesie się wieść, że tylko ten, kto wyda się interesujący już na pierwszy rzut oka, ma szansę dojść dalej niż do refrenu. Niektórzy narzekają, że stoją w kolejce po 10 godzin, a na scenie zdążą postać 30 sekund i „dziękujemy”. Następny.

Wybranie pereł z tłumy to trud. W oko i w ucho komisji precastingowej wpada czasami 1 kandydat na 300, a czasami nawet tylko 1 na 800. – Są momenty, gdy wchodzi ktoś z wyglądu niepozorny – opowiada producentka „X-Factor”. – Nie spodziewasz się za wiele, aż tu nagle widzisz, że człowiek na scenie dostaje mocy, skrzydeł. Są takie piękne niespodzianki. To mnie nauczyło nie sądzić po pozorach, nie zakładać, że wiem, co będzie.

Przed komisją szukającą instrumentalistów do programu „Must be the Music” stanął



FOT. ADAM TUCHLIŃSKI/ESILIOS.PL

Madzia Fijałkowska **chciałaby być jak Doda**. Gdyby jej się udało, udałoby się też rodzinie

na przykład akordeonista ze wsi Niesułków. Można pomyśleć: wieś, akordeon, mój Boże. A to, jak się okazało, student teatrologii, który komponuje muzykę do poezji, gra na akordeonie, trąbce, gitarze, pianinie. Albo na przykład 19-letni Marek Jabłoński, student informatyki. Wchodząc na przesłuchanie, mógł nie zrobić oszalemiącego wrażenia: ot, oryginał z gitarą w ręku w ochronnej masce na twarzy. Może chory na świńską grypę? Jednak gdy zaczął grać własne gitarowe kompozycje, maska przestała kogokolwiek obchodzić. Potem okazało się, że założył ją nie z powodu A1H1, lecz dlatego, że zapamiętuje się w grze i robi wtedy głupie miny. Nie chciał wystraszyć komisji.

### Oblewasz się i oblewasz

– To nic, że wyrzucają. Trzeba próbować, nie zrażać się – przekonuje chłopak, któremu żadna komisja nie pozostawia złudzeń. Wygląda na licealistę, ma szczerbę między zębami, ksywkę Gregi Love i chyba niemało kasy, bo jeździ z rodzinnego Koszalina wszędzie tam, gdzie jakaś telewizja zapowiada, że będzie łowił talenty. Nie biorą go, choć się stara. Za każdym razem przebiera się za kogoś innego. Raz jest cały różowy, innym razem żółty albo złoty. Czasem występuje w czarnej skórce albo białym sztucznym futerku. Raz z wielkimi okularami na nosie, innym razem z koroną na głowie. Żeby dostać się do „X-Factor”, podwyższył się o 15 centymetrów (tylko w USA mógł znaleźć buty w swoim rozmiarze i na tak wysokim koturnie), włożył na głowę kolorowy kaszkiet, a w oczy pomarańczowe

we soczewki (chciał, śpiewając, mieć ogień w spojrzeniu). Niestety, choć tyle w sobie zmieniał, każdy, kto go zobaczył, pytał: „Czy ja cię już gdzieś nie widziałem?”. Był widziany wcześniej w Szczecinie, gdzie próbował dostać się do „Must be the Music”. W „Mam talent!” – jak wszyscy pamiętają – został wygwizdany. Z „You Can Dance” też odpadł, choć na scenie wił się i oblewał mlekiem.

– Producenci programów, kiedy mnie widzą, mówią: „O Jezu, to znowu ty?”. Mają mnie dość – potwierdza. Mimo to nie odpuszcza. Jest zaprogramowany na wielką telewizyjną karierę, a nie na to, żeby po Koszalinie rozwozić artykuły spożywcze. Na razie wozi, ale kiedy tylko pojawia się nowy talentshow, natychmiast rzuca robotę i jedzie na przesłuchanie. Dzięki temu, że w nich uczestniczy, z castingu na casting ma – jak twierdzi – odpowiedni rytm i żadnej tremy.

Lady GaGa (Monika z Gdyni, która mówi, że studiuje biznes na Uniwersytecie Gdańskim) też nie ma tremy, za to utlenione na białe włosy i krótkie rude futerko, a pod nim jedynie body. Lady GaGa przeży się w nim, przyjmuje pozy. Gdy nasz fotoreporter proponuje: „Wejźmy do męskiej toalety”, ona odpowiada: „Czemu nie?”. Ma stanąć przy lustrze, uśmiechnąć się? Proszę bardzo. Między pisuarami? Proszę, może pozować przy pisuarach.

– Koleżanki odradzały: Po co ci w ogóle jakieś castingi? – opowiada. – Mama też była przeciw: Córku, ty z takiego porządnego domu i co?

Doktor Joanna Heidtman, psycholog i socjolog, która bada między innymi procesy gru-

powe, ze smutkiem zauważa, że naturalne potrzeby (dotyczące choćby poczucia, iż jesteśmy ważni, wartościowi) zaspokajają się w nie-naturalny sposób. Nie mogąc z jakichś powodów zabiegać o uwagę bliskich, zabiegamy o uwagę obcych. – To media rozbudziły w nas tę potrzebę – twierdzi doktor Heidtman. – Pokazuje nam się celebrytów, czyli osoby znane z tego, że są znane, więc my też chcemy tacy być, skupiać na sobie uwagę innych.

– Dawniej chciało się mieć swoje 5, 10, 15 minut. Teraz trzeba mieć przynajmniej 15 widzów – wtóruje profesor Godzic.

– Anonimowość w odczuciu wielu osób jest degradująca – dodaje Andrzej Leder, filozof kultury. – Nobilituje już samo znalezienie się na ekranie.

– Bo ludziom wydaje się, że im więcej osób ich zauważy, tym będą ważniejsi, lepsi – tłumaczy doktor Heidtman.



FOT. ADAM TUCHLIŃSKI/ESILIOS.PL

On wpadł tu na chwilę z roku 21 483

Jan Kępiński, producent „Must be the Music”: – Niektórzy przyjeżdżają z bardzo małych miasteczek, tam nie mieliby żadnej szansy, a chcą się wybić i ja to rozumiem.

– Występ w telewizji, jak się niektórym wydaje, to coś, o co warto zabiegać i co nigdy nie wiąże się ze wstydem – wyjaśnia profesor Wojciech Burszta, antropolog kultury. – Czy się coś potrafi, czy nie, można się przecież pokazać. Kiedyś to było nie do pomyślenia. Murarz czy operator walca nawet by nie rozważał zgłoszenia się do programu muzycznego. A teraz startuje. A nuż się uda. W wielu przypadkach jest to cynicznie wyrozumowane.

Krzysztof Borówka z FremantleMedia (odpowiadał za zdjęcia na precastingach do „X-Factor”, przeprowadzał wywiady z uczestnikami) mówi, że kamera to najlepsze



FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI/KFP

Bliźniaczki Ania i Mania Hajduk z Brodnicy

narzędzie do rozpoznawania ludzi. W obiektywie od razu widać, jak się człowiek chce prezentować innym, ile w tym jest prawdy, ile fałszu. Ci, którzy zgłaszają się na castingi, mogą być zawiedzeni, że rozpoznanie ich nie zajmuje fachowcom więcej czasu. Wielu bardzo by chciało postać dłużej na scenie, opowiedzieć swoją niezwykłą historię.

### Z Zetaretikuli i innych kul

– Przyzwyczailiśmy się, że niektórzy są nie z tej ziemi – producent „Must be the Music” żartuje, że jeśli szuka się ludzi nieprzeciętnych, dobrze mieć pod bokiem lądowisko dla statków kosmicznych.

– Nie jestem stąd – lojalnie uprzedza pan Edward, stając przed komisją, która ma zdecydować, czy warto będzie go pokazać w telewizji. Pan Edward jest drobny, niski: broda spleciona w warkoczyki, do tego czarna skórzana kurtka, kapelusz najeżony śrubkami, które sterczą jak antenki. Chciałby wybić się razem z kolegą Bogusławem (ugrzeczniiony dryblas, krótkie włosy, czarne sztruksy, adidaski). Zapewniają, że razem potrafią wydać z siebie świetną „śpiewomuzykę”. Igdy zaczynają, to słychać, że dobrze im idzie. Ale kiedy przestają, to z kolei zaraz widać, że każdy jest jednak z innego świata. Są niezgrani czasowo i miejscowo – Bogusław jest w roku 2011, Edward już o ponad 19 tysięcy lat dalej. Ten pierwszy przyjechał z Sochaczewa, drugi upiera się, że z planety Zetaretikuli 4.

– U mnie jest rok 21 483 – informuje Edward. – Planeta, z której pochodzę, została odnale-

ziona mniej więcej siedem lat temu. Nie potrafię powiedzieć, ile istot tam mieszka, bo mi się pokazali raptem na sekundę. Gdyby jednak mój stopień wtajemniczenia przeliczyć na stopnie wojskowe, to jestem mniej więcej kapitanem.

Komisja na razie nie ma więcej pytań.

Nie miewa się też zbyt wielu pytań do tych, których historie są jak najbardziej przyziemne. Na przykład 11-letnia Madzia Fijałkowska, która się maluje, choć mama na nią krzyczy, chciałaby dzięki telewizji wyrwać się z podłódzkich Brzezin. Oczywiście zabrałaby ze sobą trzech braci – każdy choruje, najmłodszy ma siedem miesięcy i co chwila trafia do szpitala, drugi ma padaczkę, trzeci tokso-plazmozę. Madzia mówi: – W domu u nas czarno, grzybo.

Mama potwierdza: dom cieknie, wszystko w rozsypce. Przydałoby się wygrać sto tysięcy w „Must be the Music”.

Z kolei Piotr Jacyno z Malborka, któremu zamarzyło się zwycięstwo w „X-Factor”, mógłby wyjść z długów, które nagromadziły się jeszcze przed śmiercią mamy. Teraz zaległości czynszowe są już takie, że może dojść do eksmisji. Żeby się jakoś ratować, wyszedł na ulicę, śpiewa przechodniom za drobne. Ale jakby tak z ulicy udało się wejść na wizję... Repertuar ma bogaty, płuca mocne, no i przygrywa sobie na gitarze, akordeonie i klawiszach. Gdy czeka na przesłuchanie (kolejka się przesuwająca, a on wraz z nią), ani przez chwilę nie robi sobie przerwy. Gdziekolwiek by go postawić lub usadzić – śpiewa. Dżem, Niemen, a najlepiej Cohen: Hallelujah, Hallelujah...

– 10 lat temu wszyscy chcieli śpiewać „My Heart Will Go on”, piosenkę Céline Dion z filmu „Titanic” – wdycha producent „Must be the Music”. – Teraz oprócz piosenek Kukulskiej i Górnika najczęściej śpiewa się „Hallelujah”. Trudna piosenka.

– Prześladowna numer jeden – mówi o „Hallelujah” producentka programu „X-Factor”. Dostaje alergii już wtedy, gdy widzi, że ktoś bierze oddech, żeby to zaśpiewać. Tak samo działa na nią „Babę zesłał Bóg”.

– Ja też nie mogę tego słuchać – przyznaje Katarzyna Kalicińska-Goczał.

A „Babę” wybierają i panie, i panowie. Może dlatego, że tam się trochę krzyczy? – Niektórym wydaje się, że to piosenka, która pozwała pokazać głos, tymczasem to utwór klubowy, akordeonowy – tłumaczy Katarzyna Szałańska.

Poza tym po co aż tyle razy wypominać Bogu zsyłanie bab? Tej wiosny Bóg nam zsyła talentshow. ●



## Nachodzi – posiedzi

Koniec z bezkarnością tych, którzy wysyłają innym obraźliwe e-maile lub SMS-y, nachodzą ich bądź wydzwanają po nocach. Posłowie wpisali właśnie stalking do kodeksu karnego

**N**awet trzy lata więzienia za złośliwe nękanie – zdecydowali w piątek posłowie. W rządowym projekcie nowelizacji kodeksu karnego jest mowa o dwóch rodzajach stalkingu: w sieci (kradzież internetowej tożsamości, stworzenie komuś profilu w portalu społecznościowym i zamieszczanie tam obraźliwych treści) i w realu (nachodzenie, nękanie SMS-ami czy e-mailami).

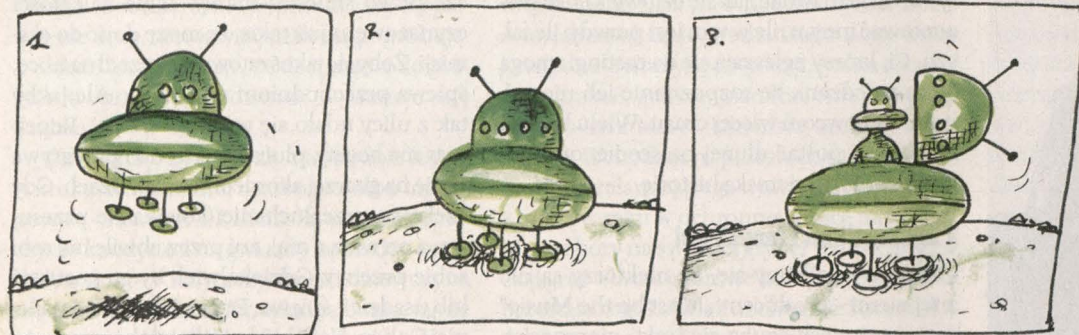
Sprawca stalkingu będzie ścigany na wniosek pokrzywdzonego. Chyba że jego ofiara targnie się na swoje życie. Wtedy prokuratura zajmie się sprawą z urzędu, a kara dla przestającego będzie wyższa – nawet 10 lat więzienia. W projekcie znalazł się też zapis o zakazie zbliżania się sprawcy do pokrzywdzonego. – W nowej rzeczywistości ta regulacja ułatwi ofiarom dochodzenie

sprawiedliwości i odzyskanie poczucia bezpieczeństwa – mówi „Przekroju” poseł Paweł Orłowski z Platformy Obywatelskiej. Do tej pory nie było to łatwe: policja ścigała tylko za groźby karalne, a przecież 30 SMS-ów z miłosnym wyznaniem to nie groźba. E-maile typu: „Wiem, gdzie mieszkasz”, też nie. W takich sytuacjach stróża prawa z uśmiechem radzili przywyknąć do amanta albo zlikwidować profil w portalu społecznościowym.

Posłowie mają nadzieję, że ustawa wejdzie w życie jeszcze w tym półroczu. Zwłaszcza że z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że na stalking skarżył się co 10. spośród 10 tysięcy badanych Polaków.

MARCELINA SZUMER

### RACZKOWSKI PONOWNIE



### DEMOGRAFIA

## Polityka jednego psa

**J**eśli masz dwoje dzieci, możesz je zachować. Jeśli nie masz, to państwo zezwala ci tylko na jedno – tak brzmiały zasady polityki jednego dziecka wprowadzonej przez Pekin w 1977 roku w celu zahamowania przyrostu ludności. Władze Szanghaju przyjęły podobne rozwiązanie, tyle że dotyczące psów. Po 1 maja ci, którzy mają kilka zarejestrowanych czworonogów, będą mogli zatrzymać najwyżej dwa. Prawo do rejestracji nowego zwierzątka (jednego) nabadą tylko te rodziny, które dotąd nie miały psa.

Tak władze chcą walczyć z niekontrolowanym przyrostem populacji nielegalnych czworonogów – w Szanghaju żyje ich 600 tysięcy. Według policji w 2010 roku te niezarejestrowane dopuściły się 140 tysięcy pogryzień. LUC



for: Maxppp/Forum

### CO MÓWIĄ LICZBY

## 1 złoty

– O TAKĄ KWOTĘ PROCESUJE SIĘ Z PLATFORMĄ OBYWATELSKĄ DOMINIK JAFRA ZE SZCZECINA. W 2007 roku zgłosił na tę partię, bo obiecała jemu i innym Polakom jednomandatowe wybory do Sejmu. PO władzę zdobyła, ale obietnicy nie dotrzymała. Jafra uważa, że poniósł straty moralne, ponieważ nie potrafi już ufać żadnej partii i nie wyobraża sobie udziału w kolejnych wyborach. Jeśli wygra w sądzie, chce, żeby symboliczna złotówka została przekazana na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Początek procesu – 1 marca. LUC

### SZTUKA

## Hieny u Nowosielskiego

**K**ilkanaście godzin po śmierci wybitnego polskiego malarza, profesora Jerzego Nowosielskiego (pożegnanie artysty na s. 58), złodzieje okradli jego dom w Krakowie. O włamaniu zawiadomiła policję opiekunka artysty, która w środę rano przyszła posprzątać. Sprawę badała małopolski funkcjonariusze. Dziś wiadomo, że zniknęło kilkanaście obrazów i ikon oraz dwa zbyt kosztowne zegary. Policja szacuje wartość strat na blisko 250 tysięcy złotych i nie wyklucza kradzieży na zlecenie. – Złodzieje byli amatorami. Zostawili jeden z cenniejszych obrazów – martwą naturę malowaną na deskach, ulubiony obraz jego żony Zofii Nowosielskiej – mówi Andrzej Starmach, przyjaciel i opiekun artysty, właściciel galerii Starmach. Zapewnia też, że wszystkie dzieła Nowosielskiego są skatalogowane, dlatego nie uda się ich sprzedać w Polsce, a za granicą – gdzie malarz nie jest znany – sprzedaż się nie opłaci. – Wartość skradzionych dzieł nie była wysoka i jest kwestią drugorzędą po moralnie obrzydliwym przestępstwie – uważa Starmach. Złodzieje porównuje do hien cementarnych, a kradzież do wyrwania złotych zębów nieboszczykom.

### EGIPT

## Imię Facebooka

**F**acebook! Obiad! – usłyszy za kilka lat niedawna narodzona Egipcjanka. Jej ojciec Jamal Ibrahim tak się ucieszył z obalenia Hosniego Mubāraka, że nazwał swoją córkę na cześć najpopularniejszego portalu społecznościowego świata. „Dlatego to zrobiłem? To dzięki Facebookowi i Twitterowi możemy mówić, co chcemy, wymienić się zdjęciami czy planować spotkania. Władza nie ma nad nami kontroli!” – tłumaczył w telewizji ABC News. W dużej mierze to dzięki akcji w tego typu serwisach 25 stycznia na kairski plac Tahrir przyszedł tłum. Wael Ghonim, szef bliskowschodniego marketingu Google, a potem bohater antyprzewydenckich protestów, zainicjował kampanię sprzeciwu właśnie na Facebooku. Władze w końcu zorientowały się, jak potężną bronią jest Internet, i odcięły od niego mieszkańców. Mimo to egipskiego buntu nie udało się już powstrzymać. WOJ

## Z natury

W ostawionej Puszczy Białowieskiej ukrywają się żubry i... sekret Białej, czystej jak łąka polskiej wódki

**W** północno-wschodniej części Polski, w województwie Podlaskim znajduje się jeden z najczystszych ekologicznie terenów w Europie. Rzadkie gatunki roślin i drzew mają tam idealne warunki do rozwoju, o czym świadczyć może obecność wielu skarbów przyrody zagrożonych wyginięciem. Najbardziej charakterystycznym symbolem Puszczy jest roślina Bison bonasus, czyli żubr. To z nim związany jest fenomen jednego z najbardziej rozpoznawalnych polskich produktów – wódki Żubrówki. Jednym z przysmaków polskich żubrów są łydki świeżutkiej turówki wonnej, która na cześć majestatycznego zwierzęcia nazywana jest od setek lat „trawą żubrową”. To właśnie ona jest unikalnym składnikiem popularnej na całym świecie, kultowej wódki Żubrówki Bison Grass, która słynie z unikalnego smaku, słomkowej barwy i aromatu świeżo skoszonej trawy. Tworzony od ponad 600 lat polski trunk odziedziczył nawet Unia Europejska i w Traktacie Akcesyjnym przyznała mu przywilej korzystania z geograficznego oznaczenia – można więc stwierdzić, że Żubrówka jest naszym skarbem narodowym. Niezwykły aromat trunku zapewnia właśnie turówka, którą zbierają doświadczeni eksperci, a następnie



dzielić ją na dwie grupy: proste żdzbla esencjonalnej trawy trafią do butelek jako ozdoba, reszta służy do stworzenia maceratu. Proces ten przebiega w odpowiednich, ściśle kontrolowanych warunkach, co umożliwia otrzymanie aromatycznej esencji w intensywnym słomkowym kolorze. Proces powstawania trunku przypomina alchemię: ważny jest każdy składnik, ruch oraz zaangażowanie i fachowość gorzelników.

Nową odmianą Żubrówki jest jej czysta wersja – goszcząca od niedawna na polskim rynku Żubrówka Biała, która czerpie z najlepszych tradycji swojej starszej siostry. Nieskazitelnie czysta Żubrówka Biała wywodzi się z najbardziej niedostępnych i nieskazitelnych terenów Puszczy Białowieskiej. Produkujący ją zakład w Białymstoku z sukcesem łączy tradycyjne receptury polskich gorzelników z najnowocześniejszą technologią.



Dzięki naturalnemu pochodzeniu oraz zastosowaniu pionierskich metod produkcji Żubrówkę Białą cechuje krystaliczna czystość i łagodny smak. Dodatkowym elementem stanowiącym o najwyższym poziomie sztuki i jakości jest zastosowanie w procesie produkcji jedynej w Polsce platynowej filtracji. Uzyskany dzięki połączeniu tych wszystkich cech trunku stanowi niemalże wzór krystalicznej czystości w ujęciu gorzelniczym. Naturalny charakter nowej Żubrówki podkreśla również czysta forma opakowania. Harmonijnie żłobiona butelka została zaprojektowana przez znaną brytyjską agencję projektującą opakowania dla

największych światowych marek.

Receptura tworzenia Żubrówki jest tajemnicą firmy, skrupulatnie pilnowaną i przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Czy Biała odniesie też tak ogromny sukces na rynku? Polscy konsumenci już się wypowiedzieli. Docenili już czystą Żubrówkę Białą, która z sukcesem podbija serca rodaków, a jej debiut można zaliczyć do najdynamiczniejszych wejść na rynek alkoholi mocnych.

Zgodnie z danymi agencji badawczej AC Nielsen, nowy produkt z portfolio CEDC osiągnął 4,5% udziałów wolumenowych w obrocie wódek czystych po ledwie 10 tygodniach od wprowadzenia. Sprzedając w styczniu 2011 roku 760 tysięcy litrów wódki<sup>1</sup>, Żubrówka Biała pozostawiła w tyle tak znane marki jak: Wyborowa, Sobieski, Stock Prestige, Finlandia czy Smirnoff.

Szczególnie dobrą pozycję osiągnęła w hipermarketach i supermarketach (bez sieci dyskontowych), gdzie udziałem wolumenowym na poziomie 9% była drugą najlepiej sprzedającą się marką wśród wódek czystych.



<sup>1</sup>Odsprzedaż w punktach detalicznych raportowana przez AC Nielsen za styczeń 2011.





# GURU znów przed mikrofonem

**PIOTR KACZKOWSKI**, legendarny dziennikarz Trójki, po półtorarocznej przerwie wraca do radia. Grzegorzowi Miecugowowi mówi, czego się dowiedział o ludziach i o sobie podczas kilkunastomiesięcznej choroby

**Masz 65 lat, zresztą ledwo co ukończone. Chcesz się jeszcze?**

- Jak nigdy do tej pory.

**Dlaczego?**

- Ponieważ, jak to udowodnili mądrzy ludzie, im więcej się wie, tym więcej jest jeszcze do odkrycia. Im więcej muzyki się zna, tym bardziej człowiek przekonuje się, jak ogromne są obszary, których nie zdążył poznać. Doszedłem do tego zresztą już dawno, ale tym razem zaskoczyła mnie skala tego zjawiska. 11-12 lat temu prowadziłem w Trójce licytację unikatowej bluzy. Śnieżny wieczór, dzień przed Wigilią, wybrałem utwory do ubierania choinki, wszystkie starsze ode mnie. Oczywiście znałem je, ale i tak musiałem się przygotować, trochę więcej się dowiedzieć, nauczyć, wejść w tamten czas. I wtedy się okazało, że zgarąłem łyżeczką tylko sam lukier, ten krem na torcie, a pod spodem czekała gigantyczna, w pewnym sensie nieznana mi, fascynująca historia muzyki popularnej. Zacząłem się jej uczyć, odszukiwać oryginały gdzieś na końcu świata, docierać do innych kolekcjonerów. I nagle okazało się, że opracowałem już osiem zestawów autentycznie trzeszczących płyt z nawet stuletnimi nagraniami.

**Wróciłeś na antenę po chorobie. Jak długo cię nie było?**

- Trudno powiedzieć, że mnie nie było, bo przychodziłem, byłem gościem programów, dzwoniłem na antenę. Cały czas gdzieś blisko, ale bez szans na codzienne obowiązki antenowe i redakcyjne. W tym sensie nieobec-

ność trwała prawie półtora roku. Ale też jeszcze nie wiem, jak to się teraz będzie układało, bo nadal nie mogę powiedzieć, że wszystko działa idealnie i jak samochód po wypadku...

**...wyklepany, naprawiony...**

- Ale jak mówił mechanik: „Nówki sztuki się z niego nie robi”. Pojazd jest naprawiony i polakierowany, jednak trochę chrzęści, trochę chrobocze, trochę chrypi.

**I zarzuca na zakrętach.**

- Tak. Trzeba się z nim obchodzić ostrożniej.

**Co się czuje, gdy się siada po takiej przerwie przed mikrofonem?**

- Strach.

**Taki jak przed pierwszym razem?**

- Większy. Zresztą ja w ogóle jestem jednym z tych, których trema dopada trzy sekundy przed zapaleniem się lampki.

**To dlaczego jej nie słychać?**

- Ja ją słyszę.

**Jestem twoim słuchaczem od 1972 roku i jej nie słyszę.**

- Kiedyś fenomenalna realizatorka radiowa, doskonale znana też tobie Zofia Kruszewska, wytłumaczyła mi to jednym zdaniem: „Tego, że chciałeś, by zapowiedź wyszła lepiej, nie wie żaden słuchacz - to wiesz ty, a słyszysz ją”. Bardzo pomocna rada. Myślę, że potrafię wskazać moment audycji, w którym trema słabnie. Czasami po kwadransie, czasami później, a niekiedy odpływa błyskawicznie. Dopóki nie zaniknie, czuję się, jakbym stąpał po bardzo kruchym lodzie. Coś w audycji musi ruszyć, zadziałać. Dlatego najdłużej

układa się pierwsze utwory, chociaż katalizatorem może być właściwe słowo w zapowiedzi, list od słuchacza, telefon...

**...a czasem spojrzenie realizatora.**

- Tak. Najkrócej mówiąc, duch musi przelecieć przez studio.

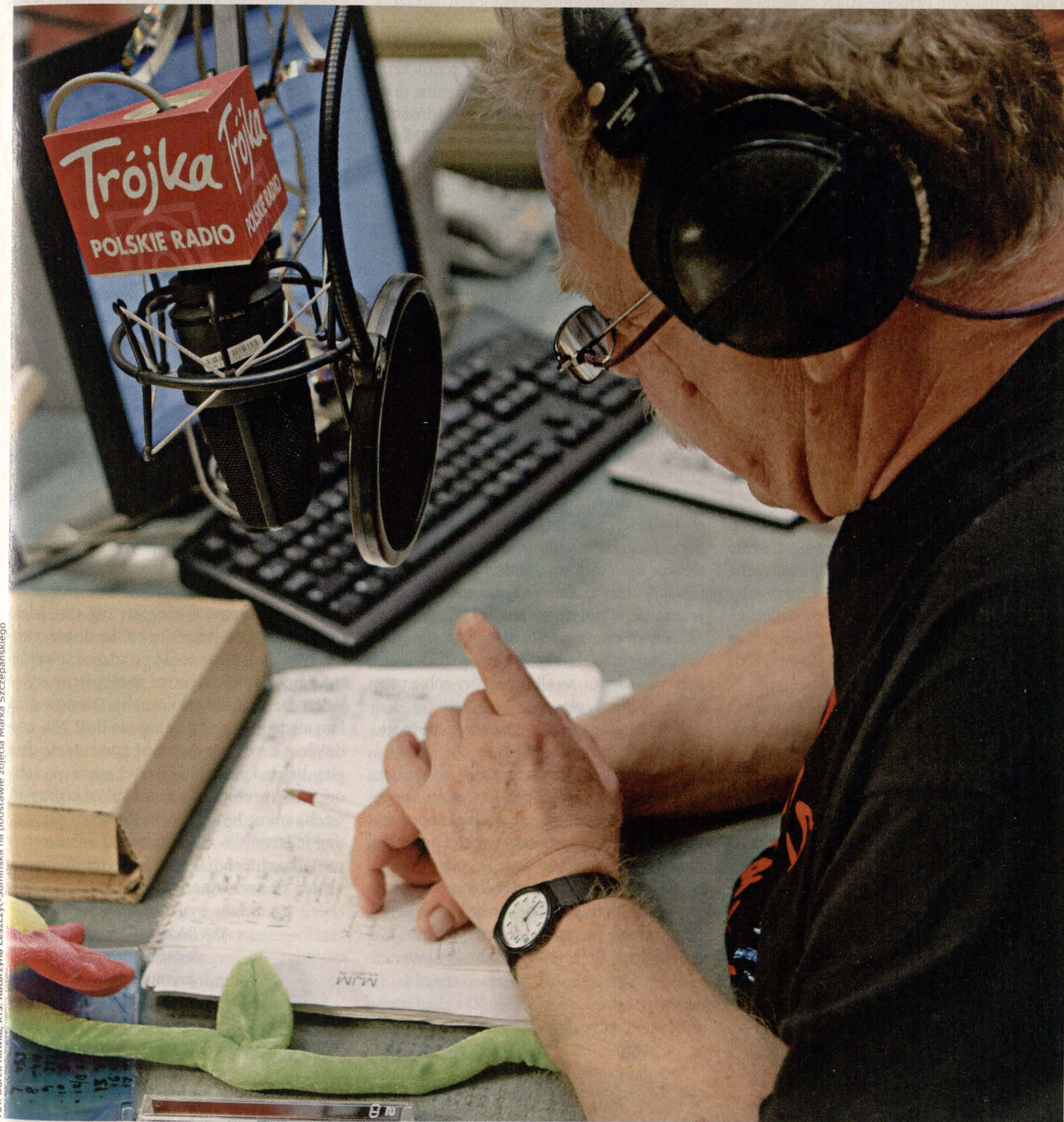
**Pytałem, czy ci się jeszcze chce, bo w dużej mierze to, że wylądowałeś w szpitalu, że przeszedłeś ciężkie chwile i operacje, jest konsekwencją twojej pracy. Nie tylko zmagania się z tremą, ale także niedosypiania, niedojadania, pośpiechu.**

- Często mówimy: „brak zbiegu okoliczności łagodzących”, ale tak naprawdę sprawcą jest absolutny brak jakiegoś rozkładu jazdy. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, czy nagle wieczorem nie zadzwoni telefon, że trzeba coś pilnie zrobić na rano. Albo że ktoś ma płytę, która wyjdzie za miesiąc, i pyta, czy chcę ją na wieczór. Wsiadam do samochodu, przywożę, słucham, przemodelowuję cały przygotowany już program i pędzę do studia. Ale tak było zawsze. Z takim samym drżeniem serca w 1967 roku jechałem nocnym autobusem do radia, żeby przeagrać pożyczoną na kilka godzin pierwszą w Polsce płytę Jimiego Hendriksa. Potem inżynier napisał na pudełku: „Audycja źle nagrana, sprzężenia, niewyraźny głos wokalisty, technicznie do niczego” (śmiech).

**No i wracasz do tego. Czy może coś zmieniłeś?**

**Choroba czegoś się nauczyła?**

- Jeszcze nie albo nie do końca zdają sobie z tego sprawę. Przypomniałeś mi teraz wspólnego redaktora, starszego ode mnie →



FOT. DAREK KAWKA, RYS. KATARZYNA LEŚCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARKA SZCZEPAŃSKIEGO

**” Wszystkie potrzebne mi płyty mam w głowie. I kiedy nagle trzeba odnieść do siebie dwie piosenki albo trzy albumy, to sięgam do głowy. Myślę, że parędziesiąt tysięcy płyt jestem w stanie odtworzyć sobie ze swojego osobistego iPod'a**

PIOTR KACZKOWSKI



→ o lat dwadzieścia parę, który na zebraniu rozpoczynającym istnienie audycji „Muzyczna poczta UKF” dowiedział się, że program będzie na żywo i że od 4 po południu będą telefonować słuchacze. Powiedział wtedy: „O nie, ja nie będę mógł tego robić, ja zawsze o tej porze ucinam sobie drzemkę”. Było nas w pokoju ośmioro-dziewięcioro, spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem. Taka niesamowita audycja, o jakiej drzemce on mówi? „Muzyczna poczta” okazała się przebojem lat 70., on nie poprowadził jej nigdy. Odpowiadając na twoje pytanie: jeszcze tak nie mam.

**Czyli nie będzie populudnowej drzemki, ale czegoś cię ta choroba chyba nauczyła?**

– Nauczyła, żeby jeszcze rzadziej cokolwiek odkładać na za miesiąc, za tydzień, nawet za godzinę. Że już nie ma czasu na czekanie. Ale nie chcę mówić „choroba”, raczej „bezczytność zawodowa”, a może lepiej powiedzieć: „niemożność zawodowa”.

**Czyli w pewnym sensie odstawienie?**

– Też nie to słowo. To jest bezradność, bezsilność, brak fizycznej możliwości słuchania 35 godzin nowych płyt tygodniowo. Paradoksalnie – to już czasowo prawie pełny etat. Sześć godzin dziennie świeżej muzyki, którą trzeba przetrwać, nauczyć się jej, opisać, przygotować, posegregować i z tego wybrać najlepsze trzy godziny na koniec tygodnia, jeszcze raz przesłuchać, ułożyć w logiczną całość i w jakis sensowny sposób o tym opowiedzieć.

**Kiedyś pomnożyłem liczbę godzin doby przez tygodnie, miesiące i lata. I wyszło mi, że żyjemy średnio 650 tysięcy godzin. Dopiero wtedy widać jak na dłoni, jak szybko te godziny uciekają.**

– Był taki utwór grupy The Moody Blues „Masz 22 tysiące dni”. Tyle że gdy ja go wtedy słuchałem, ten 22. tysiąc był bezpiecznie odległy. Na początku każdej podróży, ba, nawet zwykłego tygodniowego wypadu *last minute*, dni jest znacznie więcej niż pod koniec. Nie chcę myśleć o umykającym czasie. Raduję się, że w ciągu ostatniego roku udało mi się zapoznać z całą twórczością Franka Sinatry. Sądziłem, że ją znam, a tu się nagle okazało, że dotarłem do nagrań, o których istnieniu pewnie on sam nie wiedział.

**Czy dowiedziałeś się podczas tych kilkunastu miesięcy czegoś nowego o ludziach?**

– Tak. Bardzo wielu bardzo ciekawych rzeczy. Dowiedziałem się, że jeśli cię

nie ma, to telefon nie dzwoni i nie egzystujesz w przestrzeni zawodowej. Ale jeżeli napiszesz w e-mailu ze szpitalnego pokoju do porannego prezentera: „Obawiam się, że od jutra straci pan słuchacza, ponieważ opuszczam szpital i nie zamierzam już wstawać ciemną nocą w celu mierzenia temperatury i udrożnienia wenflonów”, to twój świat ożyje. Telefon zaczął dzwonić, mnóstwo ludzi chciało natychmiast wiedzieć, czy pojutrze mogę zrobić wywiad lub czy przed niedzielą audycję przesłucham płyty, a w piątek do wieczora dam znać, czy zaproszę muzyków na rozmowę. Ale to drobiazgi, zwykłe zawodowe „wkłajenie w obieg”. Ważniejsze okazały się natomiast te osobiste. Bo nauczyłem się być sam ze sobą. Należę do tych szczęśliwców, którzy nigdy w życiu się nie nudzili, a kilka samotnych godzin nocnej wachty na małej łódce było tylko dodatkową radością. Nie przewidziałem jednak wielodniowego wpatrywania się w sufit, gdy nie możesz się poruszyć, by nie przygnieść rurek drenów i kroplówek. Paradoksalnie wyzwoliłem niepracujące chyba do tej pory części mózgu i po raz pierwszy w życiu zacząłem wszystko układać. Identycznie było ostatnio, podczas drugiej rehabilitacji – trzy godziny spędzane codziennie w basenie, w którym można być tylko ze sobą, okazały się czarowne. Co nawróci, to piosenka, ale ponieważ szło zbyt wolno, przeskalowałem – co nawróci, to album, który sobie przepiewywałem w głowie.

**A kiedy tak długo jest się z samym sobą, to się siebie lubi bardziej czy mniej?**

– Nie doszedłem do zastanawiania się nad tym. Mam jeszcze za dużo spraw, które muszę poukładać, a myślenie o sobie ich nie popycha. Czasami mógłbym zastanowić się, po co słucham nowej muzyki siedem godzin dziennie. Ale chyba odpowiedziałbym to co zwykle: panie Piotrze, a jakiej muzyki słucha pan potem, po pracy, dla przyjemności? Żadnej. To jakie płyty zabrały pan

na bezludną wyspę? Nie zabrałbym żadnej. Na bezludnej wyspie nie ma prądu i na pewno nie ma gramofonu, a wszystkie potrzebne mi płyty mam w głowie. I kiedy nagle trzeba odnieść do siebie dwie piosenki albo trzy albumy, zrobić coś w rodzaju zawiązania sznurówadła, to sięgam do głowy. Myślę, że parędziesiąt tysięcy płyt jestem w stanie odtworzyć sobie ze swojego osobistego, nadal bardzo pojemnego iPoda.

**A przez te półtora roku czego się dowiedziałeś o polskiej służbie zdrowia?**

– W książce Tadeusza Konwickiego przeczytałem kiedyś takie zdanie, że gdy było trzeba, to w ciągu kilkunastu sekund otoczono łóżko sprzętem, wbito w pacjenta mnóstwo różnych igieł i wszystko zaczęło ponownie działać. I chyba tak było ze mną. W piątek po południu skończyłem audycję, wieczorem byłem na wernisażu, w sobotę przygotowałem „Minimax”, spędziłem uroczny wieczór u przyjaciół, a w niedzielę o świcie byłem na ostrym dyżurze. „Sztuka lekarska jest najdostojniejszą ze wszystkich”. Myślę, że doświadczyłem, jak działa przysięga i przykazanie Hipokratesa. Jak mądrze i cierpliwie się leczy i jak rozważnie dawkuje informacje, żeby pacjent psychicznie nie zniechęcił. Mówiono mi: to troszkę potrwa, może parę tygodni. Idzie powolutku, ale prawidłowo, w dobrą stronę. Wiedziałem, że to się pojutrze nie zrepetuje, ale zdanie: „Pojutrze spróbujemy wyjąć jeden dren”, dodawało otuchy. Drenów miałem siedem, więc ile to zajmie dni? Nie wiedziałem, że by przygotować pacjenta do drugiej, bardzo skomplikowanej operacji, żeby organizm przestał chorować i mógł ją przyjąć, trzeba roku. Jestem pełen podziwu dla wiedzy lekarzy, dla ich zdolności, mistrzostwa nie tylko chirurgii i sprawności manualnych, ale też czuwania nad psychiką chorego. Nie ma dnia, bym o tym nie myślał.

**Tak jak ty słuchasz płyt przez siedem godzin, tak oni czytają nowe rzeczy, chcą być mistrzami. Przynajmniej niektórzy.**

– No i ja miałem chyba to szczęście, że trafiłem na mistrzów, ale przez ich pryzmat widzę wszystkich lekarzy. Tak jak my w radiu nie mamy wolnego w święta czy w sylwestra, tak i oni nie mają. Jeżeli ja przez szpitalne

okno widziałem lądujący helikopter, z którego w pośpiechu wynoszono skrzynkę, to wiedziałem, że szykuje się przeszczep, i miałem świadomość, że w tej chwili...

**...ktoś przerwał kolację.**

– Tak, bo „właśnie trzeba”.

**Czy miałeś kiedyś poczucie bycia guru?**

– Nie.

**No, ale w latach 70. i 80. tak przecież było.**

– Wiele razy słyszałem to określenie i wiele razy pytano mnie o to, ale nigdy nie miałem takiego poczucia. Wiedziałem, że robię to, co kocham, i kocham to, co robię.

**Ale musiałeś mieć poczucie, że w sytuacji, gdy jedynym radiem do słuchania była Trójka – no i może fragmenty Jedynki, w których też miałeś swój udział – to właśnie od ciebie zależało, czym muzycznie zarażały się miliony młodych ludzi. To nie jest rola guru?**

– Nie, nie sędzę. Byłem jednym z ludzi, którzy mieli możliwość dzielenia się swoją pasją, identycznie jak chociażby redaktorzy miesięcznika „Dialog”, wyszukujący najświeższe literackie perełki. Led Zeppelin wygrywał, bo radio grało w każdym domu, a „Dialog” kosztował osiem złotych i wyglądał jak nieapetyczny skrypt uniwersytecki. Kiedyś ktoś mnie pytał o streszczenie mojego życia w jednym zdaniu i napisałem wtedy, że połowę wszystkich zarobionych pieniędzy wydałem na płyty, a drugą połowę na bilety. Wysznułem z tego wniosek, że te bilety to na pewno na koncerty, ale nie – wydawałem na bilety w ogóle. Żeby wejść na Fudzi albo przepłynąć przez Trójką Bermudzką. Także żeby tam posłuchać jakiegoś radia, a najlepiej wejść do rozgłośni, co udało mi się kilkadziesiąt razy. Ciekawiło mnie, jak gdzieś tam daleko gra radio. I dlaczego gra właśnie tak. Płyty to nie było tanie hobby. Mało kto pamięta, ile kosztował wtedy longplay. Za średnią pensję można było kupić dwa, czasami trzy. Jeden z naszych wspólnych kolegów przyszedł kiedyś do mnie do domu, zobaczył zdjęcia, płyty i powiedział: „Tobie to dobrze, byłeś w Chinach, byłeś na Maderze, masz tyle płyt”. Nie zarabiasz mniej niż ja, odpowiedziałem, też możesz jechać i zbierać płyty. Usłyszałem, że nie, bo chyba nie wiem, ile kosztowała jego kanapa.

**Pytałem o to wpływanie na setki tysięcy ludzi także w kontekście współczesnym. Dziś mamy dziesiątki stacji radiowych, Internet, a w nim przeróżne portale. Niedawno kolega powiedział mi, że był na koncercie artysty, o którym ja nigdy nie słyszałem. Poszukałem go w sieci i znalazłem piosenkę, która miała osiem i pół miliona odsłon. To jest znak, że coraz bardziej**

REKLAMA



**Poczuj moc dodatków**

**żyjemy w różnych światach.**

**Ktoś, kto jest na Facebooku, żyje w innej rzeczywistości niż ktoś, kogo na tym Facebooku nie ma. Masz poczucie takiego rozpadu?**

– Liczba atakujących nas informacji, stron internetowych czy, zmniejszmy skalę, stacji radiowych i telewizyjnych jest rzeczywiście ogromna. A jednocześnie każdy podmiot chętnie podaje listę najważniejszych utworów, podsumowań, nagród, wyróżnień oraz jedynych słusznych ocen i komentarzy. Taka nagroda Grammy ma już sto parędziesiąt kategorii. Śmiałem się kiedyś, że przyjdzie moment, w którym będzie się wręczać statuetkę za najlepszy utwór dla artysty, który wystąpił w czerwonej marynarce. I jednocześnie każda nagroda jest najważniejsza, tak jak każda stacja jest najlepsza. Ale to mi nie przeszkadza. Każdy ma prawo do swojego świata w dowolnej skali, byle tylko był w nim szczęśliwy.

**Pamiętasz, co mi powiedziałeś, gdy po dłuższym czasie wróciłeś z USA do Polski? Pewnie nie, więc ci przypomnę: „Grzesiu, tu jest ładnie, tu nie walają się puszki na ulicy”. A jak ci się dzisiaj podoba Polska?**

– Dobrze pamiętam to zdanie, jak również to, jak ono blakło we mnie w następnych latach. Ale gdy mnie wtedy pytałeś, aluminiową puszkę można było u nas zobaczyć w kinie, a kupić tylko w Peweksie. Dziś w Ameryce wyrzucenie

puszki to pewny mandat w wysokości średniego tygodniowego zarobku. Świat zdążył się sporo nauczyć, ale miał na to czas. U nas przejście od braku produkcji puszek do

ich średniej światowej w przydrożnych rowach trwało zaledwie chwilę. Zachłysłnieliśmy się. Ale nie chcę, żeby to zabrzmiało jak narzekanie. Jestem szczęśliwy, że możemy podróżować, że mamy nieograniczony dostęp do wiedzy, kultury. Marzyłem, że w dniu premiery będziemy mogli zobaczyć film, kupić płytę. Dziś takie pragnienia są niezrozumiałe dla 10-latków, który dostał właśnie nowy model telefonu. Byłbym tylko szczęśliwszy, gdyby kierowca pełnego pasażerów przegubowego autobusu nie dzwonił do niego, pędząc przez skrzyżowanie na żółtym świetle.

## Piotr Kaczkowski

65 lat, jeden z najstojniejszych polskich prezenterów i dziennikarzy radiowych. Zaczynał w 1962 roku w „Klubie przyjaciół piosenki” (Rozgłośnia Harcerska). Pierwszym utworem, który tam zaprezentował, było „Love Me Do” The Beatles. Rok później zadebiutował w Trójce, której wizytówką jest do dziś. Prowadził tam między innymi środową audycję „W tonacji Trójki” oraz sobotnie „Zapraszamy do Trójki”. Jego okrętem flagowym stał się jednak wciąż istniejący „Minimax”.





# Całkiem niekulawa nauka

Jak stworzyć miejsce dla ludzi, których ulubionym zajęciem jest kontestacja? Jak przyciągnąć do nauki tych, którym kojarzy się ona z nudą lekcji i drętymi gadkami? To spore wyzwanie

OLGA WOŹNIAK

**B**yć naukowcem to jedno. Ale być naukowcem z misją... Ooo, to już zupełnie inna - i wcale nie tak częsta - historia. Dlatego kiedy trafia się na osobę taką jak Gert Holstege z holenderskiego Uniwersytetu w Groningen, raduje się serce popularyzatora nauki. Bo profesor Holstege swoją pracę traktuje jak posłannictwo. - Ludzie muszą wiedzieć o orgazmie! To niemożliwe, by przez zwykłą niewiedzę mogło kogoś ominąć w życiu tyle dobrego - stwierdza stanowczo i robi wszystko, by te słowa wprowadzić w czyn.

Można więc sobie wyobrazić jego entuzjazm, gdy zgłosiła się do niego niemiecka firma Archimedes, która zajmuje się przygotowywaniem wystaw, galerii i instalacji popularyzujących naukę. - Czy ktoś na świecie wie, jakie obszary naszego mózgu są aktywne podczas orgazmu? - zastanawiali się specjaliści z Archimedes, wertując naukowe pisma i przeczesując portale. I tak trafili do profesora Gerta Holstege. A dla niego - neurobiologa oddanego swemu zajęciu - mózg to niezwykle podniecający ludzki organ. Dlatego z lubością przygląda mu się w tomografii komputerowej. Stąd też wie, że podczas orgazmu w mózgu kobiet wyłączają się obszary od-

powiedzialne za rozpoznawanie i kontrolę emocji. Zwłaszcza zaś jądro migdałowe i hipokamp, czyli struktury biorące udział w odczuwaniu strachu i wzmagające czujność. - To może być niegłupie z punktu widzenia ewolucji - komentuje swoje badania Holstege. - Wyłączenie tych emocji może zwiększać szanse na reprodukcję. Bo wtedy perspektywa uzyskania potomstwa staje się ważniejsza niż ryzyko grożące osobnikowi z zewnątrz. Takie zachowanie obserwuje się u niektórych zwierząt podczas sezonu rozrodczego, kiedy to potrzeba krzyżowania się staje się silniejsza niż strach przed drapieżnikami.

A jak jest u panów? Obserwacje przeprowadzone w grupie 11 mężczyzn wykazały, że orgazm nie powoduje wyłączenia tak wielu miejsc w męskim mózgu. Profesor Holstege jednak podchodzi sceptycznie do ich wyników i uważa je za mało wiarygodne. - Problem w tym, że aby badanie mózgu z użyciem PET (pozytonowej tomografii emisyjnej) było coś warte, powinno trwać przynajmniej dwie minuty, a u mężczyzn orgazm to zaledwie kilka sekund - tłumaczy.

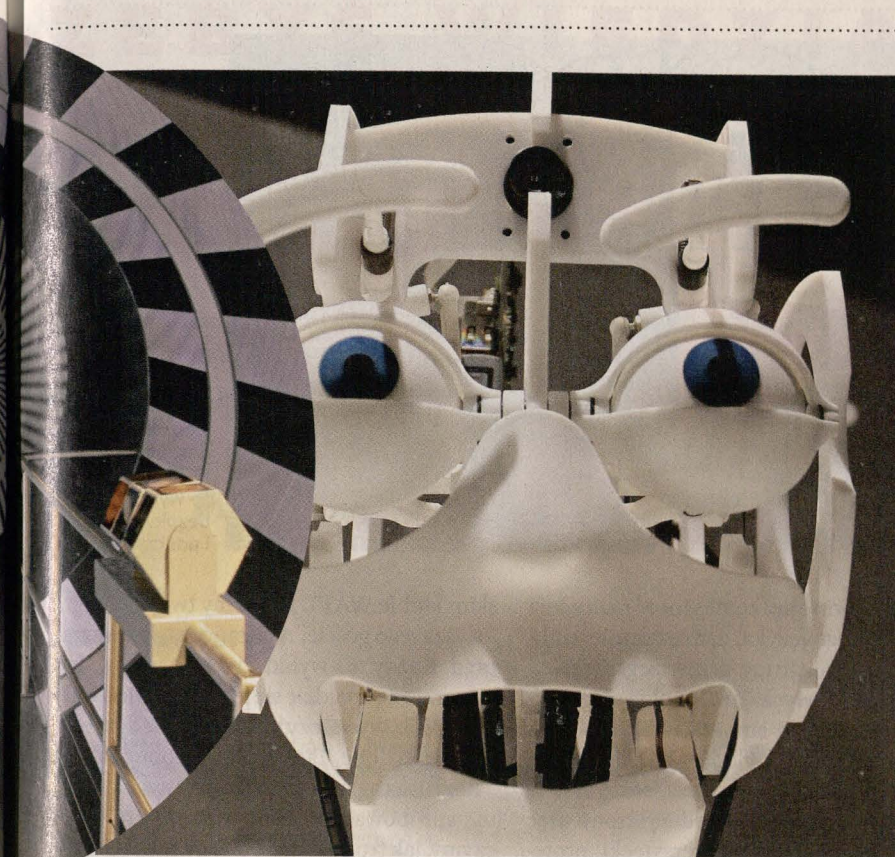
No dobrze, ale do czego firmie z Niemiec potrzebny był badacz o takich zainteresowaniach? Otóż Archimedes stanął przed nie lada

wyzwaniem - musiał wymyślić kompletnie inną od wszystkich, naprawdę niekulawą galerię popularyzującą naukę. Taką, jakiej jeszcze nigdzie nie było. Takie zadanie zleciło mu warszawskie Centrum Nauki Kopernik.

Najkrócej rzecz ujmując, chodziło o to, by wymyślić sposób opowiadania o nauce uwzględniający bardzo nietypowego odbiorcy: nastolatka, studenta. Kogoś, kto raczej nie wybiera się w miejsca „dla dzieciaków”, gdzie trzeba lawirować między szkolnymi wycieczkami. A także dla kogoś, kto często na dźwięk słowa „nauka” nie potrafi powstrzymać ziewnięcia. Co z tego wyszło?

## Smutek robota

Ze współpracy z profesorem Holstegem narodził się na przykład nietypowy eksponat w postaci volkswagena garbusa. „Wsiądź do samochodu i wyrusz w podróż do świata seksu” - zachęca napis. Do środka nie zmieści się jednak zbyt wiele osób, bo są tu tylko przednie siedzenia. A co z tyłu? To już można oglądać w lusterku wstecznym. I choć obraz, który wyświetla się na nim, jest nieco rozmazany, nietrudno dostrzec, że to kochająca się para. Wrzucamy biegi, kierunkowskaz i start! Świat seksu przestaje być tajemnicą.



FOT. Grazyna Jaworska/Agencja Gazeta, Marcin Smulczyński/SE/Est. News

Wirujący tunel zawróci ci w głowie, Felix oczaruje wyrazistym obliczem, a cała galeria RE: generacja pokaże, jak nudne zamienić w ciekawe

Gdzie stoi taki seksamochód? W otwierającej właśnie w Centrum Nauki Kopernik galerii RE: generacja. To miejsce jest dowodem, że nauka może być przekazywana w niebanalny sposób. I to nie żadna popnaukowa papka, lecz poważna nauka, za którą stoją nobliwe instytucje. Na przykład? No więc choćby Fraunhofer Institute, znany także pod nazwą Towarzystwo Fraunhofera. To największa w Europie organizacja zajmująca się badaniami stosowanymi i wdrażaniem ich w przemysł. Zrzesza ponad 50 niemieckich instytutów naukowo-badawczych specjalizujących się w technikach informatycznych i telekomunikacyjnych, mikroelektronice, energetyce czy inżynierii środowiska. To właśnie w jednym z instytutów towarzystwa w 1991 roku stworzono format zapisu dźwięku mp3.

W RE: generacji owoc współpracy Fraunhofer Institute z Archimedesem znajduje się w szklanym pudełku. To głowa. Głowa robota o imieniu Felix. Kiedy staniesz naprzeciwko, Felix się ożywia. Otwiera szeroko oczy, a jego kamera bacznie śledzi twoją twarz. W tym czasie komputer dokonuje jej szczegółowej analizy. Jesteś wesoły, smutny, zakłopotany, zły? Robot odbije emocje malujące się na twoim obliczu niczym lustro. Łatwe? Akurat!

Z analizą wyrazu twarzy często nie radzą sobie nawet nasze białkowe mózgi, jak dotąd ciągle doskonalsze od krzemowych. Okazuje się bowiem, że ludzie z różnych kultur mogą odmiennie interpretować te same miny. Mieszkańcy Azji Wschodniej mogą nas źle zrozumieć, bo koncentrują się głównie na oczach, podczas gdy ludzie Zachodu skanują wzrokiem całą twarz. Dlatego na przykład Azjaci myślą strach Europejczyków z zaskoczeniem, a odrazę z gniewem. Być może ma to także związek z kulturowymi różnicami dotyczącymi społecznego akceptowania poszczególnych emocji.

Po co jednak uczyć maszyny radzenia sobie z ludzkimi emocjami? Przybierania różnych wyrazów twarzy? - Podobna technologia ma sprawić, że komunikacja ludzi i maszyna stanie się bardziej naturalna i intuicyjna - twierdzą specjaliści. To ważne między innymi w przypadku medycznych i edukacyjnych zastosowań robotów. Albo dla bezpieczeństwa ruchu. Specjaliści z Audi razem z naukowcami z amerykańskiego Massachusetts Institute of Technology pracują nad samochodem, który będzie rozumiał nawyki i emocje kierowcy, aby lepiej wskazywać mu drogę. Wymyślili już urządzenie mocowane

do deski rozdzielczej, które ma postać głowy umieszczonej na szyi złożonej z pięciu stawów. Wewnątrz znajduje się niewielki laserowy projektor. Rzutowana na powierzchnię głowy grafika imituje wyraz twarzy adekwatny do nastroju robota. Ruchy głowy i zmiany mimiki urządzenia pozwalają wyrażać emocje, na przykład obawę związaną z niezapięciem pasów przez kierowcę. Liczne czujniki dostarczają systemowi danych na temat nastroju prowadzącego auto, na przykład siły, z jaką ścisną kierownicę, czy przewodnictwa skóry, które rośnie przy zdenerwowaniu.

Nie chcesz martwić samochodu? Prowadź przypięty!

## Nauka flirtowania

Na galerię RE: generacja składa się blisko 80 interaktywnych eksponatów. Pogrupowano je tak, by prowadziły przez rozmaite sfery aktywności człowieka. Pierwsza to JA. Skupia się ona na tym, co najlepiej stanowi o nas samych, czyli na mózgu. Prowadzi przez podświadomość, pamięć, procesy intelektualne, które często wymykają mu się spod kontroli. Choćby takie jak efekt Loftusa pokazujący, →

REKLAMA

# FREE SKI

**Val Gardena (I) Apt. Boe 3\* - 1300 zł/os.**  
**Tonale 1800 (I) Apt. Palace 3\* od 670 zł/os.**  
**Livigno (I) Hotel Original Gallis 3\*HB - 1750 zł/os.**  
**Madonna di Campiglio (I) Apt. Ambiez 3\* basen, od 1235 zł/os.**

## PROMOCJA!

**Pakiet AUTOKAR + AMBIEZ! 26 MARCA, druga osoba jedzie autokarem gratis!\***  
\*sprawdź warunki promocji.

+ samolot z Warszawy LOT Charters do Werony, lub autokar z 21 miast w Polsce od 395 zł/os. Ponad 550 ofert również w Austrii, Francji i Szwajcarii, ww. oferta z 6 dniowym karnetem, pobyt od 19 marca.





→ jak bardzo nie powinniśmy zawierać własnym wspomnieniom. A zbadano go tak: dwie panie psycholog – Elizabeth Loftus i Jacqueline Pickrell z Uniwersytetu Waszyngtońskiego – opowiadały swoim studentom ochotnikom po cztery historijki, które – jak twierdziły – usłyszały od krewnych badanych osób. Trzy były prawdziwe, czwarta zmyślona, o czym uczestników doświadczenia wyraźnie informowano. Gdy studenci mieli je sobie potem przypominać, co czwarty uczestnik spotkania był przekonany, że i ta zmyślona historia wydarzyła się naprawdę. W ten sposób tendencyjnymi pytaniami w czasie przesłuchań policyjnych czy sądowych można zasugerować jakieś wspomnienia. Okazuje się na przykład, że ludzie, odpowiadając na pytanie: „Z jaką prędkością jechały samochody, które się zderzyły?”, podają mniejsze liczby niż w przypadku pytania o auta, które w siebie „walnęły” czy „huknęły”. Ten efekt można przetestować na sobie na jednym z eksponatów w galerii RE: generacja. Którym? Nie zdradzę, by nie psuć zabawy tym, którzy się tam wybiorą.

Wychodząc ze strefy JA, wkraczamy w przestrzeń JA-TY. Tutaj znajdziemy eksponaty obrazujące nam relacje między ludźmi. Kłamstwo, manipulację, myślenie stereotypami, ale także przyjaźń czy flirt. Bo tak, owszem, flirtowanie również doczekało się poważnych naukowych opracowań. Akurat to wykorzystane w galerii pochodziło od badaczy z berlińskiego uniwersytetu: Larsa Penkego i Jensa B. Asendorpfa. W badaniu o nazwie Berlin Speed Dating Study sprawdzali oni, czy sygnały wysyłane przez dziewczyny i chłopców podczas flirtowania są tak samo czytelne dla obu płci (odpowiedź niepsująca przyjemności zwiedzania: nie zawsze).

Dalej – aleją noszącą imię Emila Durkheima (nazwy ulic zapisane są na galeryjnej podłodze) – wkraczamy w przestrzeń o nazwie JA-MY-ONI poświęconą życiu w grupie i rolom społecznym. Skąd taki patron tej części galerii? Durkheim nazywany jest ojcem nowoczesnej antropologii. Wiele badań poświęcił relacjom społecznym, na przykład wspólnotom religijnym, solidarności społecznej, prawu.

Jeśli jednak to nas nie pociąga, zawsze mamy szansę na skok w bok. Choćby w pracowni Bronisława Malinowskiego prowadzącą w kierunku eksponatów kulturoznawczych i etnolingwistycznych. Kim był Malinowski? Dla pokoleń socjologów, etnologów oraz historyków kultury to absolutny guru jako jeden z ojców założycieli antropologii społecznej i twórca metody badań terenowych. On sformułował postulaty badania pierwotnych społeczności,



FOT. Grażyna Jaworska/Agencja Gazeta

**Seks na tylnym siedzeniu garbusa?**  
W RE: generacja to wygodne, bezpieczne i pouczające

tak dziś oczywiście jak konieczność nauczania się miejscowego języka, zamieszkanie w obrębie opisywanej grupy, przestrzeganie miejscowych praw i zwyczajów. Według niego najważniejszym celem etnografa i antropologa było „uchwycenie tubylczego punktu widzenia, stosunku krajowca do życia, zrozumienie jego poglądu na świat”. Z jednej strony więc rzetelny naukowiec, uniwersytecki profesor, mąż i ojciec. A poza protokołem? Obieżyświat targany emocjami, frustracjami, wyrzutami sumienia z powodu lubieżnych ciągów w stosunku do obiektów własnych obserwacji. Podejrzany o homoseksualizm badacz obyczajów i życia seksualnego „dzikich”, którzy w jego oczach byli nie mniej cywilizowani od współczesnych mu londyńczyków. Naprawdę warto zajrzeć do zakątka noszącego jego imię. Albo przez chwilę zabawić na Rue Adolphe Quetelet – przecznicy wychodzącej od obszaru socjologii na eksponaty dotyczące przestrzeni miejskiej. W końcu to Queteletowi nauka zawdzięcza termin „socjologia” (przy okazji: zawdzięczamy mu też *body mass index* i rozmiary obuwia, bo lubował się w pomiarach ludzkich ciał, podchodząc do nich metodą statystyczną).

### Z głową w chmurach

Itak na koniec wchodzimy w strefę JA-ŚWIAT, która pokazuje rozwój nowych technologii, zmiany cywilizacyjne... – o nie, nie, opanujcie ziewanie. Tu nic nie jest standardowe. Ekologia? Wieje nudą, ale nie wtedy, kiedy słuchasz o niej z głową w chmurach. I to dosłownie – w trzech zawieszonych na różnych wysokościach obłokach toczy się opowieść o zmianach klimatu. Oszczędzanie energii? Wskocz na scenę, by zatańczyć elektryczny taniec i poczuć się przez chwilę jak w holender-

skim klubie WATT. „Chcemy twojej energii!” – słyszą jego goście. A ci, tańcząc, wytwarzają prąd. Każdy ma wytańczyć 5–10 watów. Jeśli na parkiecie znajdzie się jednocześnie dwa tysiące osób, wystarczy to na zasilanie dyskoteki przez całą dobę. Taka ekologia pobudza!

Rozruszani możemy jeszcze własnoręcznie spróbować zapłodnienia in vitro (zobaczmy, jak trudno to zrobić, by nie zniszczyć komórki jajowej) czy też sprawdzić się w roli parlamentarnych mówców (uwaga: słuchacze zasiadający w poselskich ławach szybko się nudzą!).

Swoje miejsce znajdą tu również ci, którzy marzą o karierze w mediach. W galerii można na przykład skorzystać z greenboksu używanego w studiach telewizyjnych.

Wszystkie te atrakcje można oczywiście poznać losowo i zupełnie niezależnie. Galeria RE: generacja ma jednak jeszcze jedną niezwykłą cechę – możesz poczuć się w niej jak w grze. Jakbyś wszedł do wirtualnego świata, w którym twoim przeciwnikiem/towarzyszem będzie zamknięta w multimedialnych eksponatach sztuczna inteligencja. Stało się to możliwe dzięki pracy zespołu profesora Matthiasa Krohna z Uniwersytetu w Poczdamie (z wydziału mediów elektronicznych). Specjaliści stworzyli początkowo trzy scenariusze takiej gry. Ostatecznie wybrano jeden i dopracowywano go przez blisko rok. Do obsługi gry firma Archimedes napisała specjalne aplikacje i wyposażyła galerię w niezależny serwer. Efekt? Jest zaskakujący – galeria może cię śledzić, analizować twoje kroki, zachowanie, wybory, a na koniec powiedzieć o tobie kilka naukowych słów. Podobnie ty możesz śledzić innych, którzy byli tu przed tobą.

No i co? Wchodzisz w to? Enter.  
Jesteś w grze.

## ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

# O draniach i frajerach

Śmierć prasy i demokracji czy początek zmian na rynku? Apple ogłosił nowe zasady płatności za abonamenty w swoim sklepie – świat zagrzmiał, zadrżał i się oburzył, a my zastanawiamy się, co z tego wynika



OLAF SZEWCZYK

### Ażeby was szlag!

Ażeby dzieci przebiegały się za was w Halloween. Ażeby korzystanie z waszych produktów, decyzyjne cwaniaki z Apple'a, wiązało się z takim obciążeniem jak paradowanie w prawdziwym futrze. Ażeby akcje waszej firmy zapikowały i zatrzymały się dopiero na poziomie kreciej norki.

Przydałaby się wam lekcja pokory, bo bijecie rekordy bezczelności. I zwyczajnie szkodzić – nam wszystkim.

Ferajna z Cupertino ogłosiła niedawno nowe zasady gry. Apple będzie pobierać 30-procentową daninę od każdego, kto za pośrednictwem internetowego sklepu App Store zechce sprzedawać abonamenty na gazety, czasopisma, muzykę i tak dalej – wszystko, co da się potem uruchomić na iPadach, iPhone'ach, iPodach touch. No, chyba że sam załatwi sobie abonenta. Wtedy Apple taskawie zrezygnuje z haraczu. Rzecz w tym, że wydawca nie może zaferować gdzie indziej ceny niższej niż w sklepie Apple'a.

Jakby tego było mało, Apple odmawia sprzedającym prenumeraty wydawcom dzielenia się informacjami o ich klientach. A to wiedza kluczowa, gdyż umożliwia takie profilowanie oferowanych treści, aby były atrakcyjne dla odbiorcy. Pozwala przekonywać reklamodawców, że właśnie tu, w tym konkretnym medium uderzą najskuteczniej – bo dociera ono do ich grupy docelowej.

Bez tego wydawcy leżą i kwiczą. A w zasadzie pokiwują, coraz ciszej, w agonii.

Media są w szoku. Padają głosy, że to sprawa dla komisji antymonopolowych, że Apple zwyczajnie nadużył swojej pozycji na rynku. I faktycznie wygląda to tak, jakby firma z Cupertino, korzystając z tego, że iPad absolutnie dominuje jeszcze na rynku tabletów, chciała ustalić status quo. Jest jasne, że prasa zmierza ku dystrybucji cyfrowej. Podgryzana przez darmowe internetowe serwisy (a te pasywnie zryzają na potęgę z tytułów papiero-

wych), sprzedaje się coraz gorzej, traci zyski z reklam. Szansą dla gazet i magazynów jest wejście w sieć, w sprzedaż abonamentową, wygodną dla uzbrojonego w tablet, smartfona lub notebooka czytelnika XXI wieku.

Podobnie wygląda sytuacja na rynku muzyki. Plajtują kolejne sklepy z tradycyjnymi płytami CD, bo dziś melomani wszystko ściągają z sieci. Apple najwyraźniej założył, że przyparci do muru wydawcy zaakceptują nawet tak drażniące warunki „współpracy”. Być może jednak tym razem przestrzelił. Na przykład dla serwisów muzycznych, które oprócz podatków muszą odprowadzać niemałe tantiemy dla wydawców i artystów, tak wysoka danina może oznaczać pracę po kosztach. Jak dla egipskiego robotnika, który za harówkę przy budowaniu piramid dostawał tylko garść jedzenia, by miał siłę dalej ciągnąć kamienne bloki.

Działka, jakiej żąda Apple, znacznie przekracza zwyczajowe dwa-dwa i pół procent prowizji pobieranej za pośrednictwem przy transferach pieniędzy między oferentem a nabywcą. To trzykrotnie więcej niż niestawna średniowieczna dziesięcina. Gorzej niż dwa dni pańszczyzny w tygodniu, które feudalny chłop musiał odpracować u pana. Czy mam mówić córce: „Kajusiu, wracam dopiero po 12 godzinach, bo przez 4 harowałem na ferrari dla jaśniepanów z Apple'a”?

W takiej sytuacji Google, który natychmiast skontrolował analogiczną ofertę, ale przy 10-procentowej marży, wyrasta na bohatera. Mimo że za żądanie aż dziesięciny w innych okolicznościach zostałby oskarżony o chciwość.

To, co robi Apple, to zamach na każdego z nas. Bez silnych mediów nie ma demokracji, zdrowej państwowości, wolności jednostki. Wyżyłtowanie nie będziemy w stanie skutecznie kontrolować polityków. Tropić afer. Piętnować łajdactwa. Spójrzcie na kraje terroru i korupcji, a także na oazy lepszego życia. I porównajcie, jaką pozycję zajmują w nich media.



PIOTR STANISŁAWSKI

### Ale. I poza tym

um! Aż grzmotnęło, gdy Apple pokazał nowy pomysł na abonamenty – szczegóły obok, u Olafa. Rzeczywiście, 30 procent to horrendalnie dużo. W dodatku model subskrypcji zaproponowany przez producenta jablek naprawdę wygląda tak, jakby zaprojektował go badylarz, a nie firma, która chce mieć znaczący udział w rynku medialnym. Przede wszystkim razi jego prostota (a może prostactwo). Identyczne zasady dla „New York Timesa”, „Tygodnika Kędzierzyskiego”, serwisów muzycznych i sieciowych dysków? Bez sensu.

Ale.

To tak naprawdę problem samego Apple'a. Panowie właśnie tracą monopol na tablety, główne medium e-prasy. Nowy system Android jest na tyle dobry, że w ciągu kilku miesięcy iPad mocno straci w swoich udziałach rynkowych. W tej sytuacji lepszy (dla wydawców) model sprzedaży Google'a ma szansę wyprzedzić gorszy (dla wydawców) system Apple'a. Dlaczego dla wydawców? Otóż Google zabiera sobie „tylko” 10 procent od sprzedaży, ale domyślnie daje wydawcy dane subskrybenta. A tak się składa, że Google jest specjalistą od gromadzenia informacji o ludziach, więc ma co dawać. Nie oszukujmy się – wydawca nie potrzebuje tych wszystkich danych, by czynić swoje piśmo lepszym. Użyje ich do zanjęcia reklamodawców. A więc informacje o nas popłyną dalej, a my zupełnie stracimy nad nimi kontrolę.

Poza tym.

Choć sam żyję z pracy dla papierowych wydawców, to z żalem stwierdzam, że cała moja branża fatalnie dała ciała. Przez lata widać było, co się święci – sprzedaż gazet i magazynów spadała, pojawiały się możliwości publikacji elektronicznych. Jeśli ktoś był na tyle mało przewidujący, że nie potrafił wyciągnąć wniosków, to miał pod bokiem smutną analogię – rynek muzyczny, który od 2000 roku (czasy Napstera) borykał się z problemem nieprzystosowania do realiów. Przez te wszystkie lata branża wydawnicza nie wymyśliła żadnego sensownego sposobu nowoczesnej dystrybucji, nie przyzwyczała czytelników do płacenia za elektroniczne wydania. Trudno się dziwić Apple'owi, że trafniejszy na wielki nieużytek, zagospodarował go po swojemu. Krótko rzecz ujmując – sami jesteście sobie winni. A Apple'a dbałość o demokrację – tu mój przedmówca nieco przesadził.



# Muzyka (jak) malowana

Zamiast ciszy studia nagraniowego – hałas pędzącego pociągu. Zamiast klawiszy fortepianu – klawiatura laptopa. A zamiast grania – zabawa w wirtualne klocki. Wielka muzyka powstaje dziś w małych urządzeniach

MARIUSZ HERMA

Wyrzuciłem mnóstwo pieniędzy na budowę porządnego studia nagraniowego tylko po to, by najbardziej udany projekt zrealizować w telefonie – kiwał głową Tom Freeman w dniu premiery swojego nowego longplaya „iMatik”. Przy użyciu wyłącznie iPhone’a przeprowadził on nagrania, miks, a nawet mastering albumu. Wszystkie potrzebne aplikacje – Beatmaker, iDrum czy Jasuto – znalazł w sklepie iTunes. – Na programowanie poszczególnych partii poświęciłem kilka miesięcy, ale robiłem to w hotelach, motelach, barach czy na plaży. Nadawało się każde miejsce, gdzie można wnieść telefon. Czyli po prostu każde – śmiał się Freeman.

## iNarodzenie

Początkowo muzyczną zabawę z iPhone’em traktowałem jako... no właśnie, zabawę. I sposób

na zabicie czasu podczas trasy koncertowej. Ostatecznie – jak sam mówi – przeżył „niesamowitą przygodę muzyczną z pogranicza hip-hopu, elektroniki i psychodelii”. – To nie był mój typowy projekt, ale dziś cenię go bardziej niż którykolwiek inny. Co za frajda! – entuzjastycznie mówił się muzyk.

Freeman nie był pierwszym, który odkrył muzyczny potencjał smartfonów. Już w 2009 roku nowojorska grupa Nuclear O’Reilly okrzyknęła się pierwszą, której gadżet Apple’a wystarczył do wyprodukowania kompletnego albumu („Phoning It in” można ściągnąć ze strony [www.nuclearoreilly.com](http://www.nuclearoreilly.com)). Wcześniej wielokrotnie raportowano o utworach, a nawet teledyskach zmagistrowanych na niewielkim ekranie iPhone’a. Ale wy pewnie nigdy o nich nie słyszeliście. No właśnie.

Pierwsze znaczące dzieło muzyki oraz urządzeń przenośnych przyszło na świat

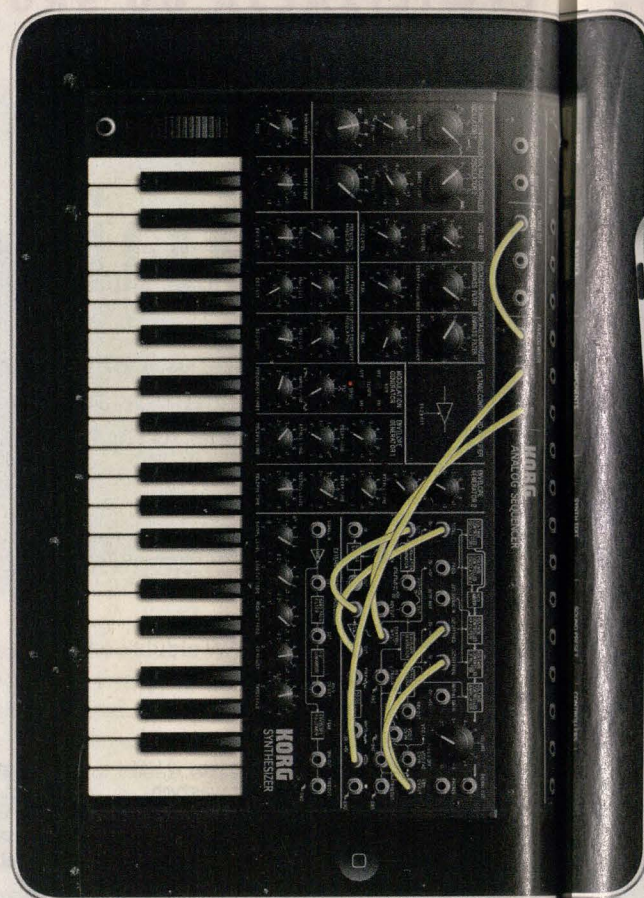
w zeszłoroczne Boże Narodzenie. Był nim album „The Fall” grupy Gorillaz. Pod tytułami kolejnych utworów widniały dopiski: Montreal, 3 października; Boston, 5 października; New Jersey i Virginia, 10 i 11 października, i tak dalej – pełny kalendarz północnoamerykańskiej trasy koncertowej grupy. Mimo wyczerpujących występów i konieczności odsypiania czynności, które zespoły rockowe zazwyczaj wykonują po zejściu ze sceny, Gorillaz potrzebowali zaledwie 32 dni na skomponowanie i zarejestrowanie pełnowartościowej płyty. Jak to możliwe? Odpowiedź jest bardzo krótka: iPad.

– To ironiczne, bo jestem technofobem. A jednak pokochałem iPada, kiedy tylko wpadł w moje ręce. I stworzyłem nagranie zupełnie inne od dotychczasowych – oświadczył Damon Albarn, spiritus movens Gorillaz. Na czym miałyby polegać owa inność? Ano

chodzi zapewne o to, że miętoszenie na kolumnach kilkunastocalowego ekranu – w pociągu i samolocie, ale także w parku, poczekalni i na nudnym wykładzie – ma niewiele wspólnego z brzdąkaniem na gitarze czy szukaniem rewolucyjnego układu akordów wśród czarno-białych klawiszy fortepianu. Utwory sklejone metodą lepienia dźwięków bazują zwykle na groove – kilkusekundowych pętłach i jednostajnym, transowym rytmie – a nie na rytmie charakterystycznym dla układu refren-zwrotka pisanego gitarą i piórem.

Tylko czy takiej syntetycznej iPadowej muzyki da się słuchać? Oceny były jednoznaczne: „To wstrząsający album, od początku do samego końca” – entuzjastycznie się krytyk brytyjskiego „New Musical Express”, a „Rolling Stone” dodawał: „Smutne i słodkie bipy i beepy pokazują, że iPady też mogą mieć uczucia”.

Szanowana firma, świetny sprzęt – analogowy sekwencer i rozbudowany sampler. Cena pary w sklepie – co najmniej 4000 złotych. Ceny iOdpowiedników – 26 i 16 euro. **Możliwości – praktycznie takie same**, a waga i mobilność mówią same za siebie



## Sekwencer jak sztalgugi

– Praca z sekwencerem i samplerem przypomina mi metodę, z której korzystałem podczas malowania obrazów. Moje prace były owocem walki na płótnie: spekulacji barwnych, szlifowania kształtów, mozolnego budowania kompozycji poprzez niekończące się dodawanie, eliminowanie lub „przesuwanie” pojawiających się form – opowiada Michał Jacaszek, jeden z najciekawszych polskich producentów muzyki elektronicznej. – Praca nad dźwiękami przy wykorzystaniu sekwencera wygląda podobnie, tyle że warsztat jest czystszy i bardziej przejrzysty. Kolejne klocki, brzmienia, można wielokrotnie przetwarzać, manipulować nimi w poszukiwaniu odpowiedniej formy, przesuwając je i nakładając kolejne barwy za pomocą samplera. W razie niepowodzenia mogą cofnąć się do początku bez konsekwencji, co w malarstwie byłoby niemożliwe.

Malarskie analogie bynajmniej nie są wynalazkiem XXI wieku. Wszystko zaczęło się, uważa, w średniowieczu wraz z postawieniem na pergaminie pierwszej neumy, czyli prapranuty. Wcześniej ludzkość utożsamiała dźwięk ze słuchem, brzmieniem, czymś niewidzialnym dla oczu. Piosenki, pieśni i hymny przechowywano w ten sam sposób co opowieści i legendy plemienne przed wynalezieniem pisma – w głowie. Jednak około VII wieku kościelni muzycy nie byli już w stanie pamiętać wszystkich swoich chorałów, dlatego zaczęli szkicować kreski i kropki symbolizujące długość dźwięków oraz kierunek melodii. Początkowo stawiali je w próżni, później zawieszali je na jednej lub dwóch liniach, potem dostawali kolejne, aż wreszcie na przełomie XVII i XVIII wieku notacja muzyczna przyjęła kształt zbliżony do współczesnego. Wzrok zaś dyskretnie przejął prymat w świecie dźwięków. Kompozytor pisał. Wykonawca czytał. Długość i wysokość dźwięków były określane przez kształt nut oraz ich pozycję. Komponowanie muzyki było... rysowaniem.

Współczesne gadżety i aplikacje do „malowania muzyki” – niezwykle popularny wśród laptopowców Garage Band, producenckie programy dla iPhone’a i iPada czy nawet sprzedawany właśnie do warszawskiego Centrum Nauki Kopernik futurystyczny instrument Reactable – stanowią drugą odsłonę tamtej wzrokowej rewolucji. Trwa ona już dokładnie 20 lat, bo to w 1991 roku zadebiutowała →

Łącznik z realem, czyli iRig – pozwala na podłączenie gitary do iPhone’a i zmienianie jej brzmienia



## Dwa studia

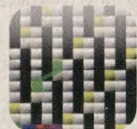
Ile kosztuje studio? Porównujemy cenę klasycznego i tego, w którym nagrano „The Fall” Gorillaz



Speak it!  
Text to Speech  
1,59 €



Soundy Thingie  
2,39 €



Mugician  
0 €



Sylo Synthesiser  
0 €



Synth  
0,79 €



FunkBox Drum Machine  
2,39 €



Gliss  
2,39 €



AmpliTube for iPad  
15,99 €



XENON Groove Synthesizer  
3,99 €



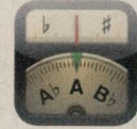
KORG iELECTRIBE  
15,99 €



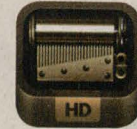
Bs-16i  
3,99 €



Mellotronics M3000 for iPad  
9,99 €



Cleartune  
2,99 €



iORGEL HD  
2,39 €



Olsynth  
5,49 €



→ platforma cyfrowej rejestracji dźwięku Pro Tools. Upodobniła ona zapis muzyki do klocków Lego, które można było przesuwac, usuwac, skladać, kopiowac, a wszystkie te polecenia cofac i ponawiac. (Brian Eno aplikacje muzyczne nazywa po prostu podrasowanymi edytorami tekstów: kopiuuj, wklej, przestaw). Pro Tools błyskawicznie wypchnęła ze studiów nagraniowych klasyczne magnetofony, wprowadzając w ich miejsce ekrany. Teraz i one opuszczają studia.

**Marzenie każdego Beatlesa**

Magda Chojnacka, najslynniejsza polska didżejka, przyznaje nam, że swój niedaw-

ale jednocześnie wyeliminowały potrzebe szukania sterylnej akustycznie, odizolowanej od otoczenia przestrzeni. W koncu zewnetrzne hałasy nie mają dostępu do pamieci elektronicznej.

I nie ludzcie się, że zdołacie odróżnić utwór stworzony w rzeczywistości wirtualnej od tego zmontowanego przez profesjonalistów konserwatystów. Malutkie procesory iPada czy iPhone'a oferują dziś możliwości, dla których Beatlesi oddaliby wszelkie bogactwa sławetnego Abbey Road. Ofertę dla najmniejszych studiów świata przedstawiają tak renomowani producenci syntezatorów jak Moog czy Korg. Damon Albarn opubli-

**Sam to zagraj**

**K**omponowanie najlepiej zacząć od rytmu – stwierdził już w latach 70. Peter Gabriel. Władzę nad rytmem w wirtualnym świecie od lat dzierży Fruity Loops. To niezwykle rozbudowany, a zarazem banalny w obsłudze automat perkusyjny. Pracę bębnów i talerzy regulują podświetlane kostki, a w zestawie mamy wiele syntezatorów, sampli i korektorów brzmienia. Program można przetestować bez opłat (wersja demo dostępna jest na stronie [www.flstudio.com](http://www.flstudio.com)) lub kupić za niewygórowaną cenę wynoszącą 99 dolarów. Mój 13-letni kuzyn, gdy zainstalowałem mu program, już po kwadransie zaprezentował mi pętlę godną Massive Attack.

Do tworzenia instrumentalnej muzyki elektronicznej Fruity Loops w zasadzie wystarczy. Wy jednak pewnie marzycie o gwiazdorstwie, więc bez mikrofonu się nie obejdzie. Na początek wystarczy ten używany do rozmów przez Skype'a i prosty rejestrator dźwięku, na przykład darmowe Audacity ([audacity.sourceforge.net](http://audacity.sourceforge.net)). Waszą arię możecie połączyć z instrumentalnym podkładem w tym samym programie. Bardziej wymagający mogą sięgnąć po Adobe Audition – demo znajdziecie na [www.adobe.com](http://www.adobe.com). Wersja komercyjna kosztuje 349 dolarów, ale oferuje możliwości potężnego studia.

Półowa radości z muzykowania przy komputerze to oczywiście zabawa różnymi efektami, filtrami i poprawiaczami. Podstawowe pogłosy czy echa znajdziecie we wspomnianych programach. Bardziej wyszukanych szukajcie chociażby na [www.freemusicsoftware.org](http://www.freemusicsoftware.org). A potem pochwalcie się owocem swych prac na YouTube.com lub mekce nowoczesnych muzyków Soundcloud.com.



**Reactable** w wersjach na iPada i iPhone'a to już wirtualność do kwadratu. W końcu sam oryginał tego instrumentu jest w pełni elektronicznym urządzeniem, na którym gra się, przesuwając plastikowe klocki

ny debiut „From the Fallen Page” nagrywała poza miejscem do tego celu przeznaczonym. – Co weekend wyjeżdżałam na występy. Zanim zdążyłam wczuć się w atmosferę studia, znowu musiałam pakować sprzęt i ruszać w drogę. Dlatego spore fragmenty płyty powstały w pokojach hotelowych czy w pociągu – opowiada. Muzycy Nuclear O'Reilly cieszyli się, że dzięki swobodzie oferowanej przez mobilne studio nagraniowe mogą komponować nawet podczas najgłośniejszych imprez u znajomych. To prawda, że cyfrowe narzędzia zastąpiły piekielnie kosztowny sprzęt,

kował nawet kompletną listę aplikacji, z których korzystał podczas pracy nad „The Fall” – znajdziecie ją w ramce pod tekstem. – Dla początkujących twórców istnieje masa kapitalnych, a co najważniejsze darmowych aplikacji – mówi Jacaszek i od razu poleca stronę [www.freemusicsoftware.org](http://www.freemusicsoftware.org). – To usystematyzowany, podzielony na kategorie spis wielkości muzycznego oprogramowania, które jest dostępne nieodpłatnie – dodaje.

Zdaniem Jacaszka pojawienie się takich narzędzi skutkuje przede wszystkim większą liczbą muzycznych dzieł. Oprócz kreowania

brzmienia można samodzielnie zaaranżować cały utwór i chwilę potem mieć gotowe nagranie. – Konsekwencje są dwojakie – ocenia. – Powstają tony muzycznych śmieci, ale jednocześnie częściej ujawniają się wartościowi artyści. To korzystna tendencja: słaba muzyka umiera śmiercią naturalną, a pozostałe wydawnictwa wzbogacają kulturę – mówi.

Od czego zacząć? Najlepiej wrzucicie w wyszukiwarkę YouTube frazę „Making music with iPad”, by posmakować małego świata wielkiej muzyki. Tylko obiecujcie nam jedno – nie produkujcie śmieci.

**No to chlup!**

Cóż poradzić – polska zima to czas ciemności, depresji i tycia w domowym zaciszu. Proponujemy zmianę tego obrazu

**PIOTR STANISŁAWSKI**

**Z**imno? A może by tak popływać w ciepłej wodzie, wygrzać się na piasku, a całość zakończyć masażem? Do niedawna takie marzenia można było spełniać w krajach północnej Afryki, dziś jednak szukamy innych rozwiązań. Najbliższe – we Wrocławiu. Wrocławski Park Wodny to jeden z największych aquaparków w Europie. Na powierzchni ponad 18 tysięcy metrów kwadratowych można korzystać między innymi z dwóch całorocznych basenów zewnętrznych, czterech jacuzzi, sześciu zjeżdżalni oraz basenu z falą. Dla ambitnych – ośmiotorowy sportowy basen o długości 25 metrów. Do tego rozbudowana część przeznaczona dla dzieci, gdzie odbywają się między innymi przed-

stawienia „Wodnej sceny teatralnej” przygotowywane we współpracy z Wrocławskim Teatrem Lalek. Całość uzupełniają sauny, pokoje relaksacyjne, klub fitness i sala z prawdziwym pustynnym piaskiem.

Wśród planów rozwoju parku znajduje się między innymi budowa ogromnych basenów przeznaczonych dla nurków. Jeden z nich ma mieć głębokość 40 metrów, co umożliwi przeprowadzanie w nim zaawansowanych szkoleń. Drugi, płytszy, ma mieć 7 metrów głębokości i aż 50 długości, a w środku sztuczną rafę.

Szczegóły, aktualne promocje i mnóstwo zdjęć można znaleźć na stronie [www.parkwodny.wroc.pl](http://www.parkwodny.wroc.pl).



**Multimedialna** zjeżdżalnia wodna 3D? Pod tą tajemniczą nazwą kryje się licząca około stu metrów zjeżdżalnia, wewnątrz której czekają między innymi kurtyny wodne z wyświetlanymi na nich obrazami czy niezwykle efekty akustyczne



**Raj dla nurków** – gdy otwarte zostaną planowane baseny, Wrocław stanie się jednym z najatrakcyjniejszych w Polsce miejsc nurkowych. Żeby tak jeszcze chciała tam się pojawić żywa rafa koralowa...



**Telefony, które potrafią też dzwonić**

**P**onoć telefony coraz rzadziej służą do dzwonienia, stając się przede wszystkim terminalami internetowymi i konsolami do gier. W ten trend doskonale wpisują się najnowsze premiiery Sony Ericssona. Największe wrażenie robi Xperia PLAY – maszyna, która do złudzenia przypomina przenośną konsolę. Oparty na systemie Android telefon ma wysuwany panel z przyciskami odpowiadającymi tym, jakie można zna-

leżać na kontrolerach do dużych konsol. By sprzęt podolał wymaganiom takiej rozrywki, wyposażono go w gigahercowy procesor Snapdragon oraz procesor graficzny Adreno GPU.

Z kolei Xperia neo to telefon o wyjątkowo eleganckim wyglądzie i rewelacyjnym wyświetlaczu oraz aparacie robiącym dobre zdjęcia nawet w warunkach, w których z trudem radzi sobie poważny sprzęt.



**Konsola?** Wbrew pozorom – nie tylko. Sony Ericsson Xperia PLAY ponoć może być też używany jako normalny telefon

 StudioMini XL 7,99 €	 Bassline 3,99 €	 Harmonizer 0 €	 Dub Siren Pro 2,99 €	 Filtatron 3,99 €
---	---	--	--	--

Łączny koszt programów: **69,35 €**, czyli około **280 zł**  
Koszt iPada – **1900 zł** Razem: **2180 zł**  
A to przykładowe wyposażenie półprofesjonalnego studia domowego:  
Komputer z monitorem/laptop – minimum **2000 zł**,  
Oprogramowanie – minimum **1500 zł**,  
Zewnętrzna karta dźwiękowa E-MU 0404 – **725 zł**  
Monitory studyjne M-Audio Studiophile AV40 – **569 zł**  
Mikrofon pojemnościowy Audio-Technica AT2020 + statyw – **400 zł**  
Mikser – Soundcraft Notepad **102-425 zł**  
Kable – **100 zł**  
Częściowe wytlumienie ścian i sufitu – minimum **300 zł**  
Razem: **5019 zł**  
Dodatkowo – koszt instrumentów: **kilka tysięcy złotych**





Inne strony Wilna

Ulice litewskiej stolicy lada dzień wypełnią się kolorowymi kramami. Na tradycyjny Kiermasz Kaziukowy jak co roku przyjadą tysiące gości. Bo Kaziuki to nie tylko kramy, ale też spektakle i koncerty. Słowem – zabawa.

W Polsce jednak raczej o niej nie usłyszymy. W kręgu zainteresowań mediów i polityków leżą ostatnio polsko-litewskie konflikty: o niezwrócone majątki, nieprzestrzegane traktaty, pisownię nazwisk oraz inne bardziej lub mniej istotne kwestie. A przecież z Litwą przez wieki łączyła nas unia, nie tylko na papierze. Gdyby było inaczej, nasz narodowy wieszcz nie pisałby o Litwie jako o swojej ojczyźnie, czując się jednocześnie Polakiem.

13 lutego Litwa obchodziła 93. rocznicę odzyskania niepodległości, a 4 marca przypada Dzień Świętego Kazimierza. To na jego cześć organizowane są słynne Kaziuki.

Razem z reporterami działającego w stolicy Litwy polskiego radia postanowiliśmy zabrać Czytelników „Przekroju” do Wilna tętniącego wielokulturowym życiem. Takiego, jakie pamiętają urodzeni w tym mieście Polacy i w jakim teraz bawią się oraz żyją młodzi wilnianie. Mamy nadzieję, że i Wam się tam spodoba.

ZNAD WILII

Radio znad Wilii:  
Wilno: 103,8 FM,  
www.znadwilii.lt

# Ojczyzna Wileńszczyzna



FOT. P3RF

**Beata pamięta smak lodów u Sztralla, Janina – jedwabne pończochy, a Lech prywatki, na które przychodzili partyzanci. Wilno na zawsze pozostanie dla nich krainą dziecięcych zabaw i pierwszych randek**

MARCELINA SZUMER

W 1931 roku wezbrane wody Wilii i Wilejki zalały miasto. Mieszkańcy przesiedli się z powozów i aut do łódek. Woda wdarła się nawet do krypt wileńskiej katedry. – Trumny Barbary Radziwiłłówny, Elżbiety Habsburżanki, Aleksandra Jagiellończyka i urna z sercem

Władysława IV zostały wyniesione z podziemi. Stały w kaplicy i robiły na mnie wielkie wrażenie – wspomina torunianka Beata Dunin-Marcinkiewicz. W 1931 roku miała dziewięć lat. Wciąż pamięta wizyty u wileńskiej rodziny. I smak lodów na ulicy Świętojeńskiej, w cukierni Sztralla. – Nigdy

Katedra Świętego Stanisława. Jej dzwonnica to dawna baszta – pozostałość murów obronnych

później nie jadłam już tak dobrych – zarzeka się pani Beata. I w ogóle chyba już nigdy i nigdzie nie było jej tak dobrze jak wtedy w Wilnie, mieście, w którym według spisu powszechnego przeprowadzonego kilka lat przed II wojną światową niemal 70 procent mieszkańców deklarowało narodowość polską, 20 procent – żydowską, a reszta rosyjską. Litwini stanowili mniej więcej 1 procent tej społeczności.

Zderzenie kultur

W mieście wiecznego pogranicza (tak w książce „Opisać Wilno” nazywa je litewski pisarz i eseista Tomas Venclova) jak w tyglu mie-

szły się różne narody, języki i religie. Dla ówczesnych wileńskich gimnazjalistów społeczno-kulturowe różnice nie miały znaczenia. Dopiero po latach stały się zarzewiem konfliktów, które tak bardzo podzieliły polski i litewski naród. – Tam każdy z trzech braci potrafił czuć się kimś innym: jeden Polakiem, drugi Białorusinem, trzeci Litwinem. Przede wszystkim jednak byliśmy wilanami – mówi Lech Dubikajtis, emerytowany profesor matematyki z toruńskiego UMK. W Wilnie urodził się jego ojciec – wojskowy skierowany po latach do jednostki w Krakowie, który tak bardzo tęsknił za rodzinnym miastem, że przy pierwszej okazji spakował manatki i z całą rodziną wrócił na Wschód.

– Czasem przeżywałam się z Litwinami. Pamiętam do dziś, że nazywali nas *lanku-ropuże*, czyli polskie ropuchy – wspomina z kolei Janina Pieczatowska, która w Wilnie mieszkała do 1957 roku. Często też wraca pamięcią do szkolnych lat, gdy była uczennicą katolickiego gimnazjum. – Raz zakręciłam włosy na wałki i fantazyjnie upięłam je wokół głowy – opowiada. Teraz z tego żartuje, ale kiedy matka przełożona wytargowała ją za włosy, krzycząc, że ma się więcej nie pokazywać w szkole z tym „wronim gniazdem”, nie było jej do śmiechu.

– Nie wolno nam też było nosić w szkole jedwabnych pończoch, tylko takie grube, brzydkie fildekosy. Wychodziłyśmy więc z domu w jedwabnych, a przed lekcjami chowałyśmy się w jakimś zakamarku i zakładałyśmy na nie te przepisowe.

Po lekcjach bure pończochy ponownie łądowały w torbach

między książkami, a gimnazjalistki – w najdziwniejszych zakątkach miasta. Na przykład w przejściu łączącym szkołę i klasztor. – Zakradałyśmy się, by podglądać zakonnice. Pamiętam, że łatwo było odróżnić siostrę z majątnego domu od tej z ubogiego. Te biedne chodziły w popękanych butach – opowiada pani Janina.

A potem przyszła wojna.

Wojenka, wojenka

– Mama prowadziła sklep. Gdy w pierwszych dniach okupacji wyprzedala wszystkie zapasy, nie posiadała się z radości – kontynuuje opowieść Pieczatowska. – Pojechała więc do podwileńskiej hurtowni po towar, ale okazało się, że i tam już nic nie ma, więc z handlu nici.

Mała Janka nadal chodziła do gimnazjum. Jedyna zmiana – lekcje języka litewskiego. – Uczył nas litewski ksiądz. Miły, bardzo elegancki. Nawet paznokcie sobie lakierował bezbarwną emalią – wspomina.

Lech Dubikajtis uczył się na tajnych kompletach. – Z tą tajemnicą to różnie bywało, bo w Wilnie wszyscy się znali. Jest taki dowcip o dwóch Polakach, którzy w czasie okupacji zauważają się na przeciwległych końcach tramwaju. Jeden krzyczy: „Dzień dobry, panie pułkowniku, co pan porabia?”. Drugi odkrzykuje: „A w porządku, dziękuję. Ukrywam się przed Niemcami” – śmieje się profesor.

Pamięta, że o ile w Warszawie za tajną naukę można było zarobić kulkę, w Wilnie raczej nikogo nie ścigano. Lekcje, a nawet egzaminy maturalne, przeprowadzali między innymi profesorowie Uni-

wersytetu Wileńskiego, tylko nie zawsze w mieszkaniach. – Maturę z przyrody zdawałem w lesie. Nauczyciel zabrał nas na spacer i co chwila zadawał pytanie o drzewa i rośliny. A gdy koledzy wracali z lasu, ale nie z egzaminu, tylko z partyzantki, urządzałyśmy prywatki. Oczywiście z żołnierskimi piosenkami – opowiada profesor.

Piosenki pamięta też pani Beata. Nie żołnierskie, lecz w żołnierskim wykonaniu. Cichutko śpiewał je dla niej, czule zerkając w oczy, pewien podporucznik. Pewnie śpiewałby głośno, gdyby akurat nie ukrywał się przed Niemcami.

W okupowanym Wilnie działała też operetka. A w niej – Ordonka we własnej osobie. – W „Wesołej wdówce” w 1941 roku miała taką piękną połyskującą sukienkę – zamyśla się pani Beata.

Wkrótce jednak wszystko się skończyło.

Pożegnanie z miastem

Dom Janiny spłonął, a ojciec zginął w ulicznych zamieszkach. Wielu znajomych wywieziono i zamordowano w podwileńskich Ponarach (wśród stu tysięcy zabitych byli głównie Żydzi, ale też spora grupa Polaków). – Trzeba było jednak żyć dalej – wdycha pani Janina. Nie należała do AK, ale kiedy było trzeba, roznosiła patriotyczne ulotki. – Ktoś doniósł i w 1944 roku wywieźli mnie do Saratowa. Przez trzy lata przenosili nas z jednego sowieckiego łagru do drugiego, za każdym razem obiecując rychły powrót do domu.

Do ukochanego Wilna wróciła dopiero w 1948 roku, kiedy miasto było już stolicą Litewskiej

Wilno przez wieki

- 1323** Litewski książę Giedymin buduje zamek i przenosi z Trok do Wilna książęcą siedzibę
- 1385** Polsko-litewska unia w Krewie
- 1387** Chrzest Litwy, Władysław Jagiełło nadaje Wilno prawa miejskie
- 1503–22** Powstają mury obronne miasta z trzema basztami i dziewięcioma bramami, z których jedna – Ostra Brama – zachowała się do dziś
- 1529** Zygmunt II August ze swoim dworem przeprowadza się do Wilna
- 1530** Wielki pożar i odbudowa miasta. Powstają między innymi zamek Niski, arsenał i wodociąg
- 1578** Stefan Batory przekształca dotychczasowe Kolegium Jezuickie w uniwersytet
- 1655–60** Okupacja Wilna przez wojska moskiewskie, rzeź mieszkańców; odbudowa miasta w stylu barokowym
- 1764–95** Kulturalny rozwój miasta za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Powstał „Kurier Litewski” i pierwszy w Wilnie teatr prowadzony przez Wojciecha Bogusławskiego
- 1795** III rozbiór Polski, Wilno zostaje stolicą guberni w zaborze rosyjskim
- 1812** Napoleon zajmuje Wilno; powołanie rządu tymczasowego
- 1817** Studenci i absolwenci Uniwersytetu Wileńskiego (między innymi Adam Mickiewicz) zakładają patriotyczne Towarzystwo Filomatów



→ Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. – Mama wyjechała do Polski, ja zamieszkałam u ciotki. Urządziłam się szybko, zrobiłam kurs księgowości. Dostałam pracę w centrali sklepów rybnych, nawet załatwiłam posady koleżankom: Polce, Litwince i Żydówce – wspomina pani Janina. Wyszła za mąż, urodziła synów. Wilno opuściła dopiero w 1957 roku. – Znajomy przyjechał w odwiedziny i namówił nas, byśmy wrócili do Polski. Co mi tam – pomyślałam – przynajmniej mi się synowie z Litwinkami i Rosjankami nie poženią.

Pan Lech i pani Beata dużo wcześniej niż pani Janina opuścili Wilno. – Na uniwersytecie spotykałem wielu swoich wileńskich nauczycieli. Ze szkolnymi kolegami do dziś utrzymuję kontakt – mówi Dubikajtis.

– Po wojnie byłam w Wilnie kilka razy – opowiada pani Beata. Pamięta rozżalenie, gdy katedrę zamieniono na muzeum, a polscy malarze nagle stali się Litwinami. – Smuglewicz podpisany był jako wielki malarz litewski Smuglevicius! – denerwuje się. Za to pani Janinie, która Wilno odwiedziła w 1962 roku, podobało się, że miasto jest zadbane. – Czyściutkie trawniki, wysprzątane ulice – wlicza.

Wszyscy troje oglądali relację z niedawnej wizyty prezydenta Bronisława Komorowskiego w Wilnie. Słuchali zapewnień, że rządy muszą w końcu porozumieć się w sprawach szkolnictwa, zapisu nazwisk i w innych kwestiach, które dzielą nasze narody. Chcieliby tego, ale wiedzą, że łatwo nie będzie. Urodzili się w Wilnie, które ledwo rzuciło z siebie jarzmo carskiego zaborcy, do szkoły chodzili w Wilnie polskim, wojnę spędzali w litewskim, a wyjeżdżali z radzieckiego. – Jedno się w Wilnie nie zmieniło. Sercu zawsze tak samo bliskie – przekonuje pani Beata.

# Kaziukowe jarmarki

Na Wileńszczyźnie i na Litwie Dzień Świętego Kazimierza od 400 lat zwiastuje nadejście wiosny. Od tego czasu organizowane są też tradycyjne kiermasze. Najbliższy od 4 do 6 marca w Wilnie

STANISŁAW LUBKIEWICZ

**L**itewskie cepeliny z topioną słoniną i cebulą, bliny, dzukijska zupa grzybowa w razowym chlebie i żmudzki kastynis (rodzaj pasty z masła i twarogu doprawionej czosnkiem) serwowany z gotowanym w mundurku ziemniakiem nie mają sobie równych. Podobnie jak kibiny (nadziewane baraniną pierogi – specjalność Karaimów z Trok) oraz szimtałapis – wielowarstwowy kołacz z ciasta miodowego nadziewanego makiem – i... wędzone świńskie uszy. Na wczesnowiosenny chłód dobrze robi grzane piwo lub wino doprawione miodem z goździkiem albo wspaniała nalewka na ziołach Trejos Devynierios. Tak, kulinaria to nieodzowny element wileńskiego Kaziuka.

Już za kilka dni na wileńskich ulicach jak co roku słyhać będzie wesołe nawoływania sprzedających, głośnie żarty i kołatanie popularnych glinianych dzwoneczków.

## Kapelusze, pióropusze

Mimo trapiącego Litwę kryzysu zeszłoroczny Kaziuk przeszedł do historii jako największy z dotychczasowych. Rozpoczął się

paradą przebierańców reprezentujących dawne cechy rzemieślnicze, a zakończył wiciem ogromnej palmy wileńskiej. 1,2 tysiąca straganów rozstawiono nie tylko wzdłuż głównego deptaku – alei Giedymina (dawnej Mickiewicza) – ale też przylegającej do placu Katedralnego ulicy Šventaragio i dalej wzdłuż ulic Barbary Radziwiłłówny, Maironisa, Zamkowej, Wielkiej oraz na placu Ratuszowym. Prócz ludowych mistrzów i handlarzy z całej Litwy około pięć procent miejsc targowych zajęli handlarze z zagranicy. Pojawili się nawet Chińczycy, choć najbardziej surrealistyczny akcent ubiegłorocznego kiermaszu to peruwiańscy Indianie w tradycyjnych strojach wygrywający na piszczałkach melodię z „Titanica”.

## O rety, kabarety

Wbrew protestom etnografów współczesny Kaziuk to przede wszystkim impreza handlowa (ubiegłoroczny utarg wyniósł ponad 100 tysięcy litów, koszt wykupienia miejsca targowego – 270 litów), a organizująca kiermasz spółka Concept nie sprawdza, kto nabywa pozwolenie na handel. Impreza powinna nawiązywać do tradycji – przeko-

nują etnografowie i zabiegają o bezpłatne stoiska dla twórców ludowych. – Udało nam się wydrzeć trochę darmowych miejsc, ale to wciąż zbyt mało – mówi etnolog Libertas Klimka. – Jesteśmy przeciwni sprzedawaniu na kiermaszu chińskiej tandety.

Z kolei studenci wileńskiej akademii sztuk pięknych są przeciwni zamienianiu festynu w czysto komercyjną imprezę. Od kilku lat organizują więc Kaziuka alternatywnego. Z koncertami, happeningami, pokazami akrobatów.

– To próba nawiązania do tradycji przedwojennej – cieszy się Klimka i wyjaśnia, że dawniej, w imprezy kaziukowe angażowało się środowisko akademickie. Wileńscy żacy mieli wówczas dni rektorskie i czas na organizowanie licznych rozrywek.

Zabawne, bo patron Wilna i Kaziuków – święty Kazimierz (syn Kazimierza Jagiellończyka) – nie należał do rozrywkowych młodzieńców. Przypisywane są mu wielka pobożność i ascetyczne życie. Istnieje nawet legenda o tym, jakoby chorowitemu księciu lekarze dla poprawy wątłego zdrowia zalecili obcowanie z kobietą, lecz ten odmówił. Korony nie doczekał.



Ręcznie wyplatane palmy to wizytówka Kaziuków. Wileńskie palmiarki przekonują, że do barwienia ziół najlepsza jest farba drukarska

## Młody święty

Kazimierz zmarł w wieku 26 lat. Niedługo potem do jego grobu zaczęły ścierać pielgrzymki wiernych. W 1521 roku papież Leon X wydał bullę kanonizacyjną (zaginęła w drodze do Polski), a w 1636 roku papież Urban VIII ogłosił Kazimierza patronem Litwy i zezwolił na obchodzenie jego święta poprzez uroczystą liturgię.

Czym jednak byłaby kościelna uroczystość bez kramów i handlarzy? Pielgrzymi muszą przecież jeść i pić. Od początku więc obchody dnia świętego Kazimierza miały dwojaki charakter – religijny i handlowy. Najważniejszą częścią kościelnych uroczystości

Włoczęgów. To oni organizowali pochody i wystawiali „Szopki” na ulicach miasta. Do Wilna zjeżdżały wtedy pociągi z całej Polski, kiermasz budził zainteresowanie nawet za granicą (w serwisie YouTube można obejrzeć film dokumentalistów niemieckich z Kaziuka z 1936 roku).

Tradycji nie zakłóciła nawet II wojna światowa. – W 1941 roku kiermasz ciągnął się od placu Łukiskiego w stronę Zielonego Mostu, aż do ulicy Kalwaryjskiej – wspomina Kazimieras Motieka, który jako kilkunastoletni chłopak przeniósł się wraz z rodzicami do Kowna do Wilna.

Władzy radzieckiej kult świętego Kazimierza był nie na rękę, mimo to tradycja przetrwała. – W latach 70. przy ulicy Kalwaryjskiej 4 marca robił się ruch – wspomina Libertas Klimka. – A gdy za pierestrojki zaczęli się tam ze swoimi wyrobami pojawiać długowłosi i brodaci studenci wileńskiego instytutu sztuk pięknych, a nawet hipisi z Moskwy i Leningradu, prasa znów zaczęła nazywać dzień targowy Kaziukiem.

## Odrodzenie tradycji

Od 1991 roku, kiedy Kaziuk powrócił do centrum miasta, impreza wciąż się rozrasta. Jak dawniej stragany są pełne drewnianych łyżek, wikliny, ceramiki i palm. I tylko tradycyjnych pierników w kształcie serca udekorowanych sentencjami w stylu „Kocham cień”, „Pamiętaj o mnie”, „Przym serca moja” można szukać na kiermaszu ze świecą.

Ale to może się zmienić. Klimka, który jest członkiem rady do spraw kultury powołanej przy magistracie Wilna, stara się o wpisanie Kaziuka na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO, co pozwoliłoby zdobyć środki na wspieranie ludowej twórczości. – Jednak największym moim pragnieniem jest nadanie Kaziukowi rangi atrakcji na skalę europejską – mówi Klimka. 4 marca przekonamy się, czy się udało.

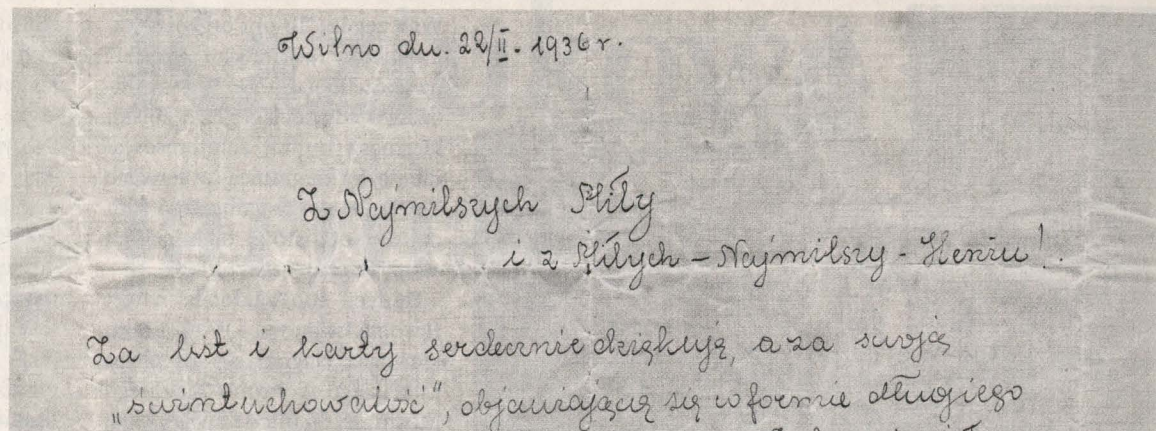
## Przed wojną i później

Po rozbiorach zakazano obchodów i targu. Za to w międzywojennym Kaziuk nabrał prawdziwego rozmachu, głównie dzięki studentom Uniwersytetu Stefana Batorego zrzeszonym w Klubie

## Wilno przez wieki

- **1863** Powstanie styczniowe, Michaił Murawjow „Wieszatelnik” pacyfikuje Wilno
- 1906–12** W Wilnie powstaje Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Biblioteka Wróblewskich
- 1915–18** Niemiecka okupacja Wilna
- 1920** Podczas wojny polsko-bolszewickiej Wilno dwukrotnie jest zdobywane przez Armię Czerwoną. Wycofujący się Sowieci przekazują tereny Litwie. Marszałek Józef Piłsudski pozoruje bunt i tworzy Litwę Środkową, która w 1922 roku zostaje wcielona do Rzeczypospolitej
- 1939** 19 września do Wilna wkracza wojska radzieckie i przekazują miasto Litwinom. Rozpoczynają się deportacje i prześladowania mieszkańców Wileńszczyzny
- 1941** Niemcy bombardują, a następnie zajmują Wilno, w egzekucjach ginie ponad 100 tysięcy osób (głównie pochodzenia żydowskiego i polskiego)
- 1944** Armia Krajowa próbuje zdobyć miasto (operacja „Ostra Brama”). Ostatecznie Wilno zostaje zajęte przez Armię Czerwoną. Następują przesiedlenia Polaków, a Litwa z Wilnem zostaje jedną z republik radzieckich
- 1988** Litewski Ruch na rzecz Przebudowy rozpoczyna akcje niepodległościowe
- 1991** Styczeń – starcia pod wieżą telewizyjną; wrzesień – proklamowanie niepodległej Litwy ze stolicą w Wilnie





# Ballady i romanse

Wilno i Warszawę łączyły kiedyś bardzo silne związki. Nie tylko polityczne, ale także osobiste

MARCELINA SZUMER

**M**roźny styczniowy poranek. Z kamienic zamieszkiwanych przez carskich dygnitarzy i wojskowych na ulice Wilna wylegają ordynansi i pokojówki. Jak co dzień rano wyprowadzają psy swoich pryncypałów na plac przed Pałacem Reprezentacyjnym, pod wielki, odlany z brązu pomnik Michała Murawjowa, zwanego Wieszatiel (który postumentu dorobił się za wieszanie powstańców styczniowych). Nie mogą jeszcze wiedzieć, że carat kiedyś przeminie, a z posągu za 20 lat (w okresie międzywojennym) zostanie jedynie cokół. Jak zwykle zamierzają rozsiaść się na ławkach i poplirtować, podczas gdy ich podopieczni załatwiają pod pomnikiem swoje poranne potrzeby.

Tego dnia jednak zdarza się coś nieoczekiwane i dziwnego. Prowadzone na smyczkach psy, ledwie zbliżywszy się do monumetu, nagle wyrwywają się z rąk opiekunów. Wściekle ujadając, zaczynają biegać wokół pomnika, jakby goniły niewidzialnego wroga. „Szczekajcie, szczekajcie na tego drania!” – komentują zadowoleni przechodnie. „Rozejść się!” – woła (nie wiadomo, czy do ludzi, czy do psów) zdenerwowany stójkowy. Z pobliskiej apteki telefonuje do przełożonych z pytaniem, co ma robić. „Strzelać” – pada ko-

menda policmajstra. Stójkowy strzela. Pada pinczerek dygnitarzowej i ukochany owczarek gubernatora.

## Zamiast bajek

– Dziadek pamiętał, że policmajster został zesłany w głąb Rosji, a gubernator Rennenkampf oznajmił, że sobaki są od tego, żeby czekać i wyć, więc nie wolno ich za to karać śmiercią – opowiada Maryla Strumińska (imię otrzymała na cześć Mickiewiczowej ukochanej) i wyjuje maszynopis wspomnień swojego dziadka Wincentego Stankiewicza, który był nie tylko naocznym świadkiem psich występów pod pomnikiem Wieszatiela, ale też w zasadzie ich głównym sprawcą. Z gimnazjalnym kolegą Stasiem Troszyńskim wysmarował on bowiem o świcie postument wilczym sadłem (podkrał je ojcu leśnikowi), od którego zapachu wileńskie psy dostały małego rozumu.

– Wileńszczyzna była ojczyzną Stankiewiczów. Praprapradziadek Józef Stankiewicz urodził się w 1781 roku w powiecie nowogrodzkim i walczył w powstaniu listopadowym, pradiadek – w styczniowym. Dziadek uczył się w wileńskim gimnazjum. Zresztą w Wilnie mieszkała też pochodząca spod Oszmiany Eleonora Helena Kowzan, czyli moja babcia – streszcza ponad 200-letnią historię swojego



Henryk Strumiński, „z najmilszych miły i z miłych najmilszy” adresat listów Haliny Stankiewicz

rodu pani Maryla. Na wileńskim Uniwersytecie Stefana Batorego filologię klasyczną studiowała jej mama Halina Stankiewiczówna. Pani Maryla zna ją jednak jedynie ze zdjęć. – Miałam pięć lat, gdy zmarła. O mamie i życiu w Wilnie opowiadała mi rodzina.

Pewnego dnia opowiedziało o niej również stare biurko w piwnicy. – Okazało się, że tata przechowywał w nim korespondencję, którą wymieniał z mamą przez pierwszy rok jej studiów. Listy zapakowane były w stare gazety. Nie przeczytałam ich od razu, odważyłam

się dopiero kilka lat po śmierci taty – opowiada i rozkłada przede mną kilkadziesiąt pożółkłych, nieco zniszczonych (zwłaszcza na zgięciach) kartek – gładki listowy papier gęsto zapisany raz czarnym, raz niebieskim atramentem. Przeglądamy listy w poszukiwaniu informacji o tym, jak się żyło, mieszkało, uczyło i romansowało w przedwojennym Wilnie.

## 6.10.1935

„Cieszę się, że zgadzasz się czekać tak długo aż się wyedukuję i znajdę jakieś zajęcie. Wtedy i wszystko nasze ułoży się dobrze. W poniedziałek 7-go, aż do 9-tego mam egzamina. (Westchnij za moje powodzenie) Zwiędzam tymczasem miasto. Poznaję nowych ludzi (nie bój się, »tymczasem« żaden mi nie wpadł w oko). Wilno cudne, musisz go jak najprędzej zobaczyć! Bywam u Hali Makarewicz, która miesza-



Halina Stankiewiczówna w 1935 roku zaczęła studiować w Wilnie filologię klasyczną

ła na ulicy Mickiewicza i zapisuje się na prawo. Jutro wybieram się do »Bernardyńki« (park obok Cieleńnika) i tam zrobię piękne zdjęcie, by zrewanżować się za Twoje. Jako, że dziś jest święto idę zaraz do kościoła św. Katarzyny, w Ostrej Bramie już serdecznie i szczerze modliłam się za spełnienie naszych pragnień, myślę, że może modlitwa moja zostanie wysłuchana” – pisała tuż przed egzaminami wstępnyimi Halina, zachwycona nie tylko miastem, ale też położeniem barokowego uniwersytetu, dziedzińcem księdza Piotra Skargi i aulą kolumnową.

„Całe dni siedzę w domu, uczę się do kolloquium z autorów starożytnych i z gramatyki opisowej, które to chcę zdać przed świętami. Czekam tych Świąt jak chyba nigdy w życiu. Nigdy nie byłam sama, bez rodziców, zawsze z mamusią przecież” – relacjonuje miesiąc później w znacznie gorszym humorze.

– Ten zły humor nie wynikał wyłącznie z tęsknoty. Kilka dni wcześniej właścicielka kamienicy, w której mama mieszkała podczas studiów, została napadnięta, ciężko pobita i zabrana do szpitala – wyjaśnia Strumińska.

Do sprawy Halina Stankiewicz nawiązuje kilka razy w późniejszych listach z grudnia: „U nas »bałagan« po dawnemu. Pani Dabulewiczowa już w domu leży, a ciocia ledwo żywa ze smartwienia. Mówię Ci, atmosfera straszna. Obiadów nie jadam w domu tylko w stołówce u S.S. Józefinek – naprzeciwno pałacu reprezentacyjnego. Mam przynajmniej o 2-giej obiad, a w domu zawsze do piątej czekałam”. I w styczniu: „Pewno zainteresuje cię fakt, że ten bandyta Kapszewicz, który tak pobił p. Dabulewiczową dostał 10 lat więzienia i 10 lat pozbawienia wszelkich praw. Byłam nawet i ja (po raz pierwszy w życiu) na sprawie sądowej” – pisała już w 1936, nowy rok witając w nieco lepszym nastroju.

## 23.1.1936

„Niektóre dziedziny życia dorosłego podobają mi się bardzo, bardzo. Między innymi »to co jest wielką zagadką, tajemniczą złą, egzotywną grą«. Nie wiem tylko, czy to nie jest też złym objawem dorosłego życia, że zaczyna mi się ta gra coś za nadto podobać. Chyba trzeba będzie pójść w sobotę do powieździ. Apage, Satanas”.

– Od ciotek wiem, że mama nie była kokietką. Nie sędzę, by rzeczywiście miała z czego się spowiadać księdzu – zamyśla się pani Maryla. – Spowiadała się za to „Kochanemu Henryczkowi”, że wileńscy adoratorzy nie dają jej spokoju. Zdarzyło się, że jeden kolega pocałował ją bez pozwolenia. Oberwał za to po twarzy, a sprawa zakończyła się sądem koleżeńskim.

„Zerwałam znajomość z Felusiem Galickim. Co minutę ten wariat oświadczał mi się a wreszcie wczoraj zrobił mi duże świństwo więc go zwymyślałam i powiedziałam, że znać nie chcę – relacjonowała. – Teraz z tym mam spokój, ale zdaje się podobna »rozprawa« nie minie dwóch innych moich adoratorów – Zdźzicha i Witka Kochanowskiego (nazwisko odpowiednio, bo strasznie kochliwy!)” – uczciwie donosiła narzeczonemu. Od miłego towarzystwa jednak nie stroniła.

## 7.2.1936

„Z powodu karnawału i »balu włóczągów« miałam czas bardzo zajęty. Wystroiwszy się w nową, różową suknię, upiękniwszy swój lebek fryzurą »a la mode« poszłam w towarzystwie p. Borkowskiego, jego syna

Tadzika i Hali Makarewicz na bal Akademickiego Klubu Włóczągów. Bal ten odbywał się w salach Izby Przemysłowo-Handlowej. Napatrzyłam się na cudowne dekoracje, nazachwycalam się kolorowym światłem reflektorów i deszczem serpentyn, baloników i confetti zrzucanych ze ślicznej galerji, którą otoczona była główna sala. Spotkałam wiele koleżanek i kolegów, poznałam też sporo nowych chłopców i jednego pana sędziego, b. miłego i eleganckiego tylko trochę »za starego« na mój gust – bo koło 40-stki”.

– To żarty! – śmieje się Strumińska. – Mama się z tatą przekomarzała, bo on też był od niej starszy. Do tego już pracował, był kierownikiem robót drogowych wykonywanych pod Łowiczem przez warszawską firmę inżyniera Antuszewskiego, więc nie mógł przyjeżdżać do Wilna, by chodź z mamą na bale.

„Widzisz co ze mnie zrobiło się w Wilnie, zaczynam nie tylko mieć wywrotowe poglądy, ale też ochotę na życie wielkomijskie. Ale po dawnemu przepadam też za moją łaciną i za kimś jeszcze, co to sobie oczy pasie pasiastym pasiakiem w tęczowym, stubarwnym Łowiczu. Ja też »pasę oczy« w tej chwili, ale zimą, cudną, prawdziwą wileńską zimą z dzwonekami sanek, ze szronem na drzewach, ze słońcem i ze śniegiem i krą na Wilji”.

## 17.5.1936

„Piszę do Ciebie po bezprzykładnie długim milczeniu, ażeby ci przesłać najśliczniejszy uśmiech wileńskiego »maja«. Ze jest on naprawdę piękny musisz mi wierzyć na słowo. Tak bym chciała żebyś zobaczył rozszalenię wszgórza, przepastnie błękitną wstęgę Wilji i pachnącą kwieciami Rosę, no w ogóle całe »młe miasto marszałka« w jego wiosennej szacie. Wierz mi, że wobec takiego uroku, jaki płynie z wiosennego Wilna, nikt nie wszelekie zła i smutki życia, jest tylko cudnie, ślicznie!”.

– Milczenie było wynikiem kłótni rodziców. Byli parą od dawna, w którymś liście mama wyraziła wątpliwość, czy to ciągle miłość, czy przyzwyczajenie. I oczywiście się posprzeczała – tłumaczy Maryla Strumińska.

„Tobie życzę szczerze – znajdź dobrą, kochaną dziewczynkę, o której byś wiedział, że kochasz ją na pewno i nauważem – radziła w liście ukochanemu. – Ja będę samotnym profesorem wyższych uczelni, zasłużonym filologiem, znajdę szczęście w naukowej pracy”.

– Na szczęście dla mnie rodzice się pogodzili – mówi pani Maryla i powoli, jakby miała jeszcze ochotę wspominać, zbiera listy. Wkłada je do czerwonej teczki i stawia na półce obok rodzinnych albumów. Pytam, czy kiedykolwiek była w Wilnie. – Od lat sobie obiecuję, że pojedę i obejrzę wszystkie te ukochane miejsca mamusi, ale ciągle coś wypada i jeszcze tam nie dotarłam. Może w tym roku w końcu się uda?



# Subiektywny przewodnik po Wilnie

Turyści podążają utartymi szlakami: Ostra Brama, katedra Świętego Stanisława, kościół Świętych Piotra i Pawła, cmentarz Na Rossie i mauzoleum Józefa Piłsudskiego. Tymczasem Wilno to nie tylko wspaniałe zabytki. To przede wszystkim tętniące życiem miasto, pełne artystów, imprez i festiwali

STANISŁAW LUBKIEWICZ

## Anioł osiadł na Zarzeczcu

Jeszcze w połowie ubiegłego wieku położone na prawym brzegu Wilejki Zarzeczce było spokojną, cichą dzielnicą. W latach 70. zaczęli się tam osiedlać i wynajmować pracownie artyści i muzycy. Wtedy zaczęto nazywać je „wileńskim Montmartre'em”.

Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości dzielnica ponownie ożyła, głównie za sprawą tamtejszej bohemy artystycznej. Zarzeczce stało się modne. Obecnie to jedna z najdroższych dzielnic Wilna. Tanie mieszkania zmieniły właścicieli, a zaniedbanym XIX-wiecznym kamienicom przywrócono dawną świetność. Na parterach mieszczą się klimatyczne restauracyjki i winiarnie, butikujące autorskie kreacje litewskich stylistów oraz sklepiki antykwarcyjne. Nad wszystkim zaś czuwa rzeźbiony anioł – nowy patron dzielnicy.

Zarzeczce żyje swoim rytmem i trochę przekornie podkreśla swoją ekskluzywność. Podczas happeningu w 2000 roku jego mieszkańcy pół żartem, pół serio ustawili na moście prowadzącym do dzielnicy znak graniczny z napisem „Republika Zarzeczce”. Wkrótce też powstała konstytucja dzielnicy.

1 kwietnia obchodzony jest nawet Dzień Niepodległości Zarzeczca. Tego dnia na moście łączącym brzegi Wilejki od wjeżdżających na Zarzeczce pobierane jest myto.

## Cmentarz Bernardyński

W głębi Zarzeczca, przy ulicy Połockiej znajduje się jedna z najstarszych wileńskich nekropolii – cmentarz Bernardyński. Choć jest mniej znany od słynnej Rossy, urzeka malowniczym położeniem na wysokiej skarpie, u której podnóża szmerze Wilejka. Na cmentarzu znajduje się wiele pięknych nagrobków o wielkiej wartości artystycznej i historycznej. W ostatnim czasie dzięki osobistemu zaangażowaniu sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika, który zginął w katastrofie pod Smoleńskiem, prowadzone były tam zakrojone na szeroką skalę badania i prace restauratorskie.

## Rzeźbione okiennice

Miłośnicy XIX-wiecznej architektury drewnianej koniecznie muszą uwzględnić w planie zwiedzania Wilna jedną z najstarszych dzielnic miasta – Zwierzyniec, noszącą tę nazwę na pamiątkę założonego tu w XVI wieku przez Radziwiłłów ogrodu zoologicznego. Przed I wojną światową były to obrzeża miasta, zamożni mieszkańcy i rosyjscy urzędnicy budowali tu domy letniskowe. Przeważała drewniana zabudowa z charakterystycznie de-



Zarzeczce to „wileński Montmartre”. Dzielnice upodobał sobie artyści

korowanymi fasadami budynków. Do dziś zachowało się kilka domów z epoki z misternie rzeźbionymi elementami elewacji: okiennicami, odrzwiami, okapami.

## Wieża telewizyjna

Przy bezchmurnej pogodzie warto zwiedzić wileńską wieżę telewizyjną, gdzie 13 stycznia 1991 roku doszło do starcia sowieckich oddziałów specjalnych OMON-u z jej obrońcami. Od kul i pod gąsienicami czołgów zginęło kilkanaście osób, o czym przypomina znajdująca się w muzeum w wieży ekspozycja fotograficzna.

Na szczycie, na wysokości 165 metrów mieszczą się kawiarnia oraz obrotowa platforma widokowa, z której można podziwiać rozległą panoramę Wilna. Przy dobrych warunkach pogodowych widoczność sięga 50 kilometrów.

## Belmont, Werki

W granicach miasta znajduje się kilka parków krajobrazowych i obszarów chronionych. Wśród wileńskich duża popularnością cieszą się zwłaszcza Belmont i miejscowość Puskarnia. Wilejka meandruje tu pośród głębokich wąwozów, których zbocza porasta las. Chyba dlatego w tym miejscu – ostojnym przed wzrokiem wścibskich – kilkadziesiąt lat temu zbudowano odlewnię dział, które spławiano Wilejką

do miasta. Zachowały się ruiny budynku i kanał prowadzący do rzeki. Puskarnia jest piękna o każdej porze roku, ale największe wrażenie robi jesienią, kiedy drzewa toną w feerii barw: żółci, czerwieni i całej gamie brązów, a na starych jabłoniach połyskują w słońcu dojrzałe owoce. Po spacerze warto wstąpić na obiad do gospody mieszczonej się w odbudowanej stajni dawnego folwarku Francuski Młyn. Oprócz gospody jest tam też restauracja, hotelik oraz kawiarnia na świeżym powietrzu.

Kilka kilometrów na północ od Puskarni na wysokim brzegu Wilii leżą Werki, w czasach przedchrześcijańskich jedno z miejsc kultu pogańskich bogów. Dziś litewscy neopoganie też odprawiają tam swoje obrzędy. Od XV wieku Werki były posiadłością wielkich książąt litewskich, później rezydencją biskupów. Niegdyś stał tu okazały pałac. W okresie wojen napoleońskich jego główna część spłonęła. Obecnie w zachowanych oficynach można obejrzeć wystawę poświęconą wystrojom wewnątrz charakterystycznym dla XIX-wiecznych arystokratycznych siedzib. W jednej z oficyn mieści się restauracja Verki. Warto zamówić tam Czekoladową fontannę (fondue).

## Na co się wybrać

Znudzeni zwiedzaniem zabytków na pewno wybiorą coś dla siebie z bogatej oferty kulturalnej, jaką

Wilno przygotowało dla swoich gości. Luty tradycyjnie jest miesiącem międzynarodowych wileńskich targów książki. Regularnie przyjeżdżają na nie również wydawcy i autorzy z Polski. Tegoroczne spotkania poświęcone były stuleciu urodzin Czesława Miłosza.

W połowie marca startuje 16. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Kino Pavasaris (Filmowa Wiosna). W maju Wilno bierze we władanie festiwal Naujasis Baltijos Šokis (Nowy Taniec Bałtycki), wielka impreza taneczna, w której biorą udział zespoły z krajów skandynawskich oraz między innymi z Niemiec i Holandii.

Jedną z najefektowniejszych imprez kulturalnych Wilna jest Tebūnie Naktis (Niech Trwa Noc), która odbywa się w nocy 21 czerwca. Aż do rana opuszczone podwórza starówki stają się sceną przedstawień teatralnych, pokazów tanecznych oraz projekcji filmowych. Ogromne wrażenie robią pokazy pływających rzeźb oraz wodne instalacje. Tej nocy Wilno nie śpi. Otwarte są wszystkie muzea i galerie artystyczne.

Z kolei we wrześniu na głównym deptaku – alei Gedymina – przez tydzień trwa festyn Sostinis Dienos (Dzień Stolicy). W programie imprezy są koncerty muzyki popularnej i klasycznej, prezentacje książek, pokazy mody. Jest też część sportowa i popularne na Litwie zawody koszykarskie. Podczas festynu można spróbować dań kuchni litewskiej i potraw przygotowanych przez przedstawicieli mniejszości narodowych.

W październiku zaś w Wilnie rusza maraton jazzowy Vilnius Mama Jazz. Sesje odbywają się w rosyjskim teatrze dramatycznym (przedwojenny Teatr na Pohulance) lub w muzycznym klubie Tamsta.

W listopadzie sztafetę przejmuje inny festiwal jazzowy – Vilnius Jazz. O bilety na koncerty trzeba zabiegać dużo wcześniej, bo to niepowtarzalna okazja posłuchania na żywo znanych jazzmanów z całego świata.

Nie można przegapić październikowego festiwalu teatru eksperymentalnego Sirenos. Ubiegłoroczną edycję tego święta zainaugurowało przedstawienie gru-

py teatralnej Jerzego Grotowskiego i Thomasa Richardsa „I am America”.

## Gdzie się zabawić

Większość popularnych klubów i dyskotek mieści się na wileńskiej starówce i w śródmieściu. Zapelniają się one nie tylko w weekendy, ale też w dni powszednie. W opinii byłych walców najlepszym nocnym klubem w Wilnie jest Pacha Vilnius z dwiema przestronnymi salami tanecznymi (house/electro) oraz ośmioma barami. Dużym powodzeniem cieszy się też Prospekto Klubas. Goście chwalą dobrą muzykę, niezłą kuchnię i elegancki wystrój. Lubią się tu zabawić również gwiazdy i gwiazdeczki litewskiego show-biznesu. Szczególna cecha klubu – najdłuższa w Wilnie, mierząca 20 metrów lada barowa obsługiwana jednocześnie przez kilku barmanów.

Z kolei atrakcją Lithuanian Wild są (po godzinie 23) ponoć najlepsze w Wilnie tancerki topless.

Miłośnicy bluesa, rocka i jazzu zbierają się w klubie Aula Blues Club,

a przedstawiciele subkultur umiłowali Havana Social Club.

Ci, którzy wołają spokojniejsze rozrywki, mogą wybierać wśród licznych stylowych kawiarni na starówce. Choć latem o spokojnie trudno, bo zamienia się ona w jeden wielki ogródek piwny pełen fanów litewskiej ligi koszykarskiej, którzy zasiadając przed telewizorami w pubach i barach, ogłaszającym wrzaskiem reagują na każdą udaną akcję swoich faworytów. Najpopularniejsze litewskie gatunki piwa – jasne Uteno i Švyturys. Piwo na Litwie pije się z tradycyjną przystawką z pieczonego i natartego czosnkiem chleba (czasem z topionym serem Rokiškio), wędzonym świńskim uchem i gotowanym grochem. Niezliczone *karčemos* (karczmy) i *seklīcios* (gospody) niezmiennie mają w swoim menu również cepeliny i viedarai (pieczoną kiszkę wypchaną tartą masą ziemniaczaną).

## W domu najlepiej

Głównym ośrodkiem polskiego życia kulturalnego i towarzyskiego w Wilnie jest Dom Kultury Polskiej. Jego oferta jest bogata – od zabaw tanecznych, koncertów muzyki popularnej, przez występy grup teatralnych, po spotkania oplatkowe, zabawy noworoczne i karnawałowe. Polską kuchnię (choć pozostawiającą wiele do życzenia) serwuje tutejsza restauracja Pan Tadeusz. Wśród Polaków wileńskich po wojnie zrodziła się tradycja spotkań klasowych. Rekordziści spotykają się nawet po 50 latach.

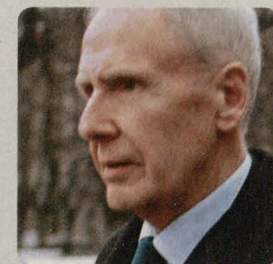
Dużym zainteresowaniem zarówno wśród Litwinów, jak i wileńskich Polaków cieszą się też imprezy Instytutu Kultury Polskiej. Podczas zorganizowanej w 2010 roku serii koncertów chopinowskich w pałacu Chodkiewiczów sala ledwie pomieściła słuchaczy.

## Na zakupy do Akropolu

Dla wielu wileńskich sobota jest dniem zakupów. Najchętniej robią je w dużych centrach handlowych, które oferują nie tylko różne towary, ale też rozrywkę. Do najpopularniejszych zaliczane są: Akropol, Panorama, Europa i Ozas. Oprócz licznych sklepów i butików w centrach są też kawiarnie, fast foody, księgarnie, kina, sale bowlingowe, sztuczne lodowiska i place zabaw dla dzieci. Centra handlowe największe obłężeńie tradycyjnie przeżywają w okresie przedświątecznym, kiedy zakupy robią tam też zamożni mieszkańcy położonej zaledwie 30 kilometrów od Wilna Białorusi.

## Polakom i Litwinom może się udać

KAZIMIERAS MOTIEKA, sygnatariusz litewskiego aktu niepodległości, wicemarszałek pierwszego wolnego sejmiku



FOT. AFP/East News

Pamiętam uchwałę polskiego Sejmu z 1991 roku popierającą naszą niepodległość. Byłem wtedy w polskim parlamencie. Pamiętam warszawską ulicę, tłumy z transparentami „Niech żyje niepodległa Litwa”. To był wspaniały czas na rozpoczęcie nowej ery w naszych stosunkach.

Potem się to urwało. Zakradły się nieufność i rozdrapywanie historycznych ran. Po obu stronach wciąż są tacy, którzy chcieliby te rany jątrzyć.

Trzeba szukać porozumienia i współpracy, a nie podejmować działania, które mogą być odbierane jako odwet. Wiel-

kim błędem było przyjęcie ustawy umożliwiającej przenoszenie własności na ziemię. Wiele osób, które nie miały przed wojną własności na Wileńszczyźnie, dzięki tej ustawie weszło w jej posiadanie. Tymczasem niektórzy Polacy wskutek nieuzasadnionej zwłoki przeciagających się procedur biurokratycznych już nie odzyskują swojej ojcowizny.

Gdy myślę o polsko-litewskich stosunkach, przypominają mi się relacje francusko-niemieckie. Mimo krwawych konfliktów o Zagłębie Saary Niemcom i Francuzom udało się porozumieć. Dlaczego nie

miałoby się udać Litwinom i Polakom? Wiele spodziewam się po młodym pokoleniu, które – mam nadzieję – potrafi lepiej się porozumieć.

Lubię odwiedzać wileńskie kościoły. Są różne pod względem architektonicznym, ale panuje w nich wspólna im wszystkim aura. Nie tylko w takiej perle architektury jak kościół Świętych Piotra i Pawła, ale także w skromnej świątyni czuć szczególną duchową, dającą ukojenie atmosferę. Sądzę, że tej aury wileńskich kościołów jednakowo doświadczają Litwini, i Polacy.

wysłuchał Stanisław Lubkiewicz





# Trudny zawodnik Lech Wałęsa

Wciąż nie wiadomo, kto zagra przywódcę Solidarności w filmie Andrzeja Wajdy, ale rozpoczęte przez nas poszukiwania idealnego odtwórcy tej roli wzbudziły wiele emocji. Gorąca dyskusja rozgorzała również na Facebooku

KAROLINA PASTERNAK,  
ANNA JASTRZĘBSKA

Kilka dni temu w redakcji zadzwonił telefon: - Chciałabym, żeby państwo zwrócili uwagę pana Wajdy na Krzysztofa Majchrzaka. Mógł o nim zapomnieć, bo Majchrzak nie występuje w tych wszystkich serialach - czytelniczka „Przekroju”, pani Anna Hierowska-Zybert („Jak profesor Zybert z »Na dobre i na złe«”), niepokoiła się, że reżyser może przegapić najlepszego kandydata do roli Lecha Wałęsy. - Nie jest ograny, poza tym ma urodę chłopską, mężczyzny silnego, energicznego. Byłby doskonały jako Wałęsa. Chyra i Szyc są tacy delikatniutcy, a Majchrzak ma charyzmę!

To tylko jeden z wielu głosów, które pojawiły się po naszym tekście „Casting na Wałęsę” („Przekrój” nr 7/2011), w którym pół żartem, pół serio, posiłkując się opiniami między innymi artystów, historyków i działaczy politycznych, wskazaliśmy aktorów, którzy naszym zdaniem mogliby wcielić się w prezydenta w filmie Andrzeja Wajdy. Na „Przekrojowej” liście znaleźli się: Andrzej Chyra, Janusz Gajos, Marian Dziędziel, Robert Więckiewicz, Borys Szyc, Tomasz Karolak, Mariusz Ostrowski, Michał Majnicz i Krzysztof Globisz.



Teatr Wybrzeże, Lech Wałęsa na próbie spektaklu Michała Zadary, którego był bohaterem (2005). Obok Maciej Nowak, ówczesny dyrektor gdańskiej sceny

Nasz casting wzbudził tak dużo emocji, dyskusji i komentarzy, że postanowiliśmy wrócić do tematu i tym razem zapytać większość z wytypowanych przez nas aktorów, czy widzieliby się w roli Lecha Wałęsy. Najbardziej zainteresowany, czyli sam prezydent, w rozmowie z nami nie chciał wskazać swojego kandydata. - Artykułu nie czytałem, bo byłem w tym czasie w Miami, a tam „Przekrój” nie wychodzi - mówi nam Lech Wałęsa. - Ufam w stu procentach Andrzejowi Wajdzie - przekonuje,

gdy pytamy o to, czy chciałby, by na ekranie odtwarzał go konkretny aktor. Nie daje się nam mówić na podanie choćby jednego nazwiska: - Jestem trudnym zawodnikiem - wyznaje bez ogródek.

Również Andrzej Wajda wolał nie wypowiadać się na temat naszego „Przekrojowego” castingu. - Reżyser przeprasza, ale nie chce komentować sprawy. Projekt jest jeszcze na zbyt wczesnym etapie - tłumaczy nam jego asystentka Monika Lang.



Andrzej Chyra jako przywódca Solidarności w nieudanym „Strajku” (2006) Volkera Schlöndorffa

niej dodał: - Plotka chyba szybko się roznosi, bo każdy spotkany w mieście znajomy pyta, czy zagram. Tłumacząc oczywiście wszystkim, że to tylko takie dywagacje.

- „Przekrój” pokazał mi w teatrze kolega, byłem pozytywnie zaskoczony. Zacząłem już nawet uczyć się mówienia z akcentem: „Nie chcem, ale muszem” - żartuje Mariusz Ostrowski. - Mama jest dumna, ojciec również - dodaje.

- Jestem przed premierą, więc całe dni spędzam w teatrze. Dopiero kiedy pojechałem do rodziców w Tarnowskie Góry, okazało się, że tam już wszyscy żyją tym, że Michał Majnicz został wytypowany do roli. Na Facebooku ktoś zamieścił moje zdjęcie i zatytułował je: „Majnicz na Wałęsę” - opowiada aktor Teatru Polskiego we Wrocławiu. - Ja sam natychmiast skontaktowałem się z Jankiem Kłatą, bo domyśliłem się, że to za jego sprawą znalazłem się w tym znakomitym gronie - dodaje.

## Odmłodzić Dziędziela

„Dziękuję bardzo! W domu mówią do mnie teraz Lechu” - pisał w SMS-ie do nas dzień po ukazaniu się artykułu Arkadiusz Jakubik. W rozmowie telefonicznej tydzień póź-

film ma opowiadać o młodym Wałęsie, więc ja bym się raczej nie nadawał. Uważam, że postać tak znaną i ważną dla naszej historii powinien zagrać aktor nieznany, nieopatrzonego - uważa Janusz Gajos.

- Wczoraj oglądałem film z Robertem De Niro - opowiada z kolei Marian Dziędziel. - Gdyby był młodszy, byłby w tej roli genialny. Dziś nawet technika komputerowa nic tu nie pomoże. Moim zdaniem można za jej pomocą odmłodzić twarz, ale nie ruchy, sposób chodzenia. W każdym razie nie Dziędziela - uśmiecha się aktor.

Andrzej Chyra, który ma na koncie rolę w „Strajku”, do sprawy podszedł ze spokojem („Już zagrałem postać, której pierwowzorem był Lech Wałęsa, więc nie było zaskoczenia”), a Robert Więckiewicz z dystansem: - Z zasady nie lubię wypowiadać się na tematy wirtualne. Na razie o filmie prawie nic nie wiemy, mamy do czynienia wyłącznie z zabawą redakcji „Przekroju”. Czy chciałbym zagrać Wałęsę? Na pewno byłoby to duże wyzwanie.

Chęć zagrania prezydenta mniej lub bardziej otwarcie wyrazili zresztą wszyscy →





Andrzej Wajda i Lech Wałęsa na planie „Człowieka z żelaza” (1981). Wałęsa zagrał świadka na ślubie

→ nasi rozmówcy. I prawie każdy z nich dokładnie wiedział, jakby się do tej roli zabrał.

### Kombinować jak Wałęsa

– Jeżeli miałbym go zagrać, musiałbym przede wszystkim schudnąć – mówi z rozbrajającą szczerością Tomasz Karolak. – Większym problemem jest to, że jestem o pół metra wyższy od Lecha Wałęsy. Żeby zachować proporcje, reszta obsady musiałaby być bardzo, bardzo wysoka – żartuje. – A tak serio, to próbowałbym zrozumieć motywy kierujące najpierw przywódcą Solidarności, a później prezydentem. Zaczęłbym czytać wspomnienia, dokumenty. Podszedłbym do zadania tak, jak podchodzi się do roli teatralnej – wyjaśnia Karolak.

– To zadanie odpowiedzialne, poważne i trudne, ale właśnie dlatego tak pociągające.

Bo Wałęsa to ikona. Tłumaczenie tego fenomenu otarłoby się o śmieszność – tłumaczy z kolei Marian Dziędział.

– Najważniejszy w tym wypadku będzie scenariusz – dodaje Chyra. – Czy pójdzie w stronę rekonstrukcji, zebrania do kupy faktów i stworzenia portretu, czy będzie to rzecz, która pokaże nam coś nowego. Sytuacja jest o tyle trudna, że bazą jest prawdziwy życiorys, z którego trzeba stworzyć interesującą historię. Zagrać postać jeszcze żyjącą, obciążoną mnóstwem stereotypów i emocji, jest bardzo trudno.

– Oczywiście to, że Wałęsa żyje, czyni wyzwanie jeszcze większym. Ale jestem właśnie w trakcie zdjęć do „Jesteś Bogiem”, filmu Leszka Dawida o legendarnym hip-hopowym zespole Paktofonika, gdzie mamy podobną sytuację. Wszyscy bohaterowie poza liderem

zespołu Magikiem żyją. Ja gram menedżera – opowiada Jakubik. – Wychodzę z założenia, że w takiej sytuacji trzeba poznać bohatera, zacząć myśleć i kombinować jak on, ale w żadnym razie nie można go naśladować. Podobieństwo musi być organiczne, wypływać z wnętrza. Trzeba po prostu zacząć się z bohaterem spotykać – twierdzi.

– Byłaby to świetna okazja, żeby poznać Wałęsę prywatnie – uważa Ostrowski. – Zadać mu pytania, jakich nigdy w życiu bym mu nie zadał, na przykład: co robi, gdy wstaje rano, jakie jest jego ulubione danie, czy ma jakieś tiki nerwowe – dorzuca Majnicz.

### Żyjemy wyobrażeniem

I właśnie ta możliwość obcowania z żywą legendą zdaje się najbardziej fascynować aktorów. Ale czy jest się czemu dziwić? W końcu kto by nie chciał poznać bliżej człowieka, którego większość z nas zna z opowieści, ogląda jak żywy pomnik Solidarności.

Wszyscy żyjemy wyłącznie wyobrażeniem o Lechu Wałęsie. Politolodzy i artyści, którzy przed dwoma tygodniami pomagali nam wytypować kandydatów do głównej roli w filmie Wajdy, także nim żyją. Dlatego z takim zapałem włączyli się w naszą zabawę: by się nim podzielić. – W gruncie rzeczy państwa casting, bazowanie na domniemanych możliwościach aktorów, to raczej sprawdzian tego, co myślimy o Lechu Wałęsie, jaki zostawił w nas ślad – słusznie zauważył Andrzej Chyra.

Jedni z nas widzą w przywódcy Solidarności pozytywnego cwaniaka, inni charyzmatycznego wodza, jeszcze inni tragicznego bohatera, który poległ na prezydenturze. Gdzie leży prawda? Może jej rąbka uchylił film „Wałęsa”. Na co wszyscy szczerze liczymy.

**Tomek Tyczek Tyczyński:** Znakomity Marian Dziędział.

**Iza Kaduk:** Zdecydowanie Arkadiusz Jakubik, wybitny, a niedoceniany aktor.

**Beata M. Woźniak:** Pewnikiem, że Majnicz. Michał Majnicz!!!

**Człowiek Napęd Do Mopa:** Bogusław Linda. Pasowałby jak ulał!

**Daniel Ramczykowski:** Andrzej Chyra, to Aktor przez duże A :)

**Robert Kostun:** Chyba mam ciasne horyzonty i wyobraźni mi nie staje, bo za cholere nie rozumiem, czemu w tym zestawie pojawił się Karolak... Już Szyca średnio pasuje... Z tych trzech tylko Chyra.

**Beata Modze:** A ja myślę, że Janusz Gajos. Wybitny aktor.

**Magdalena Antrobus:** Jeśli ma to być młody Wałęsa – to właśnie Szyca. Tylko on ma wystarczająco dużo adrenaliny, żeby sprostać takiemu zadaniu!!) Chyra – mój typ nr 2. Reszta nie bardzo.

**Tomasz Bukajewicz:** Myślę, że Michał Milowicz. Zaskakujące, że nie ma go na liście!

**Krzysztof Banach:** Osobiście liczę na to, że reżyser znajdzie jakiegoś mało znanego aktora, dla którego będzie to rola życia. [...] Żadnego Szyca, żadnego Karolaka, żadnego Więckiewicza. Nieco świeżego powietrza, błagam!

**Matylda Olszewska:** Słuchajcie, wszyscy się mylicie! ;) Tylko i wyłącznie Dziędział! ;) Przecież to prawie sobowtór Wałęsy.

**Jerzy Kudelski:** Więckiewicz, ino muszą go skrócić komputerowo.

(SKRÓTY POCHODZĄ OD REDAKCJI)



## Komiks z nagonką

Awantura o album „Chopin new romantic”. Prawie nikt go nie widział, a MSZ „aresztowało” cały nakład

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

**B**omba wybuchła, kiedy TVN ujawnił w zeszłym tygodniu, że w komiksie poświęconym Fryderykowi Chopinowi padają wulgarne słowa. Jakby tego było mało, okazało się, że album zamówiony przez Ambasadę RP w Berlinie i Ministerstwo Spraw Zagranicznych ma trafić do niemieckich szkół.

Media szybko podchwyciły temat. Dziennikarze, politycy i blogerzy z Martą Kaczyńską (również troszczącą się o niemiecką młodzież) na czele jak jeden mąż ocenili wydanie 27 tysięcy euro na „Chopin new romantic” jako marnotrawstwo publicznych pieniędzy. Jeden z portali zażądał nawet zniszczenia całego dwutysięcznego nakładu. Wywołane do tablicy poczuło się też MSZ. W zeszły wtorek wiceminister Jan Borkowski na konferencji prasowej oświadczył, że „komiks nie będzie już w żaden sposób dystrybuowany”.

Nikogo nie interesowało, po co i dla kogo powstała ta antologia. Zapytał więc o to „Przekrój” – u źródła, czyli w wydawnictwie Kultura Gniewu. – Od samego początku projekt zakładał, że album nie będzie służył celom edukacyjnym. Nie miał również promować Chopina, ale jedynie przy okazji Roku Chopi-

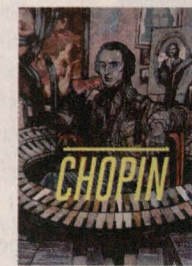
nowskiego zaprezentować młodą sztukę komiksową z Polski i Niemiec. To ambasada w Berlinie zgłosiła się do nas i zaproponowała nam współpracę – mówi Szymon Holcman.

Jak twierdzi, nigdy nie było mowy o dystrybuowaniu albumu w szkołach: – Mówiono tylko o placówkach dyplomatycznych, instytucjach kultury. Ambasada w Berlinie dała nam wolną rękę, nie było żadnych wytycznych co do „zakazanych treści”. Widzieli komiks pół roku przed drukiem. Dostawaliśmy e-maile z poprawkami merytorycznymi, literówkami, ale nikt nie odniósł się do przekleństw z opowieści Krzysztofa Ostrowskiego (plansza u góry). Dziś książka jest niedostępna w Polsce, prawie cały nakład znajduje się w Berlinie. W kraju otrzymali go autorzy i kilkunastu dziennikarzy. Po wybuchu afery Kultura Gniewu zadeklarowała, że odda część dotacji na stworzenie komiksu, jeśli „Chopin new romantic” nie pójdzie na przemiał.

Dlaczego podniosły się głosy oburzenia na przekleństwa, a nikt nie protestuje, gdy za publiczne fundusze powstają kiepskie artystyczne projekty promocyjne, na przykład fatalny komiks grunwaldzki, słaby komiks

o Solidarności oraz nasza narodowa specjalność – paskudnie narysowane i opowiedziane historie obrazkowe o polskich miastach: Białymstoku, Swarzędzu, Jeleniej Górze... Wszystko jest jednak w porządku, bo nikt tam nie przeklina i można dać to dzieciom.

Tymczasem „Chopin new romantic” to dobry tytuł, do którego tworzenia zaproszono czołowych artystów komiksowych z Polski i Niemiec: Mawila, Sachę Homera, Grzegorza Janusza, Jakuba Rebelkę, Agatę „Endo” Nowicką oraz Krzysztofa Ostrowskiego. Poszczególne nowelki są graficznie różnorodne, mają ciekawe scenariusze. Widzimy na przykład Fryderyka Chopina współpracującego z Adamem Mickiewiczem przy budowaniu maszyn do tworzenia jednocześnie poezji i muzyki, poznajemy grupkę muzycznych awangardzistów z Francji, którzy chcą zdetrонizować naszego kompozytora, dla nich zdecydowanie zbyt konserwatywnego. Interesujący jest również „wulgarny komiks” Ostrowskiego – historia o wizycie w więzieniu z okazji Roku Chopinowskiego popowego zespołu. Wokalista stylizuje się na Chopina zmiksowanego z liderem Ich Troje, a jeden z członków kapeli to skinhead, a zarazem były osadzony. – Tłumaczyłem dziennikarzom, że mój bohater to nie Chopin, ale bez rezultatu – mówi Krzysztof Ostrowski.



U źródeł afery leży problem w relacjach między władzą a komiksem. W Polsce państwo traktuje go jako medium do wynajęcia, a rysownicy

wobec zapaści na rynku godzą się na rocznikowe zlecenia. Tak powstają słabe komiksy historyczne, których nikt nie chce czytać. Koło się zamyka. „Chopin...” za próbę jego rozmontowania dostał po głowie.

Czy sytuacja mogłaby wyglądać inaczej? Wystarczy spojrzeć na działania paryskiego Luwru, który poprosił najlepszych europejskich rysowników o stworzenie albumów opowiadających o słynnym muzeum. Jednym z nich był „Période glaciaire” Nicolas de Crécy. Artysta zaproponował historię ziemi w odległej przyszłości. Europa znów pokryła się lodową czapą. Grupa archeologów zostaje wysłana na poszukiwania skarbów przeszłości i trafia na Luwr. A ponieważ nie mają oni wiedzy o kulturze, interpretują napotkane dzieła w dyletancki sposób. Wyszła z tego przestroga przed życiem pozbawionym tradycji i kultury.

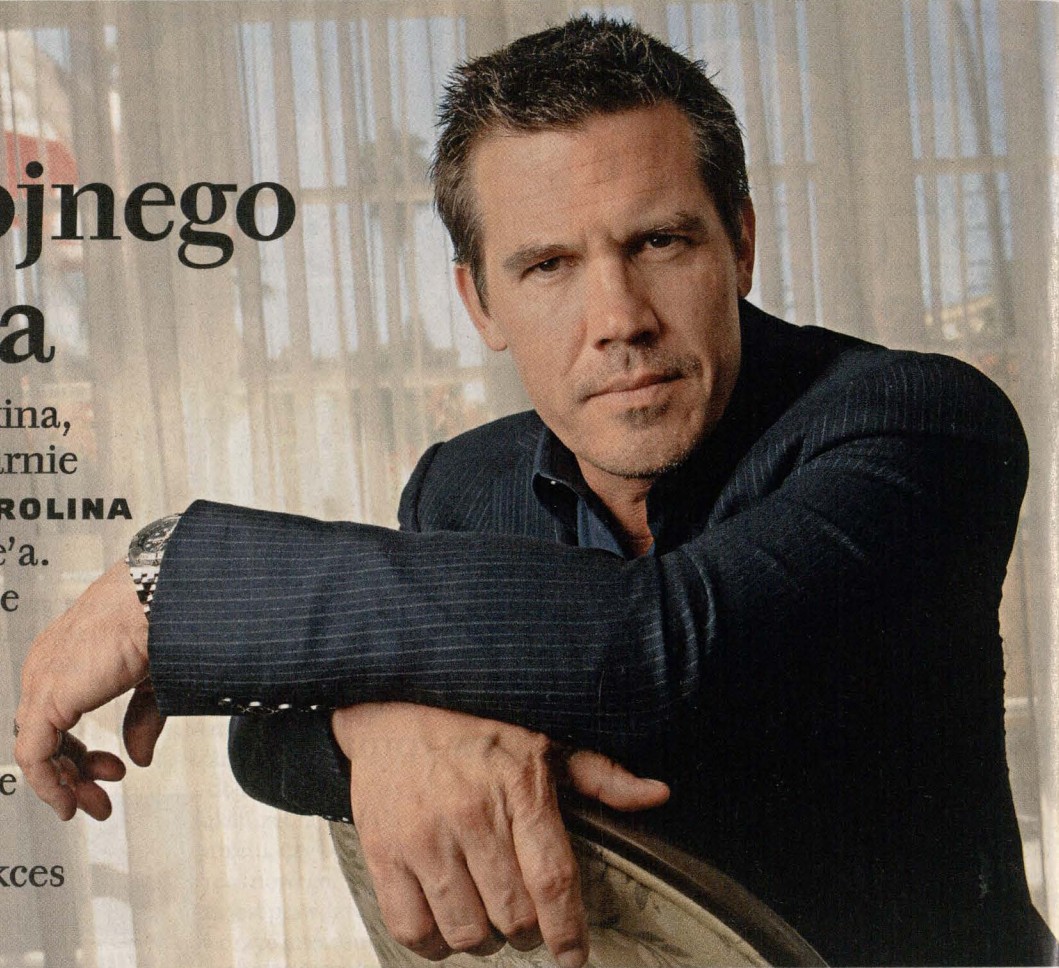
Wartościowy komiks za publiczne pieniądze? We Francji to możliwe, w Polsce skupiamy się na przekleństwach.



# Poznaj przystojnego bruneta

Jeśli chodzą do kina, od trzech lat regularnie widujecie **JOSHA BROLINA** u Coenów i u Stone'a. 11 marca zobaczycie go u Allena. Przedtem jednak dowiedzcie się, czemu ten diabelnie zdolny aktor tak długo czekał na sukces

KAROLINA PASTERNAK



FOT. BEBWA

W szczerym teksaskim polu wąsaty myśliwy Llewelyn Moss znajduje walizkę. Gdy ją otwiera, widzi pliki studolarówek. – Taa... – bąka pod nosem. Rozgląda się, zerka na pieniądze, chwilę się zastanawia. Zamyka walizkę i odchodzi z dwoma milionami dolarów. To kluczowa scena filmu Ethana i Joela Coenów „To nie jest kraj dla starych ludzi” z 2007 roku, w którym to większość z was prawdopodobnie po raz pierwszy zobaczyła Josha Brolina. Nie wiem, ile Brolin wziął za ten występ, ale to właśnie ta rola była dla niego wydarzeniem równie brzemiennym w skutki jak dla myśliwego Mossa znalezienie fortuny na odludziu.

Od tamtej pory Brolin wystąpił u Roberta Rodrigueza („Planet Terror”), Ridleya Scotta („American Gangster”), Gusa Van Santa („Obywatel Milk”), stał się też ulubieńcem Olivera Stone'a, który obsadził go w dwóch produkcjach – „W.” i „Wall Street: Pieniądz nie śpi”. W tym pierwszym aktor wcielił się w George'a W. Busha i choć krytyka „W.” przyjęła chłodno, nad kreacją Brolina rozpyływały się wszystkie branżowe tytuły. Nawet igno-

rując Stone'a (za nieskrywaną sympatię do Fidela Castro) Amerykańska Akademia Filmowa niejako w ramach rekompensaty za przemilczenie filmu nominowała Brolina za rolę drugoplanową w „Obywatelu Milku”.

I choć patrząc na wysokiego, świetnie zbudowanego 43-letniego aktora, chodzącego uosobienie samca alfa, a chwilę potem na George'a W. Busha, nie podejrzewalibyście, że ci dwaj panowie mogą mieć ze sobą coś wspólnego, Stone dobrze wiedział, co robi, zatrudniając Brolina do roli w „W.”.

## Być jak George Bush

– Wykonuję ten sam zawód co mój ojciec – to jedno podobieństwo do George'a W. Busha. Wychowałem się na ranczo, a on w Midland w Teksasie. To kolejne. Ale on dorastał w biznesie paliwowym, ja nie. Nie wiem, co jeszcze. Skończyły mi się pomysły – opierał się Brolin, gdy dziennikarz „Guardiana” pokusił się o porównanie życiorysów byłego prezydenta USA i aktora.

– Jest w nim coś bardzo amerykańskiego – tłumaczył swój wybór odtwórca roli Busha

reżyser. Najbardziej oddaje to pewnie charakterystyka z „Prawdziwego męstwa”, westernu braci Coenów, w którym aktor wciela się w kowboja. Ale to „coś” widać było już w poprzednich kreacjach aktora. „Coś”, co sprawia, że gdy patrzy się na Brolina, ma się wrażenie, jakby właśnie zszedł z plakatu papierosów Marlboro.

Stone'owi nie chodziło jednak wyłącznie o image. Raczej o pokazanie, że drogę, którą pokonał Bush (drogę nieudacznika, który jako 40-latek wszedł w świat polityki głównie dlatego, iż nie widział dla siebie innej życiowej ścieżki niż pójść w ślady ojca), przebyć może jedynie ktoś, kto ma za sobą podobne doświadczenia. Przecież do czasu „To nie jest kraj dla starych ludzi” Brolin junior był tylko synem słynnego ojca, gwiazdora Jamesa Brolina. W 1998 roku, gdy Brolin senior poślubił Barbrę Streisand, dodatkowo został pasierbem jeszcze słynniejszej macochy. Grał sporo, ale w filmach tak kiepskich („Droga śmierci”, „Ekipa wyrzutków”) bądź tak niszowych („Mutant”), że laik jego rolę u Coenów mógł uznać za filmowy debiut aktora.

Tymczasem Brolin debiutował lata temu jako 16-latek w przygodowym filmie „Goonies”. Dla jego rówieśników, Leonarda DiCaprio czy Johnny'ego Deppa, wczesny start okazał się wstępem do świetnych karier. Brolin nie miał tyle szczęścia. Czy może raczej nie miał odpowiedniego charakteru. Narwany, zadziorny, z pogardą odrzucający propozycje ról w telewizyjnych tasiemcach – taką reputacją cieszył się pod koniec lat 80. w Hollywood. Nosił zaфарbowanego na blond irokeza, grał w punkowym zespole i był członkiem słynnego w Santa Barbara, dokąd przeniósł się jako 12-latek z rodzinnego rancza w Paso Robles, gangu surferów o wiele mówiącej nazwie Cito Rats, czyli Szczury z Montecito (okolice Santa Barbary). Brolin: – To było niesamowite doświadczenie. Ten rodzaj niedostępnej dla niewtajemniczonych więzi, o której marzysz jako dzieciak. Niestety, maksymalnie dysfunkcyjnej. 80 procent tamtej paczki już nie żyje.

## Być jak Donald Trump

Gdy stuknęła mu dwudziątka, niespodziewanie zostawił chłopców z ferajny, by poświęcić się zgoła odmiennej roli – męża, a zaraz później ojca. Kolejne wcielenia rozwodnika i męża filmowej sławy Diane Lane (od 2004 roku do dziś) przysporzyły mu większego rozgłosu niż te ekranowe. A ostatnia przyniosła nawet większe pieniądze – wszak Lane była już wówczas nominowaną do Oscara gwiazdą megahitu „Pod słońcem Toskanii”.

Sposób na uratowanie honoru głowy rodziny spadł na Brolina w 2005 roku... z nieba. – W samolocie poznałem eksperta finansowego Breta Markinsona, który nauczył mnie wszystkiego o obrocie papierami wartościowymi – wspomina. Rok później dzięki inwestycjom na giełdzie Lane i Brolin mieli już nie tylko willę w Los Angeles, ale także luksusowy dom nad oceanem w Santa Monica, a aktor mógł przestać chałturzyć w kiepskich filmach i pójść w ślady idola... Donalda Trumpa. – Wszyscy myślą, że jestem lewakiem. Prawda jednak jest taka, że jestem bardzo konserwatywnym demokratą. I fanem Trumpa. Ludzie uważają go za dupka, bo jest milionerem, kapitalistą. Bo kapitalizm to takie straszne zło, tak? – ironizował Brolin w rozmowie z „Playboym”.

Nawrócony na kapitalizm punk do dziś byłby może praktykującym wyznawcą tej religii, gdyby nie kryzys. Zawierowania na giełdzie zmusiły go do ponownego zajęcia się aktorstwem.

Bessa dla Brolina handlowca okazała się początkiem jego hossy w kinie. A doświadczenia giełdowe mógł wykorzystać w jednej z ról

– finansisty Brettona Jamesa w „Wall Street: Pieniądz nie śpi”. Zresztą gdy przyjrzeć się rolom, w których Brolin był obsadzany w ostatnich trzech latach, wszystkie wydają się bazować albo na jego wizerunku amerykańskiego twardziela i awanturnika, albo na życiowych doświadczeniach. Nawet Dan White z „Obywatela Milka”, morderca legendarnego gejowskiego aktywisty, to przecież postać zbudowana na zazdrości o sukces, który ktoś sprzątnął nam sprzed nosa. Czyli na uczuciu Brolinowi bardzo dobrze znanym.

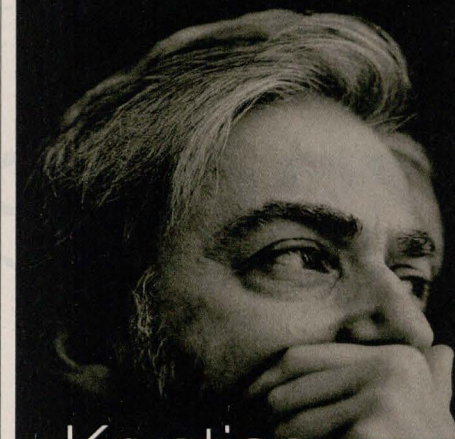
## Być jak Woody Allen?

Udział w „Poznasz przystojnego bruneta” to coś nowego w karierze aktora. Rola zupełnie wbrew warunkom i jego kinowemu emplotowi. Brolin: – Zagrałem kiedyś u Woody'ego Allena epizod w „Melinda i Melinda”. Dwa lata temu Woody zobaczył mnie w „W.” i wysłał mi e-mail, który mam do dziś – na ścianie, oprawiony w ramkę. Brzmiał tak: „Nie wiem, czy pamiętasz mnie z »Melinda i Melinda«. Byłem tam reżyserem”. Następnie przysłał mi scenariusz, z którego wynikało, że proponuje mi rolę przeżywającego kryzys twórcy pisarza, typową postać grywaną w filmach Allena przez niego samego. Odpowiedziałem mu, że nie popełnię tego błędu co wszyscy, nie będę starał się grać Allena, i zasugerowałem, żeby mój bohater jeździł na wózku. Woody odpowiedział e-mailem: „Nie”.

We wchodzącym na nasze ekrany filmie Brolin nie jeździ więc na wózku, ale w niczym też nie przypomina sparaliżowanego społecznie neurotyka, w którego Allen wcielał się w swoich produkcjach. Jednak czy nie taki był zamysł reżysera? Żeby obsadzić w roli ekranowego alter ego swoje absolutne przeciwieństwo, chłopaka z rancza, który poznając Barbrę Streisand, miał zapytać: „Więc jesteś piosenkarką, tak?”. Powierzyć zagranie postaci intelektualisty uciekającego przed konfrontacją z podkulonym ogonem awanturnikowi, który dwa lata wcześniej wylądował za kratkami za rozpętanie bójkę w barze. Gwiazdorowi, który po tym, jak prasę zalały plotki o jego niewierności małżeńskiej, zapowiedział całowanie każdego paparazzi, „żeby kłamstwa na jego temat były przynajmniej zabawne”.

Żart Allena zadziałał. Brolin nawet w roli pisarza nieudacznika pozostał macho, który po amerykańsku, po trupach walczy o sukces. Zrobić z Allena twardziela to nie lada osiągnięcie. Ale przychodzi mi do głowy jeszcze większe – zrobić mięczaka z Brolina. I na film z taką właśnie rolą przystojnego bruneta teraz czekam.

REKLAMA



## Krystian Zimerman w hołdzie Grażynie Bacewicz



„To muzyka niezwykle wyrafinowana, o wyjątkowej sile i uroku. Zimerman po raz kolejny zachwyca słuchaczy swoją niezrównaną maestrią”

(Die Presse)





# Nie ma już filmów zagranicznych

Tam, gdzie gwiazdy nie świecą za mocno, kino mówi samo za siebie. To siła i... największa słabość festiwalu filmowego w Berlinie

MAŁGORZATA SADOWSKA

W poprzednim numerze „Przekroju” zamieściliśmy gorącą relację z Berlinale (a nawet sparzyliśmy się na tytule nowego filmu Madonny, który brzmi „W.E.”, a nie „Filth and Wisdom”). Teraz przyszła pora, by na festiwal spojrzeć chłodnym okiem. A widzi ono jasno, że gdyby w konkursie zabrakło uhonorowanego Złotym Niedźwiedziem i nagrodami aktorskimi „Nader and Simin. A Separation” Asghara Farhadiego, jury Berlinale nie miałoby w czym wybierać. Z drobnymi wyjątkami („The Turin Horse” Béli Tarra) najbardziej prestiżowa sekcja festiwalu prezentowała w tym roku wyjątkowo niski poziom. Można było odnieść wrażenie, że trafiają tu – jak do urzędu – sprawy, a nie artystyczne wypowiedzi, że decydują „punkty za pochodzenie” (gros tytułów miało niemieckich producentów), a festiwal wpada w pułapkę własnych ograniczeń i ambicji.

## Sztuka uprawiania polityki

Jedną z nich jest ambicja wskazywania nowych kierunków, odkrywania i promowania kinematografii z obrzeży, spoza filmowego



Liam Neeson, Diane Kruger i Bruno Ganz, czyli międzynarodówka aktorska w eurothrillerze „Unknown”

centrum. Oglądaliśmy więc produkcje węgierskie, koreańskie, tureckie, rosyjskie oraz kino latynoskie, które w ostatnich latach często zdobywało w Berlinie nagrody (jak znane w Polsce „Gorzkie mleko”, „Gigante” czy „Cień”). I tylko żadnych odkryć, niestety.

W przeciwieństwie do nastawionego na największe nazwiska i najgorętsze tytuły Cannes czy nawet do Wenecji, której od kilku lat brakuje pomysłu na siebie, ale nie brakuje wciąż znaczących artystów (o Złotego Lwa walczyli tu przed kilkoma miesiącami między innymi Julian Schnabel, Sofia Coppola, Darren Aronofsky, Tom Tykwer), Berlin ostentacyjnie odwraca się od gwiazd. Choć czasem wydaje się,



„A Mysterious World”, przykład filmu zrobionego w manierze „młodego latynoskiego kina”

że to one odwracają się od Berlinale, że coraz trudniej tu o ważne, wyczekiwane premie, które w dodatku idealnie wpisywałyby się w charakter festiwalu.

Owszem, tym razem się udało. Po raz pierwszy od lat „zaangażowanie” nie było pustym hasłem imprezy, która uwrażliwieniem na kwestie polityczne i społeczne chce się wyróżniać spośród innych wielkich filmowych festiwali. Głośny protest przeciwko uwięzieniu reżysera Jafara Panahiego i Złoty Niedźwiedź dla „Nader and Simin. A Separation” Asghara Farhadiego sprawiły, że Ber-



„The Prize” – nagroda za zdjęcia do tej międzynarodowej produkcji trafiła w ręce Polaka

linale autentycznie żyło sprawami Iranu, natomiast jego organizatorzy mogli mieć poczucie wpływania na rzeczywistość. Po czerwonym dywanie sztuka szła pod rękę z polityką, a krytycy bili im brawo.

Jednak nawet tak rozczarowujący festiwal jest doskonałą okazją do przyjrzenia się temu, co dzieje się we współczesnym kinie – wszak zgromadził blisko 400 tytułów. A niektóre zjawiska widać tym wyraźniej, że nie przyćmiewają ich gwiazdy. W Berlinie kino mówi samo za siebie. Tym razem o tym, że mijają czasy narodowych kinematografii.

## Polacy w Argentynie, Amerykanie w Albanii

Czy nagroda dla Wojciecha Staronia za zdjęcia do „The Prize” to sukces polskiej kinematografii? Międzynarodowego teamu, który stworzył film? A może po prostu samego artysty? Tegoroczne Berlinale prowokowało do takich pytań. Szczególnie po tym, jak śmiech i oklaski powitały „The Prize” Pauli Markovitch, jeszcze zanim na ekranie zobaczyliśmy pierwszą scenę. A to za sprawą chyba najdłuższej

w dziejach kina listy producentów, i to z kilku stron świata (to koprodukcja meksykańsko-francusko-polsko-niemiecka), na której końcu znalazło się jeszcze miejsce na specjalne podziękowania dla... Ewy Szykulskiej, stojącej za tym skromnym, niskobudżetowym filmem.

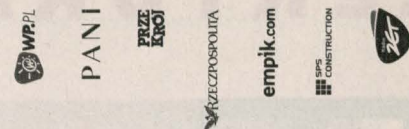
„The Prize” to skrajny przykład zjawiska, które podczas ostatniego festiwalu w Berlinie ujawniło się z całą mocą – schyłku czegoś, co zwykliśmy nazywać kinem narodowym. Filmów produkowanych lokalnie, z lokalną ekipą, poruszających lokalne tematy, które czasem okazywały się na tyle nośne, że wykraczały poza granice państwa. Dziś już nie ma granic, jak w „The Forgiveness of Blood”, amerykańskiej produkcji wyreżyserowanej przez Amerykanina Joshuę Marstona, lecz nakręconej w Albanii, w tamtym języku i opowiadającej o tamtejszej tradycji rodowej zemsty.

„A Mysterious World” (Argentyna/Niemcy/Urugwaj) to jeszcze inny ciekawy przypadek „odnarodowienia”. Rodrigo Moreno doprowadził bowiem do absurdu minimalistyczny styl, który stał się znakiem rozpoznawczym młodego latynoskiego kina, zamieniając go w podróbkę, produkt festiwalowy zaprogramowany na przypodobanie się międzynarodowej publice pod każdą szerokością geograficzną.

„Eurothrillerem” ochrzczony został pokazywany poza konkursem francusko-niemiecko-brytyjski „Unknown” wyreżyserowany przez hiszpańskiego reżysera (Jaume Collet-Serra) z Bruno Ganzem (Szwajcar), Liamem Neesonem (Irlandczyk pracujący w Hollywood) i Diane Kruger w jednej z głównych ról. Kruger grająca Bośniaczkę pochodzi z Niemiec, mieszka między Paryżem a Londynem i płynnie mówi w trzech językach. W rozmowie z „Przekrojem” podkreślała, że przede wszystkim czuje się „aktorką europejską”, a jej ambicją jest łączenie udziału w hollywoodzkiej produkcji z pracą na planie europejskich (czytaj: bardziej ambitnych) filmów.

Liam Neeson zagrał w „Unknown” (wkrótce w polskich kinach) amerykańskiego naukowca, który przybywa do Berlina na konferencję. Tam najpierw traci dokumenty, a później ulega wypadkowi, by na koniec sobie i innym rozpaczliwie udowodniać swoją tożsamość. Kim jestem? – to kluczowe pytanie, które nurtuje głównego bohatera. I współczesne kino, które wyraźnie szuka nowej tożsamości. ●

REKLAMA



## SEWERYN KRAJEWSKI JAK TAM JEST

NOWA PŁYTA JUŻ W SPRZEDAŻY





# Tryton

## w miejsce kwinty



ZE STANISŁAWEM  
RADWANEM  
ROZMAWIA  
TADEUSZ NYCZEK

### Stanisław Radwan

72 lata, urodzony w beskidzkiej wiosce Bieńkówka, do dziś mieszkający w Krakowie pianista i kompozytor teatralno-filmowy, okazjonalnie aktor i reżyser. Wychowanek pianistyczny Ludwika Stefańskiego i kompozytorski Krzysztofa Pendereckiego. Od lat 60. współpracował z Piwnicą pod Baranami, komponując piosenki, potem z kilkoma teatrami, przede wszystkim krakowskim Starym (którego był dyrektorem przez dekadę) i warszawskim Narodowym. Skomponował muzykę do ponad stu przedstawień teatralnych i dwudziestu kilku filmów. W całości napisał dwa spektakle muzyczne – „Operę mleczaną” do rysunków Andrzeja Mleczki (2003) i „Rzeczpospolitą Babińską” do staropolskich tekstów sarmackich (2009), oba wystawiano w Starym Teatrze. Autor trzech płyt: „Herbert – Przesłanie” (1999, do tekstów Zbigniewa Herberta), „Opera mleczana” (2003), „Coś, co zginęło, szuka tu imienia. Muzyka dla Teatru Jerzego Grzegorzewskiego” (2011). Utwory z tej ostatniej usłyszymy podczas specjalnego koncertu w Teatrze Narodowym w Warszawie 8 kwietnia.

Z niezatrważania życia innym, wycieczek rowerem po Polsce, mordy Samsona, ucieczki od awangardy i z absolutnego braku ambicji zwierza się Tadeuszowi Nyczkowi **STANISŁAW RADWAN**, kompozytor tyleż niezwykły, co nietypowy

*W pewnej znanej i bardzo gwarnej kawiarni krakowskiej, w części wydzielonej dla palaczy siedzimy sobie: Stanisław Radwan, wspaniały kompozytor i nie mniej wspaniała osobistość, oraz ja, wasz specjalny wysłannik. Jeszcze przed zamówieniem kawy kompozytor prosi kelnera o paczkę papierosów.*

**Ciągłe tak okropnie ćmiesz?**

– Niestety. Całe szczęście, że trzyma się nas osobno. Po co niepalący mają wdychać nasze dymy.

**Znaczy, jesteś za ustawą antypalacką?**

– Jestem. Moja wolność obowiązuje do momentu, dopóki nie ogranicza wolności innych.

**A mnie, kiedy widzę przytupujących na mrozie palaczy wygonionych z miejsc publicznych, jest głupio, bo czuję się, jakbym to ja ich wygonił.**

**Jako niepalący wyznają ze smutkiem, że daliśmy wam popalić o jeden most za daleko. A co Dorota na to? (Dorota Segda, świetna aktorka, niepaląca, żona Stanisława Radwana).**

– W domu palę tylko u siebie na górze. A w ogóle to nienawidzę papierosowego dymu. W życiu nie zapaliłem we własnym samochodzie.

**Bywasz czasem w Bieńkówce?**

– Przejazdem. Już nie ma tej organistówki, gdzie grał mój tata. Był wtedy zwyczaj, że po ukończeniu przedwojennego konserwatorium praktykowało się w małych parafiach.

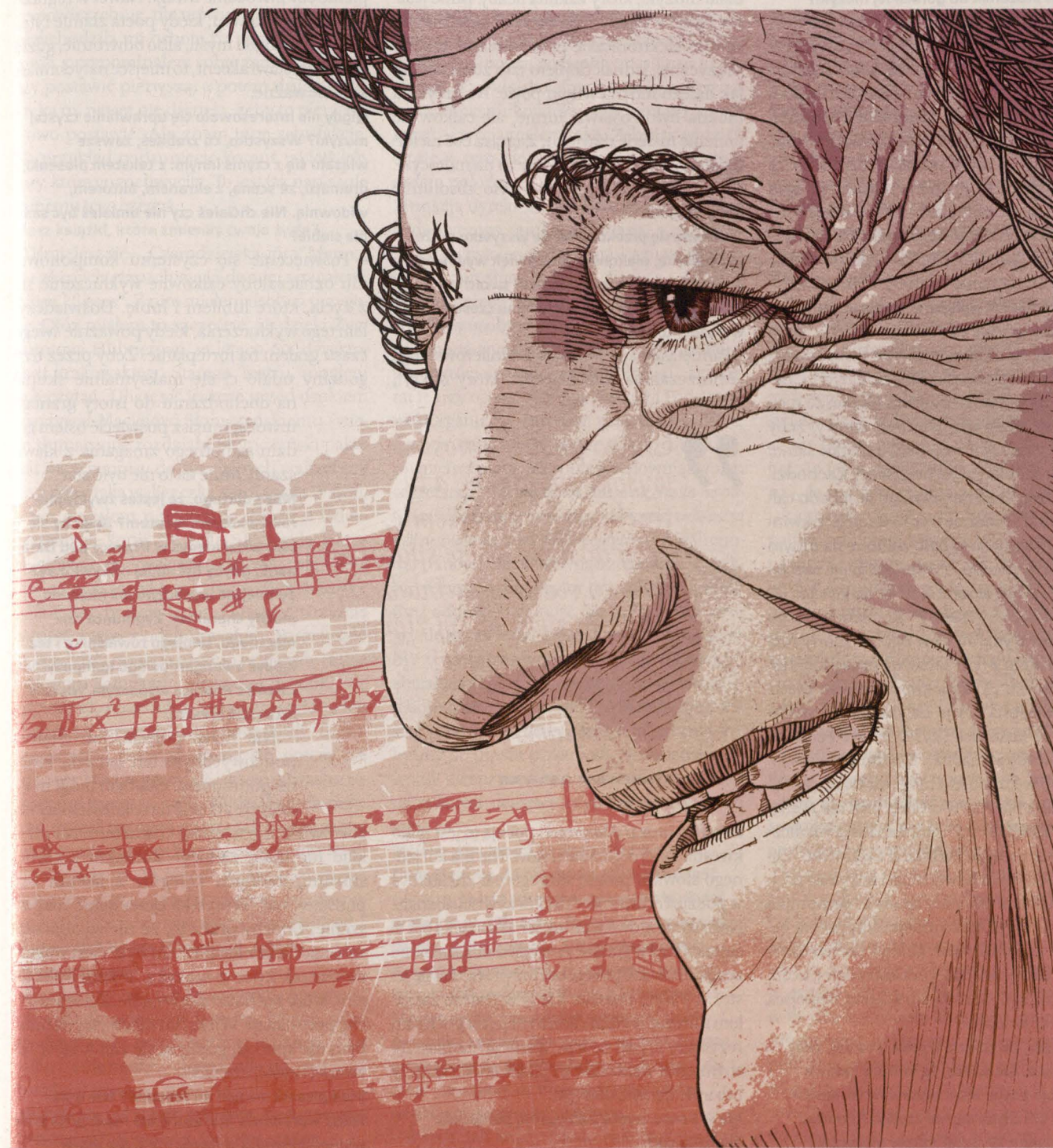
I w takiej właśnie podgórskiej wiosce z dobrymi tradycjami, pobożnej, odbywał pierwsze dwa lata praktyki mój ojciec. Tam się urodziłem, mój nieżyjący już starszy brat (znakomity dyrygent Józef Radwan, zmarł w 2009 roku) i ja. Z tym że kiedy miałem cztery miesiące, przenieśliśmy się do Makowa Podhalańskiego. Tam była już duża parafia.

**Jesteś prawdziwy góral żywiecki? Skądinąd kiedy się patrzy na ciebie, trudno mieć wątpliwości. Góral jak z obrazka.**

– Niektórzy nawet mówią, że nie tyle żywiecki, ile synajski. Z takim nosem, czemu nie? Ale prawdę mówiąc, żaden ze mnie góral. Nic mi z tego nie zostało poza przypadkiem urodzenia. Nie znosiłem na przykład Makowa Podhalańskiego. Bardzo brzydkie miasteczko. Tam nawet góry potrafili zepsuć.

**Żadnej tęsknoty za rodzinną ziemią?**

– Żadnej. Chociaż dzięki pewnej metodzie wychowawczej ojca poznałem te ziemie doskonale, zresztą nie tylko te. Ojciec miał taką zasadę, że w szkole podstawowej trzeba było zwiedzić swój powiat – albo swoje województwo – na piechotę. W liceum było zadanie, żeby poznać Polskę. A na Europę, mówił do nas, przyjdzie czas, jak pójdziecie na studia. Braliśmy rowery – tata miał wszystko precyzyjnie zaplanowane, mapy i tak dalej →



” Nie wyobrażam sobie życia bez książek. To jest równie mocne jak życie z muzyką. Jestem dyletantem, który kocha sztukę w ogóle. Życie też trochę przy okazji. Ilu niezwykłych ludzi bym nie spotkał, gdybym się zamknął w czystej muzyce!

STANISŁAW RADWAN



→ - i ruszaliśmy w podróż. W ten sposób zwiedziliśmy całą Polskę.

**Masz jakiś stosunek do góralskiej muzyki?**

- To nie jest takie proste. Zależy, kto gra i jak, i w jakiej sprawie. Miałem kiedyś fantastyczną przygodę z kapelą góralską dzięki Andrzejowi Wajdzie, z którym robiliśmy film na podstawie „Wesela”. Wajda miał genialny pomysł, żeby kapela weselna grała naprawdę po swojemu. I głośno, co miało taki skutek, że aktorzy musieli ją po prostu przekrzykiwać. Nie było tam miejsca na żadne aktorskie subtelności, interpretacje i podgrywania, tylko trzeba było wrzeszczeć. Żadnymi środkami aktorskimi takiego autentyzmu nie udało się uzyskać.

**Ale bezpośrednich wpływów góralszczyzny w twojej muzyce nie słychać.**

- Było coś, co mnie absolutnie fascynowało - specyfika zaśpiewu pieśni kościelnych. Chodziliśmy na przykład z ojcem na piesze pielgrzymki do Kalwarii. Nie było mowy, żeby „Gorzkie żale” śpiewać wszędzie tak samo. Każda wieś robiła to trochę inaczej. Zachodziłem w głowę, skąd na przykład w sposób całkiem naturalny brał się tryton w miejsce kwinty. Dzisiaj wiem, że to było robione na innym wdechu i wydechu. (Wasz specjalny wysłannik pojmuje w tym momencie, że nic nie pojmuje, ale dzielnie słucha). A „Psalmy” Kochanowskiego w wiejskim wydaniu to w ogóle osobny rozdział... Miałem z tym zabawną przygodę. Jest tam taki tekst: „Tyś niezwycięzonego plastr miodu Samsona”. A ja usłyszałem w wydaniu bab w kościele: „Tyś niezwycięzonego plask w mordę Samsona”. Dla mnie to było logiczne, bo w końcu kto mógł niezwycięzonego Samsona plasnąć w mordę, jeśli nie Matka Boska? Pamiętam też inną zabawną okoliczność, już z rodzaju ludzkich zachowań. Ojciec był świetnym fotografem i żeby nas podszkolić, dał nam taki stary aparat z harmonijką na 16 czy 12 zdjęć, tylko musieliśmy potem nauczyć się je wywoływać. Kiedyś podszedłem z nim do jakiejś wiejskiej orkiestry dętej, a oni, kiedy zobaczyli, że robię im zdjęcie, z miejsca zaczęli grać fortissimo.

**No co chcesz, do zdjęcia trzeba głośniejsze, żeby lepiej wyszło. Ale widzę, że kultura ludowa to nie twoja pasja, więc zostawmy to. Awangardzista też chyba się nie czujesz? Chociaż jako absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie pojechałeś do Paryża, mekki awangardy, studiować muzykę elektroniczną.**

- Wtedy rzeczywiście byłem nią zafascynowany, potem mi przeszło. Z jakąś dziwną niechęcią omijałem w tamtych czasach na przykład Beethovena. Bardzo wciągnęła mnie dodekafonia. Ale jeśli kompozytora nie wciągnie

w pewnej chwili matematyka, to zamknie sobie na całe życie nie tylko Bacha, ale cały ten dział muzyki, który zaklina liczby. Mnie jeszcze przed wyjazdem do Paryża bardzo interesowało elektroniczne przetwarzanie materii muzycznej, jednak dopiero tam zobaczyłem, jak daleko można w tym pójść. Na przykład można było zostawić formę, ale całkowicie zmienić materię dźwięku. Zagrasz coś na fortepianie, a potem przerobisz to na motocykl. To się wtedy tam rodziło i było absolutnie fascynujące.

**To wtedy się przekonałeś, że wszystko może być muzyką, niekoniecznie dźwięk wydawany przez instrument muzyczny? W twoich kompozycjach do teatru czy filmu czasem wyraźnie to słychać.**

- Pamiętasz pana Jourdain z Molierowskiego „Mieszczanina szlachciem”, który odkrył,

**„Często pomysł unosi się wysoko na niebie, a tu trzeba zejść pod ziemię, żeby doskrobać się sposobów na jego realizację. I dobrze, gdy uda się spod tej ziemi wyjść przynajmniej na powierzchnię, nie mówiąc o lataniu**

STANISŁAW RADWAN

że mówi prozą? Ale proza i poezja to jest tylko kwestia innej organizacji słów. Nie ma ani jednego słowa w prozie, którego nie znalazłbyś w poezji, i odwrotnie. To są oczywiście banały. Normalnie mówisz prozą, ale zmienacka coś ci się tak ułoży w głowie, że wypowiadasz zdanie zorganizowane poetycko i już przez chwilę jesteś w innym świecie. Kiedy w teatrze zacząłem mieszać te różne konwencje, na początku reżyserzy kręcili nosem, dlaczego zamiast instrumentu wstawiam tu jakieś stuki, szmery lub inne dziwne dźwięki.

**Ale w końcu czystą awangardę porzuciłeś.**

**Znudziła cię?**

- Znudziła. Zawsze przychodzi taki moment, że zbyt ściśle reguły zamiast coś otwierać, zaczynają cię ograniczać. Poza tym reguła nie może zastępować emocji. Przecież to się czuje, fraza leci lub nie. A reguła mówi: stop, w tym miejscu musisz równo zmultiplikować. Reguły, wiadomo, są zbawienne, ale bez

ich łamanie nie ma prawdziwej sztuki. To właśnie zaburzenia wywołują emocje, nagłe skupienie czy zwrócenie uwagi. Nawet w regularnym 13-zgłoskowcu, kiedy poeta złamie rytm dla pewnej logiki myśli, albo odwrotnie, gdzieś indziej postawi akcent, to miejsce natychmiast staje się ważne.

**Nigdy nie interesowało cię uprawianie czystej muzyki? Wszystko, co zrobiłeś, zawsze wiązało się z czymś innym: z tekstem piosenki, dramatu, ze sceną, z ekranem, aktorem, widownią. Nie chciałeś czy nie umiałeś być sam dla siebie?**

- Poświęcenie się czystemu komponowaniu oznaczałoby całkowite wykluczenie się z życia, które lubiłem i lubię. Doświadczyłem tego wykluczenia, kiedy poważnie swego czasu grałem na fortepianie. Żeby przez trzy godziny udało ci się maksymalnie skupić na dochodzeniu do istoty granego utworu, musisz poświęcić osiem godzin samotnego zmagania z klawiszami. Mnie na to nie było stać.

**Może dlatego, że jesteś zwyczajnie rozrywkowym facetem? Skąd by się taki wziął kiedyś w Piwnicy pod Baranami, gdyby był mniej rozrywkowy? To miejsce wypaczyło już niejednego mocny charakter. Zygmunta Konięckiego, twojego rówieśnika i też kiedyś awangardowego kompozytora, również Piwnica wypaczyła. Na całe szczęście zresztą.**

- Nie masz pojęcia, jak chętnie podchwyciłbym ten haczyk, który mi podrzucasz. Gdybym mógł moje decyzje zrzucić na cokolwiek czy kogośkolwiek. Ale to cechy charakteru. Na przykład nie mam żadnego kontaktu z rówieśnikami, żadnych kolegów z liceum czy podstawówki. Wszystko przez moje rozproszenie. Choćby przez to, że nie wyobrażam sobie życia bez książek. To było i jest równie mocne jak życie z muzyką. Jestem dyletanem, który kocha sztukę w ogóle. Życie też trochę przy okazji. Wiesz, ilu niezwykłych ludzi bym nie spotkał, gdybym się zamknął w tak zwanej czystej muzyce?

**Stąd pisanie muzyki do tekstów? Nie uprawiasz wprawdzie literatury, ale masz ją na stałe komponowaną w swoje nuty. Ale może jednak pokątnie coś tam skrobiesz? Jakieś wierszyki choćby?**

- Ten gust dobry miałem, żeby nie pisać, jak powiedział poeta ustami swojej bohaterki. A idąc dalej za Rachelą - niestety, za dobrze wiem, jaka jest droga od zamysłu do wykonania. Często pomysł unosi się wysoko na nie-

bie, a tu trzeba zejść pod ziemię, żeby doskrobać się sposobów na jego realizację. I dobrze, gdy uda się spod tej ziemi wyjść przynajmniej na powierzchnię, nie mówiąc o lataniu. Kiedy przychodziła mi ochota na zapisanie jakiejś myśli, przypominałem sobie zaraz, co to znaczy postawić pierwszą, a potem drugą nutę. Tręka mi nawet nie drgnęła, żeby to pierwsze słowo postawić. Ale znam inne satysfakcje. Na przykład podsuniecie komuś jakiejś lektury, która go zachwyciła. To jest jak napisanie samemu tego czegoś.

**Masz książki, które zmieniły twoje życie?**

- Uśmiejesz się - „Czarodziejska góra” Manna. Na różnych etapach życia do niej wracałem. Albo „Ulisses”. Z nim miałem osobną przygodę. Otóż miałem to szczęście, że dzięki Zygmuntovi Hübnerowi, w latach 60. dyrektora krakowskiego Starego Teatru, mogłem przeczytać „Ulissesa” jeszcze przed drukiem - wrywał Maciejowi Słomczyńskiemu świeżo tłumaczone rozdziały. Słomczyński pakował maszynopisy do specjalnych walizeczek i ja sobie z taką walizeczką szedłem na Wawel, i tam czytałem przeważnie którąś z ledwo czytelnych kopii. To była niezwykła lektura, głównie pod względem kompozycji - geografia i matematyka w jednym. Pamiętam, że późniejsze przeczytanie „Ulissesa” wreszcie w całości wręcz odchorowałem. Poszczególne rozdziały czytane osobno wydawały mi się pięknymi kamykami nieznannej mozaiki, ale dopiero złożenie ich w całość odkryło pełen kunszt tej niesamowitej kompozycji. To doświadczenie przydawało mi się potem nie tylko we własnej pracy, ale i w rozmowach z reżyserami podczas prób. Widziałem na przykład, że jeśli ten czy ów aktor tak a tak to zagra, nie zostanie dobrym kamykiem w kompozycji przedstawienia. To nie tak, że wiedziałem, jak powinien zagrać. Ja tylko czułem, jak nie powinien. Joyce mnie tego wyczulenia nauczył.

**Słuchali cię? Wajda i Swinarski, Jarocki i Grzegorzewski?**

- Powiedzmy tak: nie lekceważyli. A czasem, gdy przedstawienie w tym czy innym miejscu się chwiało, prosili o rzucenie okiem. „Coś tu chyba nie bardzo - powiadali - no, jak ty byś to widział ze swojej strony?”

**Zmieniło się coś w tych relacjach, kiedy zostałeś dyrektorem? W końcu 10 lat byłeś szefem Starego Teatru.**

- Zmieniło. Nawet miałem obowiązek pilnowania tych prac. To było zresztą dziwne 10-lecie. 1980-1990, czyli cały stan wojenny i dalej, aż do upadku komuny. Trzeba było prowadzić specjalne gry zewnętrzne o teatr, repertuar, ludzi i tak dalej. Takie, powiedzmy,

historie z teczkami ubeckimi. Co jakiś czas wzywał mnie na Mogiłską (Przy ulicy Mogiłskiej mieściła się podówczas Komenda MO w Krakowie) pułkownik SB i pokazywał mi różne teuczki leżące na jego biurku dotyczące Starego Teatru. Za którymś razem pozwoliłem sobie na krwawy żart. Na widok kolejnych teczek powiedziałem: „Panie pułkowniku, niech mi je pan pokaze” - i wyciągnąłem rękę. Żebyś ty widział, co się w tym momencie z nim stało! Całym ciałem położył się na tych teczkach! I mówi: „Funkcja dyrektora jest bardzo ważna z wychowawczego punktu widzenia, a pan co?”. „Jak to - spytałem zdumiony - ja mam wychowywać dorosłych ludzi?”. „A jak to się dzieje, że z ostatniego wyjazdu Starego Teatru na Zachód trzy osoby nie wróciły? Praca ideologiczna u pana wyraźnie nie idzie”. „No to niech pan zwróci uwagę - mówię do niego - że akurat te trzy osoby były sekretarzami Podstawowej Organizacji Partyjnej przy teatrze. Więc z pretensjami niech pan się uda do osób z kierownictwa partii, jak sobie wychowują swoich sekretarzy”. (Tu następuje stosowna chwila na odśmianie, bo rzecz jest śmieszna niebywale, zwłaszcza jeśli się znało ówczesne realia polityczne). A jeśli chodzi o moje relacje wewnątrzteatralne: dyrektor-reżyser-kompozytor to już była zupełnie inna odpowiedzialność. Bo nie tylko za sztukę, ale też za ludzi oraz instytucję. Musiałem być o wiele ostrożniejszy. Przede wszystkim chciałem zapewnić wewnętrzną wolność ludziom robiącym spektakl. Ale musiałem też stać po stronie interesu teatru jako firmy, żebyśmy po prostu przetrwali. No i nieustanne wojny z cenzurą. Czasem bywało ponad sto tak zwanych delegacji, czyli ingerencji w jeden tekst.

**Mówisz o wolności, że jest najważniejsza.**

**Domyślałem się, że nie chodzi tylko o wolność twórczą, ta jest sprawą dosyć osobistą. Byłeś w Paryżu w 1967 roku. To było wciąż centrum świata, a przynajmniej Europy. Pojechałeś na staż kompozytorski u czolowego twórcy muzyki elektronicznej Pierre'a Schaeffera. Mogłeś zostać i ze swoimi talentami zrobić światową karierę. Dlaczego wróciłeś? Zawsze przypomina mi się Wyspiański w Paryżu. Też mógł nie wracać do Krakowa, mógł zostać wielkim malarzem europejskim.**

- Byłem, jak każdy Polak, zakochany w kulturze francuskiej. Nie miałem kłopotu z językiem. Ale znowu ta moja natura... Była tam taka wielka sala, słynna 105, na tysiąc osób, urządzona pod kątem koncertów muzyki elektronicznej. Wszędzie wisiły głośniki. Rozejrzałem się i pomyślałem: już nigdy nie będzie kontaktu z żywym człowiekiem, żywym wyko-

nawcą. O muzyce mieliby decydować mikrofoniarze? Poza tym nie mogłem się dogadać z rówieśnikami. Tam wtedy panował kult Związku Radzieckiego, w ogóle komunizmu. A u nas podwójne życie, nieustanne poczucie fałszu politycznego... Dla nich to były puste pojęcia. Antysemityzm? Oczywiście wyłącznie polski. Kiedy powyciągałem z biblioteki różne francuskie dokumenty z zeznaniami policjantów denuncjujących Żydów, machali ręką, mówiąc: ach, to wyjątki. A w ogóle co się tak czepiacie Sowietów, oni mają rację.

**No więc wróciłeś. Nie żałujesz? Mogłeś pracować z Bergmanem, Patrice'em Chéreau, Peterem Brookiem.**

- Nie żałuję. Przecież pracowałem ze Swinarskim, Wajdą, Grzegorzewskim. Chyba nie byli gorsi od tamtych? I poczytuję sobie za niewyobrażalne szczęście, że tych ludzi znałem, spotykałem i że jakoś wchodziłem w ich światy. Dary, które z tych spotkań wynikały, są nie do przecenienia. A poza tym... Skoro już się tak spowiadam z własnego charakteru... Ja nie mam cienia ambicji. Coś takiego jak kariera w ogóle mnie nie obchodzi. Osoby najbliższe już mi nieraz z tego powodu kołki na głowie ciosały, no ale nie da rady. Tak jest i już. Komuś to, co robię, może się nie podobać, ktoś może to uważać za nieważne. Nigdy mnie to nie dotykało. Jestem natomiast bardzo wyczulony na to, że jeżeli komuś się podobało i to do mnie dochodzi, mam olbrzymią satysfakcję. I to mi najzupełniej wystarcza.

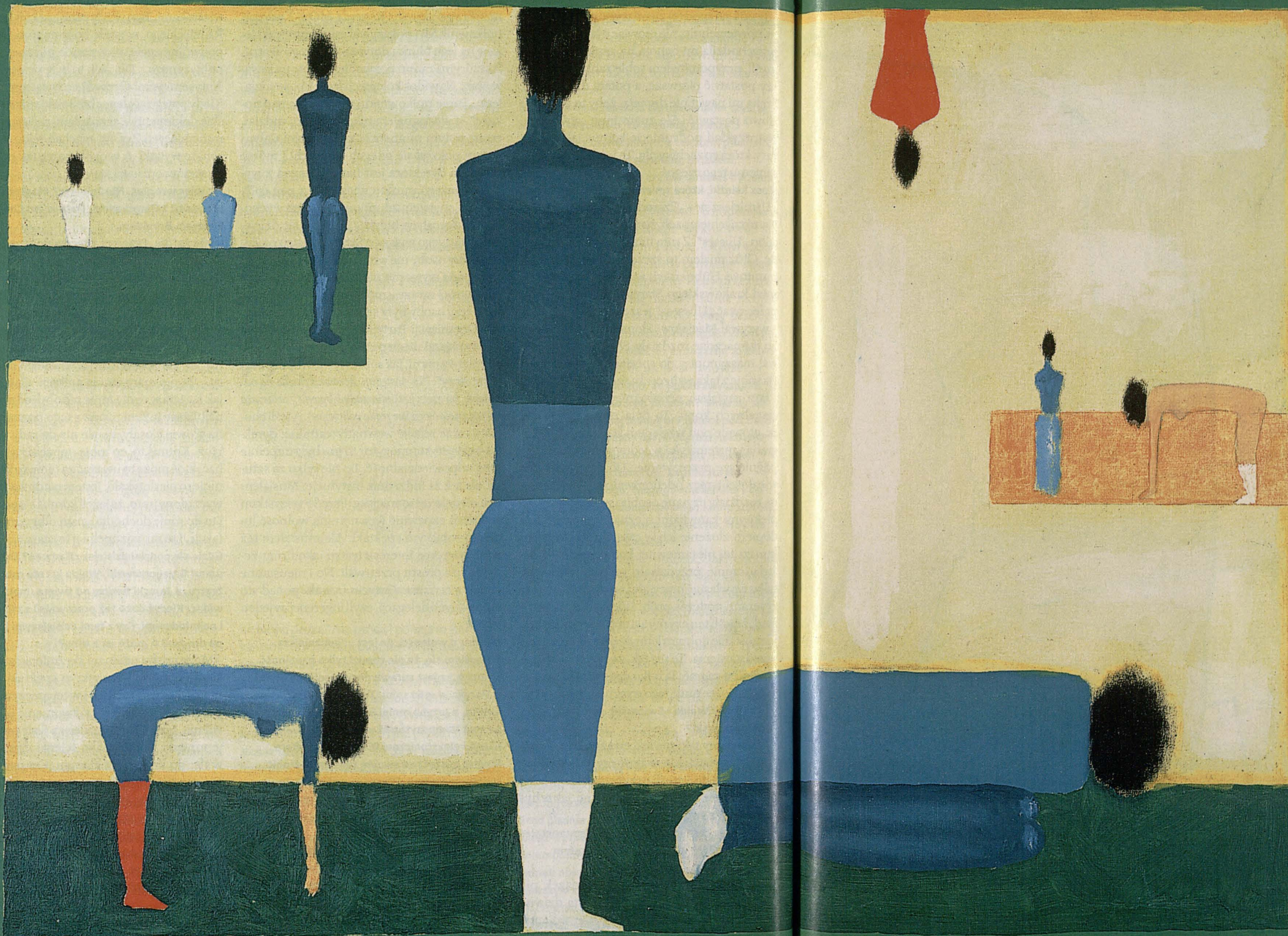
**Gdzie się podział dzisiejszy Radwan? Odkąd umarł Grzegorzewski, Wajda już nie robi teatru, a Jarocki tworzy od święta, mało go widać. Kiedyś dużo też pracowałeś z młodymi i najmłodszymi. Czy z tymi dzisiejszymi już ci nie po drodze? A może im z tobą?**

- Może gdyby udało mi się zmienić moje myślenie o funkcji muzyki w spektaklu, pewnie zyskałbym miejsce i w tej rzeczywistości. Mnie interesowało współtworzenie przedstawienia, tymczasem dzisiejszy teatr potrzebuje muzyki głównie jako ścieżki dźwiękowej w tle, do kreowania klimatu. Czasem to jest prosty cytat muzyczny, czasem zwykły wypełniacz, szum pochodzący z jakiejś rzeczywistości, jakby zza okna teatru. A ja wcale nie uważam, że teatr jest po to, żeby prznosić do niego to, co za oknem. Swinarski w „Dziadach” otworzył okno na plac Szczepański po to, żeby teatr wypuścić.



Chilli ZET.  
Radio w pogoni  
za kulturą  
[www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)





Każdy jego obraz był ikoną, bez względu na to, czy malował Boga, pejzaż, czy abstrakcję. „Wspomnienie z Egiptu”, 1991 rok

# NO WO SIEL

Nie wiadomo, czy **JERZY NOWOSIELSKI** jest w prawdziwym niebie. Ale w niebie malarzy i filozofów na pewno

**TADEUSZ NYCZEK**

**Z**marł Nowosielski. Nikt go inaczej nie nazywał. Była w tym miękkim słowie jakaś dodatkowa czułość. Nie wiem, czy miał kiedykolwiek jakichkolwiek wrogów. Boży człowiek? Kto wie, czy i tak o nim nie myślano, nie tylko jako o malarzu. Zawsze wydawał się trochę z innego świata.

Był może ostatnim prawdziwym malarzem religijnym naszej epoki szarpanej zwątpieniami, konfliktami wiar, wojnami rozumu z metafizyką, epoki pustoszejących kościołów i fałszywej pobożności hochsztaplerów. Był filozofem wiary jak Józef Tischner, Leszek Kołakowski i na swój sposób Czesław Miłosz. I też jak oni - nieortodoksyjnym. Lubił mawiać o sobie, że więcej w nim z apostaty niż apostoła.

W życiu za ważne miał trzy sprawy: Boga, malarstwo i kobiety. I bodaj każdą kochał jednakowo. Także dlatego, że wszystkie były w nim przemieszane i czasem trudno było je odróżnić. Bóg umożliwił mu nie tylko przebywanie w wyższym świecie metafizyki, ale też ustawił mu malarstwo wertykalnie: →



→ zawsze w górę, w stronę nieba. Mówi się dużo – bo to jego znak firmowy – o ikonach Nowosielskiego. Ale wszystkie obrazy Nowosielskiego były ikonami, także nagie kobiety. A nawet ta mała górską kolejką wąskotorową malowaną przezeń wielokrotnie w dawnych i zwłaszcza ostatnich latach, kiedy jeszcze pamiętał, do czego służą pędzel i płótno.

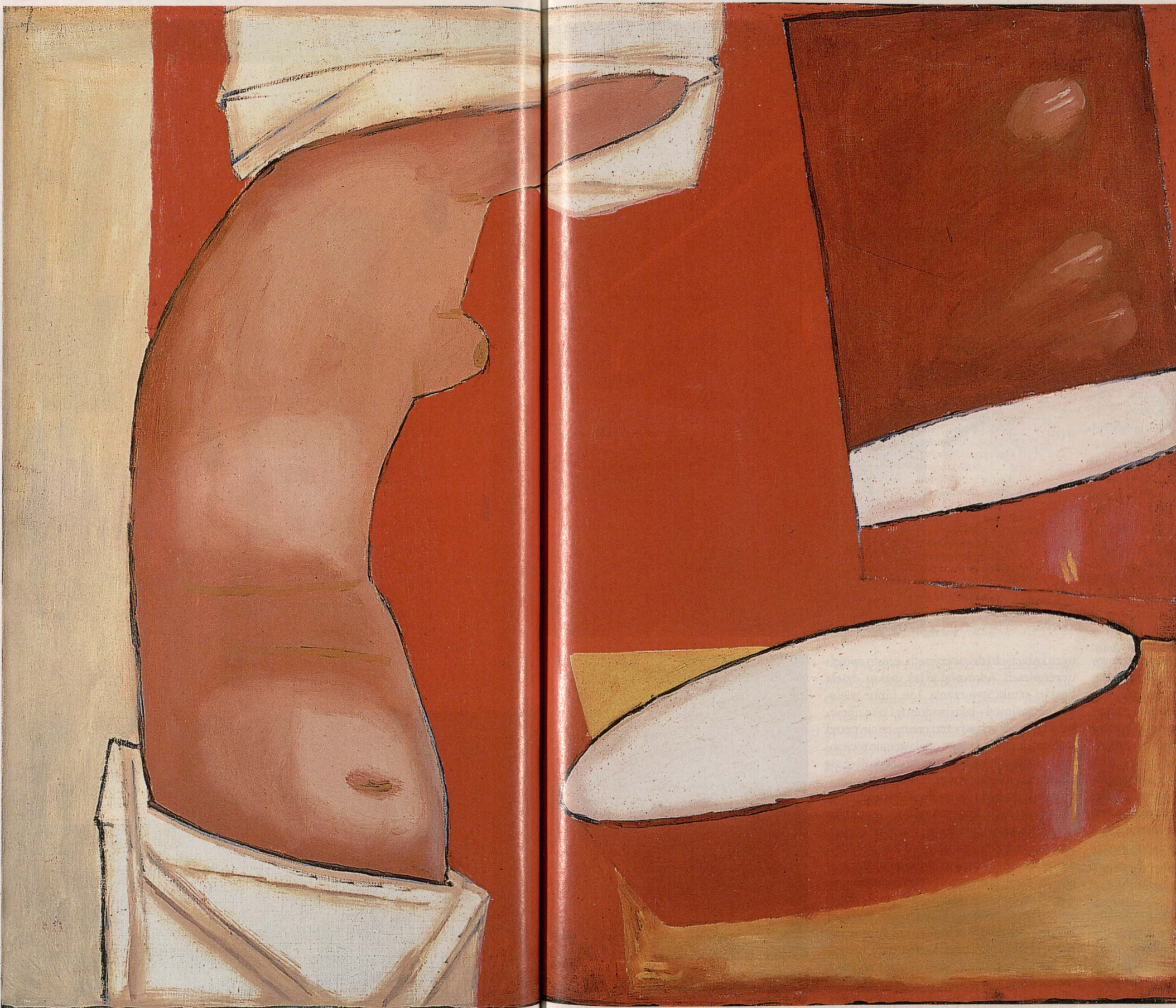
### Obrazy pod szafą

Malarstwo towarzyszyło mu zawsze. Nawet wtedy, kiedy tracił wiarę w Boga, co mu się zdarzyło w młodości, potem odeszło. Malował na wszystkim. Na płótnie, deskach, płytach pilśniowych, tekturkach, papierze, płótnach naklejonych na deskę, na ścianach kościołów i cerkwi. W niewielkim krakowskim domku z ogródkiem nad rzeczką, trochę z boku od centrum miasta, gdzie mieszkał z żoną o mądrym imieniu Zofia, obmalował meble – szafy i szafki, deski kuchenne, skrzynie na pościel, ławy, półki i półeczki. Obmalował nie tak, jak się maluje przedmioty codziennego użytku, jednokolorowo. Pomalował je we własne obrazy, dzięki czemu stały się swoistymi dziełami sztuki, choć używało się ich bez żadnego specjalnego poszanowania, zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem.

Malował tyle, że nie pamiętał, co namalował. Któregoś dnia odwiedziłem państwa Nowosielskich. Pani Zosia robiła porządki pod szafą, gdzie od lat nikt nie zaglądał. Chwilę przed moim przyjściem wymiotła dwa brudne i zakurzone kawałki płyty pilśniowej. Po przetarciu szmatką okazało się, że coś jest na nich namalowane. – Chce pan? – spytała z powątpiewaniem. – Jasne! – omal nie krzyknąłem ze strachu, żeby się nie rozmyśliła. Po oczyszczeniu okazało się, że na jednym kawałku była przepiękna martwa natura z rondelkiem, łyżką i dzbankiem, drugi zaś okazał się męskim portretem w czerwieni. Oba z lat 50., kiedy Nowosielscy mieszkali jakiś czas w Łodzi, a pan Jerzy wykładał w tamtejszej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Nikt nie pamiętał, jakim cudem znalazły się pod szafą.

Obrazy, obrazki i rysunki bywały nie tylko przedmiotami artystycznymi malowanymi *con amore*, a gdzieś tam w dalekim zamysle przeznaczonymi do kontemplacji na ścianie muzeum, galerii, świątyni bądź prywatnego mieszkania. Służyły też bardziej przyziemnym celom. Powiedzmy: wymianie na walutę z góry przeznaczoną na zakup butelki ze stosownym płynem wysokoprocentowym. Te prace profesor Nowosielski wykonywał w tajemnicy, wcześniej rano w swojej pracowni na akademii albo na zapleczu →

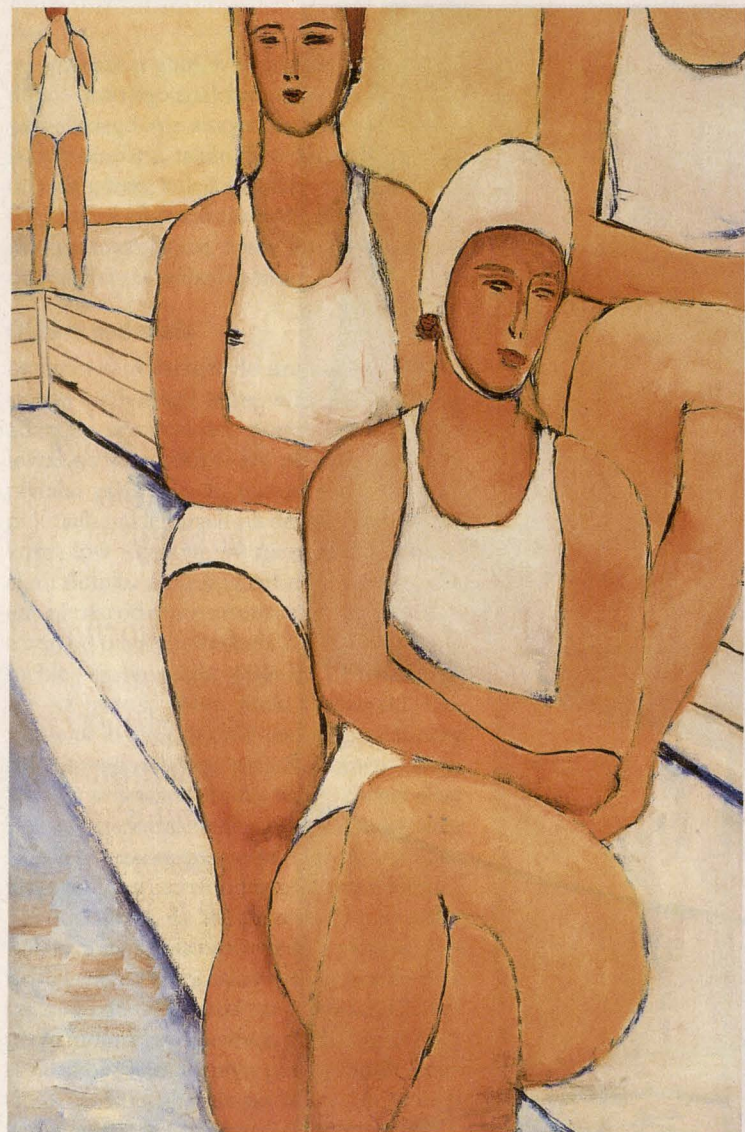
for. Dzięki uprzejmości Fundacji Nowosielskich



*W życiu za ważne miał trzy sprawy: Boga, malarstwo i kobiety. I bodaj każdą kochał jednakowo. Wszystkie trzy były w nim przemieszane i czasem trudno było je odróżnić*

Kobiety Nowosielskiego są nagie, spokojne i piękne, uchwycone w zwyczajnym, codziennym geście. O swoich aktach mówił „figuracja erotyczna”. „Toaleta”, 1959 rok





FOT. East News



FOT. East News



FOT. Wojciech Kryński/Forum

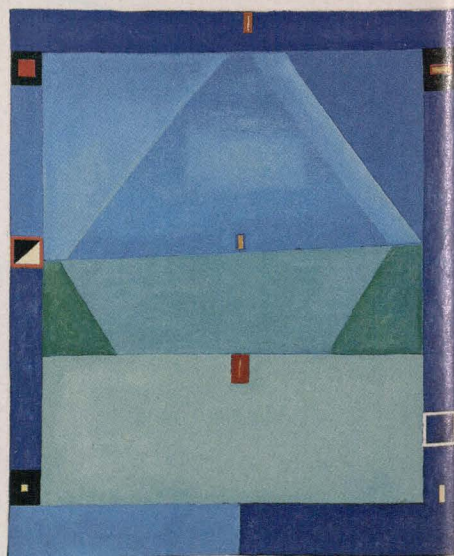
→ zaprzyjaźnionej galerii. Z prostego powodu – nie mogła ich zobaczyć pani Zosia, zdecydowanie tępiąca tego rodzaju przejawy inicjatywy twórczej męża. Cierpiało bowiem nie tylko zdrowie artysty, ale też inwentaryzacja męzkich dzieł sztuki pilnie przez nią prowadzona, bo obrazki znikły bezpowrotnie, jako że ich nowi właściciele, wtajemniczeni w proceder, ukrywali je przed oczami świata. Myślę, że teraz, kiedy ani pana Jerzego już nie ma, ani pani Zosi, zmarłej osiem lat temu wiernej żony i strażniczki Dzieła, niejedna z tych pokątnych prac wypłynęła na światło dzienne.

**Łamanie kołem**

A kobiety? Profesor miał wielkie i pojemne serce. Oczywiście na pierwszym miejscu dla żony, która dawno temu poświęciła dla męża i domu własną sztukę, a również była doskonałą malarką. Otóż było w Krakowie tajemnicą poliszynela, że kochał się i podkochiwał w in-

nych kobietach i dziewczynach, często swoich uczennicach. Adorował je jak piękne dzieła boskiej sztuki Stworzenia. I te, i inne wielokrotnie malował – jako madonny i jako mieszkanki rozmaitych wnętrz: czeszące się przed lustrem, leżące na plaży, opalające się w ciemnych okularach na statku, gimnastykujące się albo tylko wpatrzone w przestrzeń.

Osobną i dziwną przygodą w jego życiu była seria wczesnych, z początku lat 50., rysunków przedstawiających kobiety związane, wieszane, łamane kołem, mówiąc krótko – dosyć sadystycznie torturowane. Tylko najbliżsi przyjaciele, dobrze artystę znający, odważali się więcej mówić czy pisać o tym niezwykłym epizodzie. Echa wojny? Osobistych przeżyć? Skrywanych emocji seksualnych? W wysokiej i jasnej sztuce Nowosielskiego to były nieliczne ciemne strony świadczące o odmiennych doznaniach, wstydlivych i bolesnych. Przy okazji jedyny epizod, w którym diabeł wygry-



FOT. Dzieki uprzejmości Fundacji Nowosielskich

Nie ukrywał fascynacji abstrakcją, w swoim wydaniu nazywał ją liryczną. „Abstrakcja”, 1968 rok

wał z Bogiem. W diabła bowiem Nowosielski wierzył nawet chyba bardziej niż w Boga. Bóg jest nieuchwytny i trudny do pojęcia, mawiał. A diabeł panoszy się wszędzie.

Miał niebywale wprost wycucie koloru. – To się ma albo nie ma – mawiał jego przyjaciel od czasów studiów w wojennej Kunstgewerbeschule, znakomity rysownik i malarz Adam Hoffmann. – A Jurek miał na kolor słuch absolutny.

**Warhol szkodnik**

Podobnie na formę, kompozycję, rysunek, właściwie na wszystko. Czy malował portret, akt, pejzaż, scenę na basenie, ulicę w mieście albo wewnątrz którejs ze świątyń, nie zdarzało się prawie, żeby się pomylił. W dodatku wszystko przeniknięte jest nieuchwytną, ale wyraźnie odczuwalną aurą rozświetlającą obrazy od środka. Nawet te abstrakcyjne, z pozoru tylko dekoracyjne.

W opinii wielu uchodzi za największego polskiego malarza drugiej połowy XX wieku. O jego sztuce zapisano tak wiele stron, że dodawanie w tym miejscu paru frazesów nie ma sensu. Wydano kilka albumów i katalogów, niebawem ukaże się biografia Nowosielskiego pióra Krystyny Czerni. Kto ciekaw, co sam Nowosiel sądził o świecie niebiańskim i diabelskim, o religii (zwłaszcza prawosławnej), malarstwie, dziejach ducha i przygodach ludzkości z największymi herezjami, niech sięgnie po którąś z książek jego autorstwa: „Wokół ikony”, „Mój Chrystus”, „Inność prawosławia”. Dwie pierwsze to wspaniałe, pełne niebywalej erudycji rozmowy Zbigniewa Podgórcza z artystą prowadzone w latach 70. i 80.

W Polsce czczony i adorowany, za granicą, o dziwo, żadnej kariery nie zrobił. Nie to, że nie próbował. Rzecz bodaj w tym, że na tle tendencji artystycznych XX wieku zawsze wyda-

wał się nie z tej epoki. Jeśli za symbol sztuki naszych czasów uznać, dajmy na to, działalność (nie tylko samą twórczość) Andy’ego Warhola, Nowosielski zdaje się stać po radykalnie przeciwnej stronie. Skądinąd wiadomo, że Warhola nie znosił i uważał za szkodnika. Wzniosłość, piękno, harmonia, czystość i świętość to nie są tematy ani problemy specjalnie podniecające ludzi kręcących się po wielkim targowisku współczesnej sztuki.

A jednak patrzę na zamknięte już od kilkunastu lat dzieło Nowosielskiego – przewlekła choroba uniemożliwiła mu pracę – i myślę, że przecież zawarła się w nim cała esencja sztuki minionego wieku. I że ten jeden artysta właściwie starczyłby za całą opowieść o przemianach, ewolucjach i kontynuacjach dokonanych w tej zdumiewającej epoce, gdzie wszystko zostało zaprzeczone, ale nadal istnieje. Gdzie tyle razy ogłaszano śmierć sztuki, a ona na przekór teoriom bujnie się pleni ku zachwytowi jednych i rozpaczy drugich.

Wszystko jest w Nowosielskim. Tradycja i awangarda, mistycyzm i realizm, świętość i pogaństwo, ubóstwienie ciała i wcielenie ducha, okrucieństwo i humor, prostota i wyrafinowanie, dosłowność i metafora, wirtuozeria kreski i witalność barw. Jednego tylko rzeczywiście nie znajdziemy – destrukcji i autodestrukcji. Także umiłowania brzydoty. Nie ma też nihilizmu, wściekłości na świat ani ucieczek poza sztukę. Tu Nowosielski był i jest nieubłagany. Być może już tylko on wierzył w sens starej nazwy szkoły, w której kilkadziesiąt lat był ulubionym wykładowcą co najmniej dwóch pokoleń artystów – Akademii Sztuk Pięknych.

Miał 88 lat.



MUZYKA

# Królowie zamętu

Zadziwiali swoją muzyką, a potem podejściem do rynku. Dziś Radiohead prowokują fanów

MARIUSZ HERMA



Płyta Radiohead brzmi, jakby nagrał ją sam Thom Yorke (pierwszy z lewej)

Najłatwiej Radiohead chwalić za to, czego nie robią: nie potarzają się, nie komercjalizują, nie brną w puste eksperymenty, nie cytują nikogo i z nikim się nie ściągają. Nikomu też się nie podlizują. A im bardziej tego wszystkiego nie robią, tym lepiej się bawią.

Wydana zniecka w Internecie ósma płyta grupy brzmi tak, jakby nagrał ją Thom Yorke bez udziału reszty zespołu, na laptopie, niemal zupełnie bez gitary. „The King of Limbs” to w istocie zestaw zapętlonych sampli – najdłuższy trwa 16 sekund („Codex”), najkrótszy tylko 2 („Feral”) – z dogranymi wokalami. Generowana perkusja, generowany bas i aranżacje zmontowane są metodą „kopiuj, wklej”. Gdyby Yorke rapował, byłby to futurystyczny album hip-hopowy. Gdyby jego głos był o oktawę niższy, otrzymalibyśmy kolejną płytę Massive Attack. Gdyby na okładce podpisał się tylko wokalista, wszyscy wierzylibyśmy, że to następcą jego solowego debiutu „The Eraser”.

O istnieniu „The King of Limbs” dowiedzieliśmy się w walentynki, pięć dni przed premierą, którą następnie przyspieszono o dobę. Pierwsze recenzje albumu dostępnego wyłącznie w formie plików muzycznych – płyta CD pojawi się pod koniec marca, a piękne wydanie specjalne w maju – widziałem po dwóch kwadransach, mimo że wszystkie utwory trwają 37 minut. Potem sieciowa opinia publiczna miotała się między ekscyzją a oburzeniem. Jedni argumentowali, że krążek wymaga czasu (zgoda). Inni narzekali, że stan umyślny przed przestuchaniem płyty i po nim pozostaje bez zmian (zgoda). Niemal wszyscy też byli zgodni co do tego, że Radiohead świadomie nagrało al-

bum z założenia nieważny: nie zadziwia wizją muzyczną, nie zachwyca estetyką ani emocjami. I wydaje się niekompletny. Przygotowanie ośmiu utworów zajęło takimi zespołowi aż cztery lata? Dlaczego płytę zamyka utwór o tytule „Separator” zawierający zdanie: „Jeśli myślisz, że to koniec, to się mylisz”? Czymkolwiek jest „The King of Limbs”, to bardzo porządny album. A zarazem prawdopodobnie najgorszy, jaki jest w stanie nagrać ten znakomity zespół.



\*\*\*\* Radiohead „The King of Limbs”, XL

## Jak nóż w masło

Olaf Deriglasoff, odwieczny bohater drugiego planu, coraz pewniej czuje się w roli lidera

Niby kiedyś liderował alternatywnemu zespołowi Dzieci Kapitana Klossa, ale później był głównie basowym pistoletem do wynajęcia. U Kazika, w Aptece, Kurach, Püdel-sach... „Noże” są jego drugim autorskim materiałem.

Jak zapowiada tytuł, żartów nie ma. Deriglasoff z pomocą czterech kompanów nagrał album stricte rockowy, na którym słychać zarówno reminiscencje Trójmiejskiej Sceny Al-

ternatywniej, jak i rasowe riffowe granie nie tak odległe od Queens of the Stone Age. „Noże” nie stanowią jednak zlepkę gorzej lub lepiej wykonanych nawiązań. To w pełni świadoma, autorska wizja artystyczna, która ujmuje także sztubackim charakterem hedonistycznych wyznań. Nie brakuje absurdalnych zabaw słowem, chociaż dominują słodko-gorzkie historie rozliczeniowe. Co tu kryć, „Noże” toną w opa-

rach wódki, roi się w nich od łatwych dziewczyn, ale mam wrażenie, że Olaf ma do swoich knajpiano-hotelowych odysei zbawczy dystans. Jest jeszcze wartość dodana – z takim repertuarem na pewno nie grozi mu zaproszenie na sylwestra w Polsce jak dawnemu koledze z Püdel-sów i Homo Twist.

LUKASZ DUNAJ



\*\*\*\* Deriglasoff „Noże”, Laudanum Records

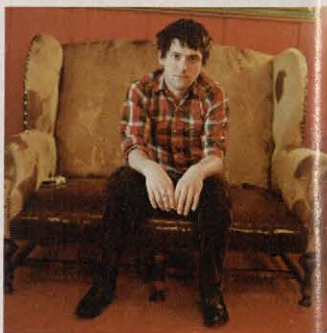
## Od geniusza do hipisa

To nie jest pożegnalna płyta Bright Eyes. Conor Oberst skończył się dawno temu.

Prawdopodobnie wtedy, kiedy zaczął reżyserować z całkowitą odpowiedzialnością za pisane przez siebie piosenki. Gdy zawiesił Bright Eyes, żeby pojechać do Meksyku i nagrać dwa albumy z Mystic Valley Band (pierwszy jeszcze w miarę własny, drugi już raczej kolegów z zespołu). Skończył się wtedy, gdy zamiast pokornie wrócić w macierzyste szeregi, wybrał ciepłą posadkę w alternatywnej supergrupie Monsters of Folk. „Cassadaga”, przedostatnia płyta Bright Eyes, też już była daleka od trzewiowej, neurotycznej estetyki wcześniejszych krążków zespołu – tych o frustracji, gorączce i paranoi. Poruszające, intymne piosenki, które zrobiły z Obersta najważniejszą postać indie folku, powoli wymieniały na eksperymenty z brzmieniem i natchnione teksty o duchowych poszukiwaniach.

Inspirowana spirytualistyczną wspólnotą z Florydy „Cassadaga” była jednak zupełnie niewinna w porównaniu z „The People’s Key” wypełnionym newage’owym bełkotem. Oberst z zapalem telewizyjnego kandydata bredził coś o harmonii z kosmosem i oświeceniu miłością. Wiem, że cudowni chłopcy też kiedyś dojrzewają, ale żeby od razu wyrastać na hipisa?! W dodatku zapomniał, jak pisze się piosenki, bo przywoiło się może że dwie, a kiedyś... na przywoiło sobie nie pozwalał. Koniec Bright Eyes był nieunikniony – „The People’s Key”, płyta zamykająca oficjalną dyskografię grupy, dobitnie to potwierdza.

ANGELIKA KUCIŃSKA



Conor Oberst oklapł ostatecznie



\*\* Bright Eyes „The People’s Key”, Saddle Creek

RECENZJE

FILM

# Pięści w kieszeni

Bokserki „Fighter” to triumf aktorskiego kunsztu Christiana Bale’a i doskonałego castingu

MICHAŁ OLESZCZYK

Jak na twórcę, który zaczął od bezczelnego arcydzieła o synu śpijącym z matką („Spanking the Monkey”, 1994), David O. Russell zaskakująco łatwo wskoczył w hollywoodzkie koleiny. „Fighter” jest klasycznym filmem bokserkim, w dodatku opartym na faktach i zwieńczonym krzepiącym przesłaniem. Z takiego kruszcu wykuwa się Oscary (film dostał aż siedem nominacji).

Przyrodni bracia z robotniczego Lowell Micky (Mark Wahlberg) i Dicky (Christian Bale) próbują szczęścia jako pięściarze. Dicky jest pierwszy, ale po sukcesach przychodzi narkomania i więzienie. Micky stara się nie powtórzyć jego losu, co jest to tyle



Bracia bokserzy – Mark Wahlberg i Christian Bale. Jeden lepszy od drugiego

trudne, że ich matka rządzi rodziną żelazną ręką i wyraźnie faworyzuje Dicky’ego.

Russell jest filmowym alchemikiem, dlatego oprócz przepisowych przyjemności gatunku „Fighter” dostarcza też spektakularnych bonusów. Ton jest zarazem realistyczny i ślapstic-

kowy, a całość ma posmak wyrotowych fars rodzinnych włoskiego reżysera Marca Bellocchia. Matkująca dziewięciorgu pociechom Alice, zagrana z maestrią przez Melissę Leo, to budząca respekt tleniona gorgona ze świtą w postaci siedmiu córek (konia z rżędem temu, kto w trakcie

seansu je od siebie odróżni!). Biedny Micky z trudem osiąga niezależność od rodziny, w czym pomaga mu rewelacyjna Amy Adams rzucająca tu „fuckami” równie sprawnie jak niegdyś niewinnymi zaklęciami w disnejowskiej „Zaczarowanej”.

Heroinista Dicky jest najcięższą kotwicą trzymającą Micky’ego w toksycznej (i ukochanej zarazem) rodzinie. Rola Bale’a jest triumfem kunsztu aktora i castingu. Dicky jest rozdraganą ruiną człowieka, ale przecież nie zawsze nią był. Wszyscy mamy w pamięci Bale’a jako małego chłopca z „Imperium słońca” (1986), okrutnie strauumatyzowanego podczas japońskiej inwazji na Szanghaj, a mimo to zachowującego niewinność.

Ćpun Dicky jest w „Fighterze” właśnie Spielbergowskim wiecznym chłopcem, tyle że w negatywnie – to Piotruś Pan ze strzykawką w przedramieniu i zrenicami jak dwie czarne dziury. Dzięki geniuszowi Bale’a z tych dziur sypią się iskry.

\*\*\*\*\*

„Fighter”, reż. David O. Russell, USA 2010, 115’, Monolith, premiera 4 marca

## Cierpienia młodego awatara

Debiut Jana Komasy przynosi kilka błyskotliwych scen, ale jako całość pozostawia niedosyt

Mogę pomóc państwu synowi, ale muszę coś o nim wiedzieć: jakie są jego zainteresowania, co czyta, czy ma dziewczynę albo chłopaka...” – mówi psychiatra (grany przez Piotra Głowackiego) do zdesperowanych rodziców nastoletniego Dominika (Jakub Gierszał). Rodzice (Agata Kulesza, Krzysztof Pieczyński) bezrad-

nie kręcą głowami. Szkopeł w tym, że i widzowie znajdują się w podobnej sytuacji – również niewiele o bohaterze wiedzą.

Początek filmu Jana Komasy jest obiecujący. Pokazuje Dominika jako młodzieńca tuż przed maturą, noszącego się w manierze emo, aroganckiego i znerwicowanego jednocześnie. Chłopak wywodzi się z bogatej rodziny (tatuś pracuje u ministra), do szkoły wozi go szofer, w domu sprząta po nim ukraińska gospośnia. Jednak brak trosk materialnych nie eliminuje problemów emocjonalnych. Upokorzenie, które spotka Dominika ze strony rówieśników, sprawi, że zamknie się on w pokoju i całkowicie pograży w wirtualnej rzeczywistości tytułowej sali samobójców.

Od połowy film ewidentnie traci impet i staje się dydaktyczną opowieścią o tym, jak to rodzice nie rozumieją swoich dzieci. Sam Dominik zaś zmienia się w bezpłciowego, enigmatycznego awatara. Komasa nie drąży kwestii odmierności seksualnej ani – zasygnalizowanych w pierwszej

połowie – tematów nieprzystosowania, homofobii, hipokryzji. Skupia się na grafice komputerowej (chwilami dość kiczowatej) oraz dowodzeniu w kółko, że światy dorosłych i nastolatków są niekompatybilne.

„Sala samobójców” potwierdza to, co skonstatowałem już przy okazji nowelki Komasy w filmie „Oda do radości”. Młody reżyser umie pracować z aktorami, potrafi błyskotliwie rozegrać poszczególne fragmenty – weźmy choćby scenę zapasów, która ma szansę przejść do gejskiej klasyki kina. Szuka swojego stylu, sięga po muzykę poważną (Schubert, Gluck, Mozart), by zasugerować drugie dno opowieści. Tyle że brakuje w tym wszystkim właśnie niebanalnej myśli. Egzamin dojrzałości autorskiej Komasa wciąż jeszcze ma przed sobą.

\*\*\*

„Sala samobójców”, reż. Jan Komasa, Polska 2010, 110’, ITI Cinema, premiera 4 marca





# Dobry chłopiec w złych czasach

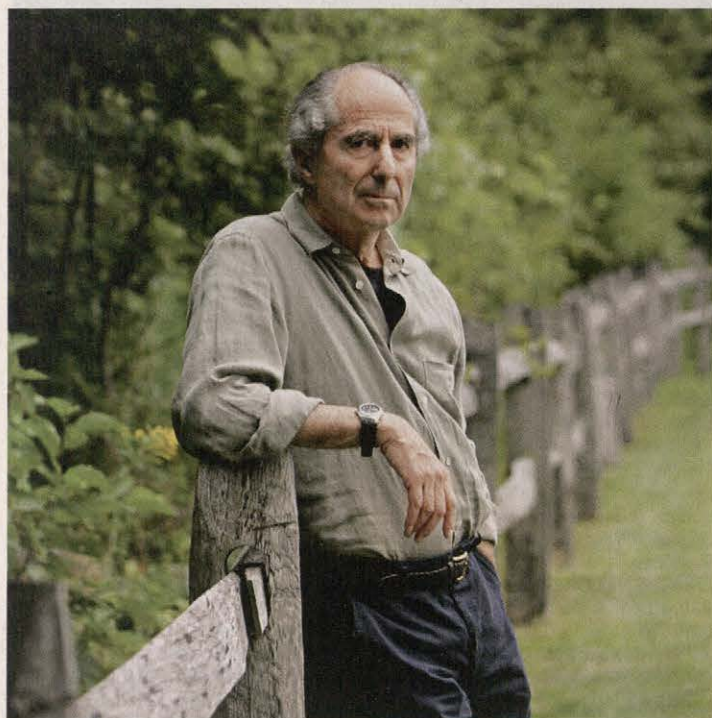
„Wzburzenie” Philipa Rotha to cwana opowieść o losie, który się plecie, jak chce

MARCIN SENDECKI

Złe czasy polegają głównie na tym, że trwa wojna w Korei. A że najlepszym dla zdrowego amerykańskiego młodzieńca sposobem, by się wyreklamować od poboru, jest nauka w college’u, straszność czasów polega także na tym, że wiele uczelni wciąż trzyma się idiotycznych zasad, za których złamanie można wylecieć ze studiów – i trafić na front.

Zdaje się jednak, że Marcus Messner, jedyny syn koszernego rzeźnika z Newark w New Jersey (jak wiadomo, jest to rodzinne miasto Philipa Rotha), nie ma się czego obawiać. Marcus to chłopiec normalny, niewinny i moralnie czysty; duma rodziców, wzorowy uczeń i syn, który od dzieciństwa ofiarnie pomaga ojcu w sklepie. (Tu się zresztą od razu pojawia ważna, w całej powieści na różne sposoby ogrywana opozycja między czystością bohatera a krwawymi kulisami rzeźni i sklepu mięsnego, dodatkowo skomplikowana przez ich koszerność, a więc swego rodzaju „czystość” uboju i obchodzenia się z pokarmem). W każdym razie młody Messner jest pierwszym z rodziny, który ma szansę zdobyć wykształcenie.

Zaczyna studia w Newark i świetnie mu idzie, lecz – tu zaczynają się perypetie – wkrótce pragnie wyrwać się z rodzinnego miasta i domu ze względu na obłądną nadopiekuńczość ojca, który tak bardzo lęka się, by synowi nic złego się nie przytrafiło, że kompletnie zatruwa mu życie. Marcus wybiera mały, na swoje nieszczęście dość konserwatywny, odległy od domu college w Winesburgu w Ohio, gdzie chce mieć święty spokój i same piątki. Ciekaw jest też innego, „nieżydowskiego” świata. (I tu znów trzeba zrobić dygresję,



Teraz czekamy na najnowszego Rotha: powieści „Nemesis” i „The Humbling”

bo wydane w 1919 roku „Miasteczko Winesburg” Sherwooda Andersona – w oryginale „Winesburg, Ohio” – to jedna z założycielskich książek nowoczesnej amerykańskiej literatury). Aluzja jest oczywista, tym bardziej że Roth gospodę, w której Marcus dorabia jako kelner, nazywa New Willard House, a George Willard jest główną postacią cyklu opowiadań Andersona.

Jak się dokładnie Winesburg Andersona ma do Winesburga Rotha (a ma się z pewnością), trzeba by zresztą szczegółowo zbadać, biorąc pod uwagę i galerię postaci, i obcość żydowskiego bohatera Rotha w miasteczku hen na amerykańskim Midwescie. Może najbardziej wymowne (i typowe dla strategii, którą Roth demonstruje w całej książce) jest domyślne zderzenie Willarda z Messnerem. Willard, także obiecujący młodzieniec, w finale wyjeżdża, by spróbować sił w wielkim świecie, a Winesburg rychno staje się „tylko tłem, na którym zacznie malować swoje marzenia wiek męski”. Dla Messnera natomiast – warto docenić tę ironię – to właśnie Winesburg okazuje się wielkim światem i sceną wy-

padków, które zdecydują o jego życiu (i śmierci).

Nie ma sensu streszczać tych wypadków. W książce nie tkwi jakiś niesłychany suspens, bo historia szybko okazuje się, przynajmniej w ogólnych zarysach, dość przewidywalna. Żal jednak zdradzać detale, bo mogą wtedy przeoczyć Państwo ładną narracyjną sztukę – w ważnych momentach Roth kilkakrotnie mówi, że coś się stało, ale odracza sprecyzowanie, co właściwie. Lepiej też samemu, bez uprzedzenia, obserwować, jak się od pierwszej do ostatniej strony domyka i ząbca mechanizm tej powieści – precyzyjny, starannie wykoncypowany, a zarazem, by tak rzec, niweczący i podający w wątpliwość sam siebie. Nie jest to bowiem wbrew pozorom książka o broniącym własnych przekonań nonkonformiście zniszczonym przez konserwatywny system – bo żeby powiedzieć coś istotnie zajmującego na ten temat, trzeba by więcej rozmachu oraz pełniej zbudowanego bohatera, a to Rothowi widać nie było w głowie.

Nie jest to też przypowieść o pechu lub o tym, że – zacytujmy ostat-

nie zdanie opowieści – „nasze najbardziej przypadkowe, komiczne nieraz wybory pociągają za sobą nieproporcjonalnie poważne skutki”, bo z tego banału nie płynie żadna racja ani nauka, a sam Roth śmieje się z niego, parę stron wcześniej podając go w tonacji buffo: „Tak, tak, gdyby nie to i gdyby nie owo, wszyscy bylibyśmy dzisiaj razem, wiecznie żywi, i świat toczyłby się jak po masle”. Nie jest to jednak także, jak uznała recenzentka „New York Timesa” Michiko Kakutani, ponury żart, którego nie starcza na pełnowymiarową powieść. Owszem, można się zgodzić, że to, jak Roth obchodzi się z kilkoma podstawowymi motywami, jest nieco mechaniczne. Z drugiej wszakże strony czyż to nie radość patrzeć, jak się buduje napięcie między wspomnianą wyżej „czystością” Marcusa a spermą, wymiocinami i krwią, które znaczą zwroty akcji aż do makabrycznej kody. Jak inteligentnie powracają i przekształcają się motywy baseballa, chińskiego hymnu, z którego pochodzi tytułowe słowo „wzburzenie”, a nawet przedzięk we włosach wybranki Marcusa.

Wreszcie jak ładnie Roth myli tropy – w końcu bohatera gubi nie to, co wydaje się poważne, lecz, zdawałoby się, bzdura. I na koniec, jak sztańsko bawi się autor ową „wiernością własnym przekonaniom”: poczynając od wysoce ironicznej konstrukcji narratora po naukę, którą logicznie rzecz biorąc, należałoby wyciągnąć z historii Marcusa: apoteozy całkowitego konformizmu, który i tak nie daje żadnych gwarancji uniknięcia fatum. Oraz szyderstwa, bo Marcus, mimowolny „męczennik za niewiarę”, koniec końców przepada poniekąd w imię ateistycznych pism Bertranda Russella, a umieranie za Bertranda Russella zdaje się jednak odrobinnę pochopne.

„Wzburzenie” to popis literatury, która obiecuje iluzję jakiegokolwiek ładu w bezładnym świecie – i sama z siebie się śmieje, nad sobą płacze i wykrzywia się w szelmowskim grymasie. W końcu cóż i nam innego zostaje.



Philip Roth „Wzburzenie”, przeł. Jolanta Kozak, Czytelnik, Warszawa 2011, s. 200, 35 zł

# Nieco zwariowani nauczyciele

Czasami hermetyczna, niejasna, ale pasjonująca opowieść o tajemnej historii polskiej awangardy

STACH SZABLŃSKI

Śłodki Warpechowski. Bajeczny Konieczny. Boski Bodzianowski. Niebiański Uklański. Takie graffiti widnieje na drzwiach garażu, w którym na Greenpoincie ma swoją pracownię Piotr Uklański. Napis wykonali na prośbę artysty nowojorscy streetarterzy. Teraz jego replika zdobędzie Muzeum Sztuki, wprowadzając w wystawę „Warpechowski, Konieczny, Bodzianowski, Uklański”.

## Sofa zamiast sztalug

Co łączy tych czterech dżentelmenów? Historia zaczyna się na przełomie lat 80. i 90. Upada komunizm, w tym zamieszaniu Marek Konieczny, rocznik 1942, performer, ekscentryk, obejmuje Gościńną Pracownię na warszawskiej ASP. W mniej burzliwych okolicznościach raczej by mu takiego stanowiska nie zaproponowano – on zaś, człowiek z krytycznym stosunkiem do instytucji, prawdopodobnie takiej propozycji by nie przyjął. W magicznym roku 1989 wszystkim jednak jest możliwe i autor filozofii artystycznej znanej pod kryptonimem Think Crazy rozpoczyna działalność dydaktyczną.

Jak to wyglądało, widzimy na filmie jednego z uczniów. Na dzień dobry Konieczny zapowiedział, że „tutaj malować się nie będzie”, i kazał sprowadzić do pracowni sofę, aby móc prowadzić dyskusje o sztuce w stosownych warunkach. Na tle ówczesnej akademii, brodatej, odzianej w czarne swetry i siemiennej, wydał się przybyszem z innego świata. W filmie oglądamy Koniecznego, jak ubrany w elegancki garnitur rozpięta na sofie, rozprawia, popala dobre cygaro i rozlewa markowe alkohole. Studenci wpatrują się w niego jak zahipnotyzowani. Wśród nich byli Cezary Bodzianowski i Piotr Uklański.



Drzwi nowojorskiej pracowni Piotra Uklańskiego, replikę w Muzeum Sztuki wykonali łódzcy graffitiarze

Konieczny spełnił najgorsze przeczenia niechętniej mu kadry ASP obawiającej się, że ekstrawagancki profesor będzie raczej deprawował studentów, niż ich edukował. I rzeczywiście, zachęcał nie tyle do pracy, ile do szaleństw, absurdalnych gestów, podążania za irracjonalnym impulsem. Jeżeli sztuka miała dla niego istnieć, to tylko jako dziedzina bez reguł, idealnie bezinteresowna, niezależna. Nauki te zapadały w serce Bodzianowskiemu i Uklańskiemu.

W tym samym czasie młodzi artyści poznali innego klasyka lat 70., Zbigniewa Warpechowskiego, performer, rocznik 1938. „Konieczny i Warpechowski cenili się nawzajem – pisze Łukasz Ronduda, kurator wystawy w Łodzi. – Niemniej jednak się przekomarzali. Konieczny oskarżał Warpechowskiego o nadprodukcję, z kolei Warpechowski Koniecznego o lenistwo i wykonywanie małej liczby prac. Dandyzm Koniecznego drażnił twórcę Championa, którego surowość i minimalizm denerwowały twórcę koncepcji Think Crazy”.

Cezary Bodzianowski podsumował międzypokoleniową relację, lapidarnie nazywając Koniecznego i Warpechowskiego „ojcem i matką”. Niesforny profesor przetrwał na akademii rok. Odchodząc, poradził swoim uczniom, by czym prędzej

wyjechali za granicę, co też uczynili. Bodzianowski wyruszył do Antwerpii, a Uklański do Nowego Jorku. W przyszłości mieli zostać gwiazdami i przyćmić swoich mistrzów, jeżeli chodzi o międzynarodowy rozgłos. Związki nie zostały jednak zerwane.

## A Koniecznego brak

Jaki jednak z tego wszystkiego płynie morał? Albo inaczej: jaka wychodzi z tego wystawa? Cóż, to pokaz hermetyczny, dla wtajemniczonych, ale dlaczego właściwie nie zostać jednym z nich? Pomaga w tym książka Łukasza Rondudy „Polska sztuka lat 70. Awangarda” i o nią tak naprawdę w tym projekcie chodzi. Autor uprawia w niej inną, alternatywną historię sztuki, w której kluczową rolę odgrywają nieformalne relacje i przyjaźnie, a osi narracji jest trwanie sięgającej korzeniami wczesnych lat 70. buntowniczej, antyinstytucjonalnej tradycji, którą kontynuują dziś najważniejsi polscy artyści.

Wystawę Rondudy można porównać do luźnej ekranizacji książki – i jak zwykle bywa, literacki oryginał okazuje się bardziej spełniony niż „film”. To wystawa, na której znajdziemy między innymi graffiti, gigantyczny trójwymiarowy napis „Azja”,

film o artyście siedzącym na dachu galerii, zapisy performansów rytuałów, jeden obraz grupy The Krasnals, wizerunek polskiego hydraulika i mnóstwo wycinków prasowych (w tym dwa z „Przekroju”). Najmniej jest sztuki. Przynajmniej jeżeli pojmujemy ją jako dzieła, obiekty fetysze. Nie może być inaczej. Opowieść o Koniecznym, Warpechowskim, Uklańskim i Bodzianowskim to w istocie historia artystów, którzy uprawiają sztukę po końcu sztuki, stając na krawędzi pustki. Każdy mierzy się z nią na swój sposób.

Esencjonalista Warpechowski rzuci na szalę samego siebie, własne ciało i działanie, krew, pot i łzy. Bodzianowski włącza w obszar sztuki całą codzienność, zmieniając w twórczość swoją egzystencję. Uklański zaś decyduje, że po śmierci sztuki wszystko już wolno, wszystkie chwytły są dozwolone – i stosuje je, jeżeli tylko służą sławie, rozgłosowi i wywołaniu emocji. Konieczny, najbardziej wyrotowy z kwartetu, też reaguje po swojemu – nie biorąc udziału w wystawie, która w znacznej mierze jest mu poświęcona.

„Bodzianowski/Konieczny/Uklański/Warpechowski”, Muzeum Sztuki w Łodzi, do 3 maja





ŁADNE RZECZY

# Muzyczne origami

**Uwaga!**  
Jeśli jesteś audiofilem, nawet nie zaczynaj lektury tego tekstu

OLA SALWA

**C**hoć na załączonych obrazkach widać głośniki, nie dowiesz się od nas niczego o ich podstawowej funkcji, czyli o tym, czy dobrze z nich słychać albo jak dobre mają basy. Nie trzeba być zresztą fachowcem, żeby domyślić się, jakiej jakości dźwięki popłyną z kartonowego głośnika, który jest tylko nieco większy od kubka na kawę. W przypadku tych przedmiotów bowiem ważna jest nie ich funkcja, lecz odbijające się w konstrukcji najważniejsze trendy projektowania - ekologia i DIY (Zrób to sam).

Obudowa jest zrobiona z recyklingowanego papieru, który w poprzednim życiu miał postać książki telefonicznej, magazynu lub kartonu na pizzę, czyli przedmiotów coraz mniej potrzebnych (dwa pierwsze przypadki) lub tylko szkodliwych dla zdrowej sylwetki (trzeci, chyba że pizza jest upieczona z mąki orkiszowej i obłożona warzywami z ekologicznych upraw). Przemielony karton nie wygląda specjalnie atrakcyjnie, jest szarobury, więc tylko tacy hardcore'owcy jak projektan-

Jaka piosenka brzmiałaby dobrze z głośników Paper Speaker (u góry i z prawej)? A choćby „Papierowy księżyc” Haliny Frąckowiak - też retro

ci Muji - japońska marka szczeni się przecież tym, że nie używa chemikaliów do wybielania papieru - zostawia naturalny kolor. Producenci głośników Origaudio umaili aż pięć modeli. Oczywiście kupujemy produkt w formie płaskiej i składamy jak origami, choć puła kształtów, jakie możemy stworzyć, jest ograniczona do jednego - kostki. Być może w przyszłości powstaną głośniki łabędzie, głośniki żaby lub takie w formie żurawia, zmory mojego dzieciństwa, które przypadło na przełom lat 80. i 90.

Innym budzącym wówczas emocje przedmiotem - obok książki do origami - był magne-



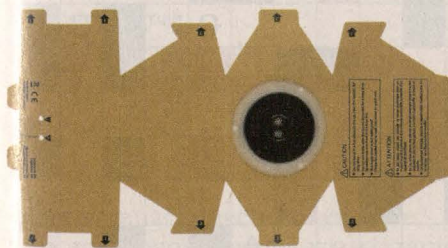
NO ŁADNIE!

## Owadzia przekąska

**G**oś na ząb dla wegetarian, którym znudziło się jedzenie kotletów z grochu albo z soi oraz każdego innego typu roślinnego białka. Wśród produktów firmy Edible znajdziecie takie rarytasy jak chrząszcze w curry, skorpiony oblane czekoladą lub szerszenie zatopione w miodzie.



tofon kasetowy, najlepiej dwukieszeniowy, bo wtedy mogliśmy na nim przegrywać kasetę przywożone z Zachodu przez rodziców i „wujków z RFN”, by tworzyć protoplastów playlisty z iPod'a. Na fali tęsknoty za przenośnym sprzętem grającym, który jest większy niż przepustka do pracy, powstał składany papierowy głośnik Paper Speaker (firma wyprodukowała też model stylizowany na adapter). Tyle tylko, że dziś, by go uruchomić, zamiast grubych baterii wyzebranych od rodziców potrzebujemy jedynie wejścia USB i kabla do komputera.



**Głośniki z papieru** - wersja przed złożeniem (Muji, u góry) i po złożeniu (Origaudio, z lewej). Są lekkie i przenośne, więc w każdej chwili możemy zacząć imprezę karnawałową

OBYCZAJÓWKA

# Jesteś tym, co czytasz...

...a nie tym, co jesz



MICHAŁ WITKOWSKI

**M**ój prywatny korespondent z Ukrainy donosi, że co roku jak i u nas wybucha tam epidemia grypy. I gdy cały świat rozprawiał o jej ptasiej odmianie, Europa Zachodnia masowo kupowała specjalny lek, a tam nikt leku nie kupował. No przecież pamiętacie tamtą epidemię ptasiej grypy na Ukrainie! Korespondent mieszkał wówczas w akademiku, a babuszka etażna chodziła po pokojach i rozdawała czosnek.

Europa Zachodnia wierzy w czosnek tylko wtedy, gdy da się go ładnie opakować, uprodukować i sprzedać w aptece. Sam czosnek jest nic niewart. Ale o co chodzi. Pokutują w nas jeszcze wciskane nam od dzieciństwa prawdy ludowe na temat zdrowotnych właściwości różnych rzeczy, na przykład jedzenia. Od dziecka moja babcia powtarzała mi, że jeśli ktoś jest chory, to musi jeść, a już osobiście rosół. „Najbardziej leczy smaczny, gorący rosół z kury z wbitym żółtkiem”. Zawsze gorący, nigdy nie rozumiałem, po co tego chorego jeszcze parzyć. „Gdyby wówczas napił się ciepłego rosółu, wszystko by się inaczej skończyło”. „Nel była umierająca, a Staś nie miał na pustyni chininy. I wtedy wpadł na pomysł, aby podać Nel gorący rosół. Naprawdę gorący, taki aż gęsty. I to ją, Michałku, ocaliło”. „Gerda zamarzyła, a Kaj rozgrzewał ją, wlewając jej do ust wrzący, życiodajny rosół z kury”. Brr! Wizja Stasia i Nel na pustyni (wielbłąd w tle) delektujących się gorącym rosółem powinna zainteresować firmę Knorr. Moja babcia umiałaby reklamować kostki rosółowe i gorące kubki instant. Rzecz jednak w tym, że do mnie wizja wlewania mi do gardła wrzątku w jakiegokolwiek postaci nigdy nie przemawiała.

Namnożyło się ostatnio poradników żywieniowych, z których najbardziej na życie moje i mojego brata wpłynął „Antyrak” Davida Schreibera. Cóż, kiedy i on opiera się na zasadzie: jesteś tym, co jesz. A uważam, że spośród wytworzonych przez ludzkość definicji człowieka ta jest najbardziej prostacka. Człowiek to to, co zjadł. Nic więcej. Oczywiście nikt szanujący się nie je już śmieci, ale od szanowania się do uznawania za sałatkę z lososiem i wodę mineralną droga daleka. Typowa dla nas, Słowian, potrzeba głębi i metafizyki tu się odzywa. Ze tylko dla Słowian, to wiem od pewnego profesora z Hagi, który rozmawiając ze mną kiedyś o literaturze polskiej znanej mu w przekładach, powiedział znamienne słowa: my tego nie znamy. Tych tęsknot, smutków, melancholii i metafizyki. My jesteśmy bardziej przy ziemi, na człowieka patrzymy fizycznie, jako na mięśnie, mózg i tak dalej. My te wasze melancholijne jesienie znamy tylko z waszej literatury... I wracając teraz do żarcia: hasło „Jesteś tym, co jesz” na sto tysięcy procent wymyśliły narody zachodnie, Holendrzy albo Amerykanie. Nie wzięto w nim pod uwagę Słowian. Pomijając Czechów, wszyscy oni poczują się oszukani. Na razie dają sobie wcisnąć tę tezę, chodzą na siłownię i aerobik, rzucają palenie i co tam jeszcze, ale do czasu. Niebawem zatęsknią za czymś jeszcze, za naddatkiem nie całkiem wyrażalnym. Z góry więc proponuję zmodyfikować tę definicję na potrzeby narodów słowiańskich: „Jesteś tym, co jesz + naddatek metafizyczny”. Wiem, że to brzmi brzydko, trochę jak „dodatek rodzinny”, ale niech będzie. A co to jest? Ano to, co różni mnie, Michała Witkowskiego, od obiadu, który mam w brzuchu. Jeśli nie widać różnicy, to nie zasługuję na naddatek.

Można by powiedzieć, że człowiek w ponad 70 procentach składa się z wody, coli, fanty czy co tam pije, ale pozostałe 25 procent jest nie do przecenienia. Stojąc w kolejce w Tesco, zaglądając innym w koszyki, widzimy, że w tym kraju są jeszcze ludzie, którzy z takich czy innych powodów jedzą shit. Ale to nieważne. Proponuję zupełnie nową definicję człowieka: „Jesteś tym, co czytasz”. Plus naddatek cielesny.

rys. Katarzyna Leszczyć-Suminska na podstawie zdjęcia Marcina Łobaczewskiego/Newspix.pl



ROMAN KURKIEWICZ

# Bronię w ciemno

LEWO MYŚLNIE

Bronię Ostrowskiego atakowanego za komiks, którego nie kupiłem, i Graczyka za książkę, której nie czytałem



Roman Graczyk napisał książkę opartą na zachowanych materiałach SB na temat prób spenetrowania redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Nie będę o samej książce pisał z jednego tylko powodu – jeszcze jej nie czytałem. Czytałem wywiad z autorem i miażdżące „oskarżam” profesora Marcina Króla w tygodniku „Wprost”. Książka zapewne wymaga podejścia krytycznego i takie fragmenty w tekście profesora Króla da się nawet odnaleźć. Ale tekst jest w dużej mierze bezpardonowym atakiem na autora, jego intencje, niskie motywacje...

Marcin Król pisze: „Ojczyznę moją i ojczyznę setek tysięcy Polaków, czyli dawny »Tygodnik Powszechny« i jego środowisko (mowa o latach 1945–2005), Graczyk chce zniszczyć, mam wrażenie, że po to, by sprawić sobie przyjemność”. Eeee... psorze, nie da się zniszczyć żadną książką tego „Tygodnikowego” kolosa, ojczyzny naszej i matczyzny... Ale dlaczego podejrzewać Romana Graczyka o takie podłości i małości? Może po prostu nie umiał się zmierzyć z własną tezą? Ale może chciał to zrobić z najlepszą wolą? I albo to było niemożliwe (optuję za tą wersją), albo nie umiał? Jeśli Marcin Król strzela z zolowską zapalczywością do Graczyka bombami atakującymi go osobiście, to ja tylko powiem, że domniemywam niewinność autora, którego poglądów nie podzielam. I że tego się nauczyłem właśnie z „Tygodnika”. I od Haliny Bortnowskiej chociażby. „Tygodnik” nie Titanic, książka Graczyka nie żadna góra lodowa, IPN nie żadna Akademia Francuska. Ale od profesorskich, królewskich łajpów lodowaty dreszcz idzie po plecach...

Bronimy prawa do pisania nawet niedobrych książek. A poza tym kto broni pisać dobre? A z komiksem chopinowskim – jeszcze śmieszniej, jeszcze groźniej. Nasz watażkowy minister spraw zagranicznych zabulgotał na temat obecności wulgaryzmów w komiksie o Chopinie (ciekaw jestem obcowania ministra z „Etiudą rewolucyjną”... He, he, komiks mógłby się schować ze swoimi wulgaryzmami po reakcji na sam tytuł utworu). I chciał nakład komiksu (z dotacji MSZ wydanego) przemielić, a urzędnika odpowiedzialnego za wydanie książki wylać. Dawać nam tu nazwisko urzędnika, jest nadzieja na sensownego, myślącego, samodzielnego szefa MSZ. No bo obecny, niestety, żadnej z powyższych cnót nie reprezentuje. Ale, co gorsza, może dlatego właśnie reprezentuje RP, zamiast prezentować broń!

NIE TAK: JANEK KOZA



Autor: Jerzy Buczek

## JOLKA NR 9

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

F5 J8 H10 G4 B5 B10 J7 A8 H1 B6 F2 C11 C6 I9 I1 K6 B4 D8 J3 G11 D12  
I7 C2 C12 C4 D7 E11 J10 E12 A9 I5 K9 K11 C9 A2 K4.

### Wyrazy 10-literowe:

- PANIE Z USZAMI DOOKOŁA SKALI
- CZYTANE PRZED PRZYJĘCIEM

### Wyrazy 9-literowe:

- SŁOŃCE NA FORUM
- POŚREDNIK, POŚREDNIK, POŚREDNIK...

### Wyrazy 7-literowe:

- GADANIE DO KOMPLETU
- MUROWANY KANDYDAT DO TAŃCA W PIWNICY

### Wyrazy 6-literowe:

- JEST SIĘ CZEGO TRZYMAĆ
- NIE WYŚCIUBIAŁ NOSA SPOD BALKONU
- WSPOMINAŁ WOJSKO
- NAJPIĘKNIEJSZY W HERBACIE
- ZA TRAKTORY SIĘ WEZMĄ WE WTOREK
- SZKIELETY NA GADZĘTY
- CESARSKIE PODEJŚCIE DO BUDŻETU

### Wyrazy 5-literowe:

- NIEKTÓRE PROWADZĄ DO ASNYKA



- TYGRYSI DODATEK DO BILECIKA
- MINUS NA MINUS, PLUS NA PLUS
- MIESZKAĆ CZY WYSTARTOWAĆ?

### Wyrazy 4-literowe:

- SIENIEPRZEŚLIŻGIWACZKA KOŚCIELNA

- CO NOC MĄDRZEJSZE
- USTAWIA SZAFIE CHOREOGRAFIĘ
- KLEI SIĘ DO RĄK GRZYBIARZOWI
- CO W REFERACIE PISZCZY
- GRUBE CIOSY

## ROZWIĄZANIA Z NR. 7

### Krzyżówka: ROZSTANIA

Poziomo: 1. CHŁOP AK – KONSPIRATOR 7. PRAWANNA – BALIA 8. RYK MAŁEGO LWA – PŁACZ 9. WYDANY AMERYKANOM – CENT 10. KÓLBUTY – WROTKI 12. WOLI KONIA – KOBYLA 14. KRÓL CHLEW – KNUR 17. WYWOŁUJE WILKA Z LASU – WABIK 18. RZECZPOSPOLITA PODZIEMNA – RZĘPA 19. GRUBA RYBA Z OŚCIĄ – ZNAKOMITOŚĆ

Pionowo: 2. RAJ STÓP – NYLON 3. GADA OBOK – PŁAZ 4. MNIEJSZOŚCI W KINIE – RAPORT 5. PODNOSIŁ SŁOWA – TOAST 6. DOMOLKA – ROZBIÓRKA 7. JEDZIE KAPUSTA – BECKKOWOZ 11. CO TY

PLECIESZ – WŁÓKNO 13. KOBIETA W FORMIE – BABKA 15. GRAND PRIX W TOUR DE LA VIE – NIEBO 16. STRZELAJĄ Z ŁUKU – BRWI

Jolka: LUSTER SZKLANE TAJEMNICE (piosenka z repertuaru Krystyny Giżowskiej)

Rzędami: SZABELKA, WĘCH, FALSYFIKAT, ŻŁEB, SKAZANI, KOCE, IKSY, ALTANKA, KARL, TELEWIZORY, STER, ROSJANKA

Kolumnami: KOKOSZ, ZIARNO, CARTER, BESTSELLER, ŁUFKA, NAWIS, WAŻNIACZKA, MĘTLIK, SKOREK, CHABRY

## LAUREACI Z NR. 6

### Krzyżówka:

Zofia Grzebińska, Łany; Anna Miziewicz, Gorzów Wlkp.; Jan Prochyma, Warszawa; Tadeusz Stefaniak, Wrocław; Zbigniew Tarczyński, Bolesławiec

### Jolka:

Elżbieta Czyż, Wrocław; Danuta i Leon Jasowiczowie, Gorzów Wlkp.; Danuta Morawska, Gorzów Wlkp.; Maria Szymczak, Sieradz; Karolina Wierzbowska, Warszawa



## 127 godzin (dramat przewencyjny, wersja skrócona)

Występuje LEKKOMYŚLNY TURYSTA

Plener PUSTKOWIE. PRZYRODA

### LEKKOMYŚLNY TURYSTA:

– Oto wskutek niefrasobliwości wpadłem w skalną rozpadlinę. Wielki głaz przytrzymał mi rękę. Na pomoc nie ma żadnych szans. (Spoglądając na zegarek; po pauzie) Aby oszczędzić państwu niepotrzebnych nerwów, a sobie wielu cierpień natury psychofizycznej, w tym zębnych efektów odwodnienia & wyniszczających halucynacji, bez zwłoki odetnę sobie rękę, a zakrawiony kikot okażę młodzieży w celach pedagogicznych. Do dzieła! Odcina. Okazuje.

KURTYNA opada zemdlona.

## JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

# Lody zimą? Pycha

Było o wizytach, jak się w międzyczasie dowiedziałem, to ciasteczka, które mają stuletnią historię, a pewnie i kolejne 300 lat trwać będą, bo pyszne. Odkrywcą dla mnie ich tajemnicy obiecałem przepis na lody czekoladowe ze śliwką. Miałem nadzieję, że przyjdzie mi o nich pisać w słońcu... I tak jest w istocie. Wprawdzie za oknem -13, ale promyczki na niebie cudowne. Oto zatem przepis: Ubijamy trzy żółtka, które pozostały nam z jajek potrzebnych do zrobienia wizytok, z 30 gramami cukru na kogel-mogel. Mleko (150 ml) i śmietanę 36 (150 ml) wlewamy do rondelka, dodajemy 50 gramów

cukru i mieszając, doprowadzamy do wrzenia. Wrzące mleko ze śmietaną wlewamy do kogla-mogla, cały czas mieszając. Przelewamy wszystko z powrotem do rondelka, znowu podgrzewamy na małym ogniu, mieszając drewnianą łyżką, aż krem będzie oblepiał drewno. Zdejmujemy z ognia, dodajemy pokrojoną na kawałki czekoladę (100 gramów gorzkiej) i mieszamy trzepaczką, aż się rozpuści. Wtedy wrzucamy do rondelka 120 gramów śliwek wędzerek lub – jeśli nie ich czas – kalifornijskich. Nadto 10 gramów suszonej węgierki pokrojonej w wąskie paseczki. Wszystko to blenderujemy w mikserze, później wlewamy



do formy i wkładamy do zamrażarki na dwie godziny. Po nich nastaje w naszym domu gorące lato. Lodów tych, jak wszystkich innych, nauczył mnie mój brat Piotr Gessler, lodowy mistrz nad mistrzami. Nikt nie potrafił tak jak on zestawić smaku mrożonych kulek. Kiedy otworzyliśmy naszą pierwszą lodziarnię w końcu lat 80. ubiegłego wieku, odwiedził Polskę nestor włoskich cukierników Antonio Rubieri. Spróbował wszystkich – wówczas 32 – smaków lodów zrobionych przez Piotra. Na koniec powiedział, że są lepsze niż moje. Tak zostało do dziś. Wszystko, co robi Piotr, jest lepsze niż moje.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

## BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER



„CHOLERA. TO BĘDZIE JAK SZUKANIE JEDNEGO CZERNIEKA NA MILIONOWYM MIEŚCIE”

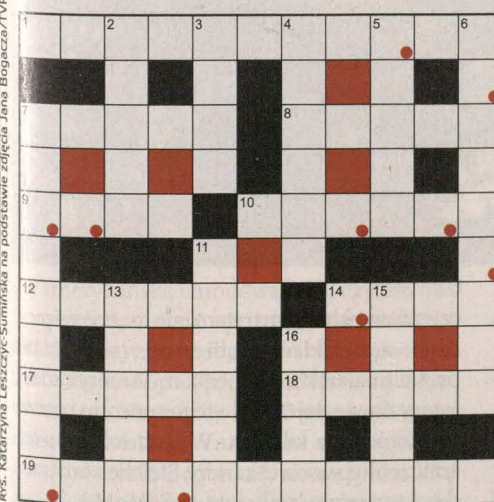
MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Taniec na linie powinien być solowy.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

## KRZYŻÓWKA NR 9

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

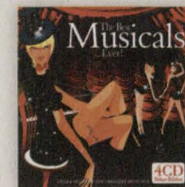


### POZIOMO:

1. CZERWONY KAPTUREK
7. SŁODKI WALCZYK
8. SZYBKO POZWAŁA UDAĆ SIĘ NA STRONĘ
9. WZYWA DO ODPOWIEDZI
10. KROKI W TAŃCU
12. PRZECIEŻ POMIDOROWY
14. GAD SSAK
17. NA STANIE W PKP
18. CZĘŚĆ AERO PLANU
19. DUMA DO CZUCIA

### PIONOWO:

2. KRZYŻÓWKĘ „PRZEKROJU” ROZWIĄŻ
3. STARA SUKA
4. PASEK W SPODNIACH
5. NA KRÓLEWSKIEJ ŁAWCE
6. ŚRODEK KOMUNIKACJI
7. ZZA WÓD REPORTERA
11. ROZPOCZYNY WIECZORKIEM
13. W ANGLII ZŁOTY, W ROSJI BIAŁY
15. PIĄTY PALEC
16. RUDA ŻELAZA



Nagrodą w tym tygodniu jest płyta „The Best Musicals Ever!” (EMI Music Poland)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 7 marca 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



# Talent w służbie prasy

Gwiazda amerykańskiej bohemy przechodzi na ciemną, komercyjną stronę mocy. Opowieść o EDWARDZIE STEICHENIE

KUBA DĄBROWSKI

**N**owy Jork, 1911 rok. Edward Steichen jest jedną z centralnych postaci rodzącej się amerykańskiej awangardy. Zajmuje się fotografią, malarstwem i próbami ich łączenia. Razem z Alfredem Stieglitzem prowadzi galerię 291, gdzie jako pierwsi w USA wystawiają się ferment artystów z Europy: Henrie Matisse'a i Paula Cézanne'a.

Kiedy Steichen dostaje z francuskiego pisma „Art et Décoration” propozycję sfotografowania sukien autorstwa Paula Poireta zwanego wtedy „Picassem krawiectwa”, nie zastanawia się długo. Ma to być pierwszy w historii mariaż mody i fotografii artystycznej. Podczas sesji powstają piękne rozmyte kadry, modelki w swoich pozach przypominają postacie z klasycznych obrazów: czeszą sobie włosy, romantycznie patrzą w dal. Wszyscy są zadowoleni.

Wybuch I wojny światowej przerywa idylę. Steichen idzie do wojska, gdzie dowodzi fotografami z Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych. Jednocześnie myśli o sztuce. Po powrocie do Ameryki jest już innym artystą. Twierdzi, że fotografia nie powinna ścigać się z malarstwem, ale po prostu „robić swoje”, czyli opisywać rzeczywistość. Steichen zaczyna fotografować proste martwe natury i uliczne widoki. Wielbiąc go dotąd bohema jest wstrząśnięta, odrzuca jego nowe podejście jako „przemysłowe” i nieartystyczne.

Uznanie przychodzi z innej strony. Na początku 1923 roku dom wydawniczy Condé Nast, wydawca między innymi „Vogue'a”, proponuje Steichenowi umowę – artysta ma zostać głównym fotografem jego pism. Pieniądze są gigantyczne, mówi się, że to najbardziej lukratywny fotograficzny kontrakt na świecie. Steichen przystaje na propozycję i... w jednej chwili środowisko skazuje go na infamię. Zostaje pierwszym fotografem zawieszonym między światem sztuki i komercji. Robi zdjęcia gwiazdom niemego kina i sportu, fotografuje kolekcje mody i polityków. Jego kadry są ostre i eleganckie, nie ma w nich miejsca na „artystyczną mgiełkę”.

W 1924 roku fotografuje Glorię Swanson. Gwiazda niemego kina jest typową postacią nowych czasów, znaną z bywania na przyję-



ciach i noszenia fantastycznych kreacji w tym samym stopniu co z aktorskich dokonań. Studyjna sesja trwa cały dzień, wieczorem zmęczona aktorka łapie koronkową woalkę i zaczyna się nią wachlować. Fotograf każe jej zastygnąć w tej pozycji. Powstaje kadr, który staje się symbolem epoki. Zdjęcie jest czymś wię-

cej niż zwykłym portretem, ale to „coś więcej” dzieje się dzięki fotografii samej w sobie, a nie pseudomalarskim sztuczkom. Amerykańscy fotografowie dojrzejeli do tego sposobu patrzenia dopiero za kilka lat. W 1947 roku, po zakończeniu prasowej kariery, Steichen zostanie dyrektorem wydziału fotografii MoMA. •



*Michał Paweł Markowski postanowił rytualne cierpienie zażegnać w taki sposób, w jaki czyniła to i czyni co najmniej połowa ludzkości – postanowił mianowicie coś zjeść*

15 LUTEGO

Więści, jakoby Michał Paweł Markowski przed straszliwą zemstą, jaką nań Antek Libera szykuje, zbiegł do Ameryki, zdają mi się przesadne. Afera pomiędzy gigantami zdarzyła się dawno; pewnie, że kto pamięta, ten pamięta, ale głośne ryki ucichły, wiadome wydarzenia na literaturze bieżącej odcisnęły się tak płytko, że chyba śladu już po nich nie ma.

Chyba. Chyba, bo jakieś dziwności, jakieś osobliwości, jakieś przesłanki wciąż się pokazują – a jak się je nie tylko konstatuje, nie tylko odnotowuje, ale wręcz interpretuje, widać sprawy różne, a nawet wielce różne.

Oto przykład nader wymowny: znękaną amerykańską samotnością i któż wie, jakimi jeszcze kontynentalnymi udrękami Michał Paweł Markowski postanowił rytualne cierpienie zażegnać w taki sposób, w jaki czyniła to i czyni co najmniej połowa ludzkości – postanowił mianowicie coś zjeść.

Ach, oczywiście nie zaznajomiłem się z tą prostą, a w istocie głęboką metodą drogą słuchania jakiejś przepastnej prelekcji autora najpierw o pieczeniu, a potem konsumowaniu bułek; w bezpośredniej rozmowie również nie było podobnego wątku; ja w ogóle nigdy za długo w życiu z autorem „Występu” nie rozmawiałem, a już o smakach czy innych mniej lub bardziej zakrytych ochotach – szkoda gadać. Wiedzę o amerykańskich fajerkach – niekoniecznie zresztą kulinarnych – biorę z drukowanych w „Tygodniku Powszechnym” szkiców i tyle. A może aż tyle.

16 LUTEGO

W ostatnim, a może wręcz w przedostatnim numerze czytam o propedeutyce posilania się amerykańską narodową bułą, czytam mianowicie o kunszcie wysiadania (w istocie wyskakiwania) z metra: „Wyskakuję z pociągu. Jakby się ktoś pytał, jak się podejmuje decyzję, to właśnie tak: jedziesz do Damen, ale wysiadasz na Division, rozum mówi, że posprzątać, kota nakarmić, pogłaskać, ale wszystko inne (co?) każe ci wyskakiwać w popłochu, żeby

cię drzwi nie przytrzasnęły. Niby trywialna jazda pociągiem, ale jednak nie bardzo. Więc Division, a jak Division, to co? To oczywiście The Boundary, oficjalny bar mistrzów hokejowej ligi NHL za rok ubiegły, chicagowskich Blackhawks. Mój ulubiony bar sportowy. Kiedy nadchodzi czas »gry«, to nie można znaleźć miejsca, ale dzisiaj nie gra NFL, dzisiaj nie gra NHL, dzisiaj gra tylko NBA i to nie całkiem, bo Byki grają na wyjeździe z Seventy Sixers z Philadelphii, i to w rezerwowym składzie.

Mam ulubiony stolik w The Boundary (na prawo do przejścia i po lewej), z którego gapię się na sześć wielkich telewizorów nad barem: po kolei hokej, futbol, koszykówka i znowu hokej, futbol, koszykówka. Pomiedzy nimi mój burger: wysmażony jak trzeba, z grzybami (ale nie z jakimiś pieczarkami, nie myślcie, z grzybami!), bekonem, gorgonzolą, piklami, pomidorami i karmelizowaną cebulą. Takiego sobie skomponowałem, bo się komponuje, jak się chce, People's Choice, a nie dostaje jeden z karty, wyrok ostateczny Sądu Kulinarnego bez odwołania. Burger jak trzeba, naprawdę, i nie kelnerka go przynosi, tylko facet z kuchni. Na dodatek sam adams lany, idealny do hamburgera: słodkawy, niefiltrowany, w kolorze ciemnego bursztynu, mętawy, korzenny. A na ekranach oczywiście żadnej piłki nożnej, ręcznej, żadnego golfa, pływania, strzelania do rzutków, nawet żadnego baseballa, co oczywiście: jest zima”.

Zima zimą, ale szczegółowa receptura i skład „zamówionego” przez eseistę dania może wzniecać rozmaite kompleksy, a nawet rozczarowania. Pamiętam, jak pierwszy raz w życiu przeczytałem kilka strzelistych akapitów o truflach. Domyślałem się, że smak – pomimo narkotycznego opisu z uwzględnieniem sybarytyzmu, figlarności i perfekcji – może budzić element grozy. Autorem pochwał był Zbigniew Herbert i to musiało wystarczyć. Moje plebejskie podniebienie twarde, ale w obliczu niektórych esejów miękkie. Swoją drogą, widzę w tych składnikach (Markowskiego burgera) jakąś skończoność, a też

zgode – we wszystkich znaczeniach tego słowa – zgodę na wszystko. Nie dziwota, w końcu do zgody, do świętej zgody was, panowie konserwatyści, nawołuję. Może nawet nie bez elementu apodyktyczności wzywam i przywołuję.

17 LUTEGO

„Nie chciałbym – pisze dalej Markowski – tu, w barze The Boundary, przeprowadzać granicy między Europą a Ameryką [w sumie dlaczego nie? – jp], nie chciałbym też przy zwykłym burgerze [z opisu wynika, że był niezwykle – jp] przywoływać Freuda nauk o perwersji [nauki te należy zawsze przypominać – jp], ale jednak chyba dlatego wolę soccer: że nie trzeba się jak najszybciej pozbywać tego, co się naprawdę lubi. Ale co zrobić, piłki nożnej tu nie szanują (może dlatego, że jest to jedyna z gier zespołowych, w której się używa nóg do rzucańca piłeczką, jakby cywilizacja nie kazała człowiekowi rąk używać!)”.

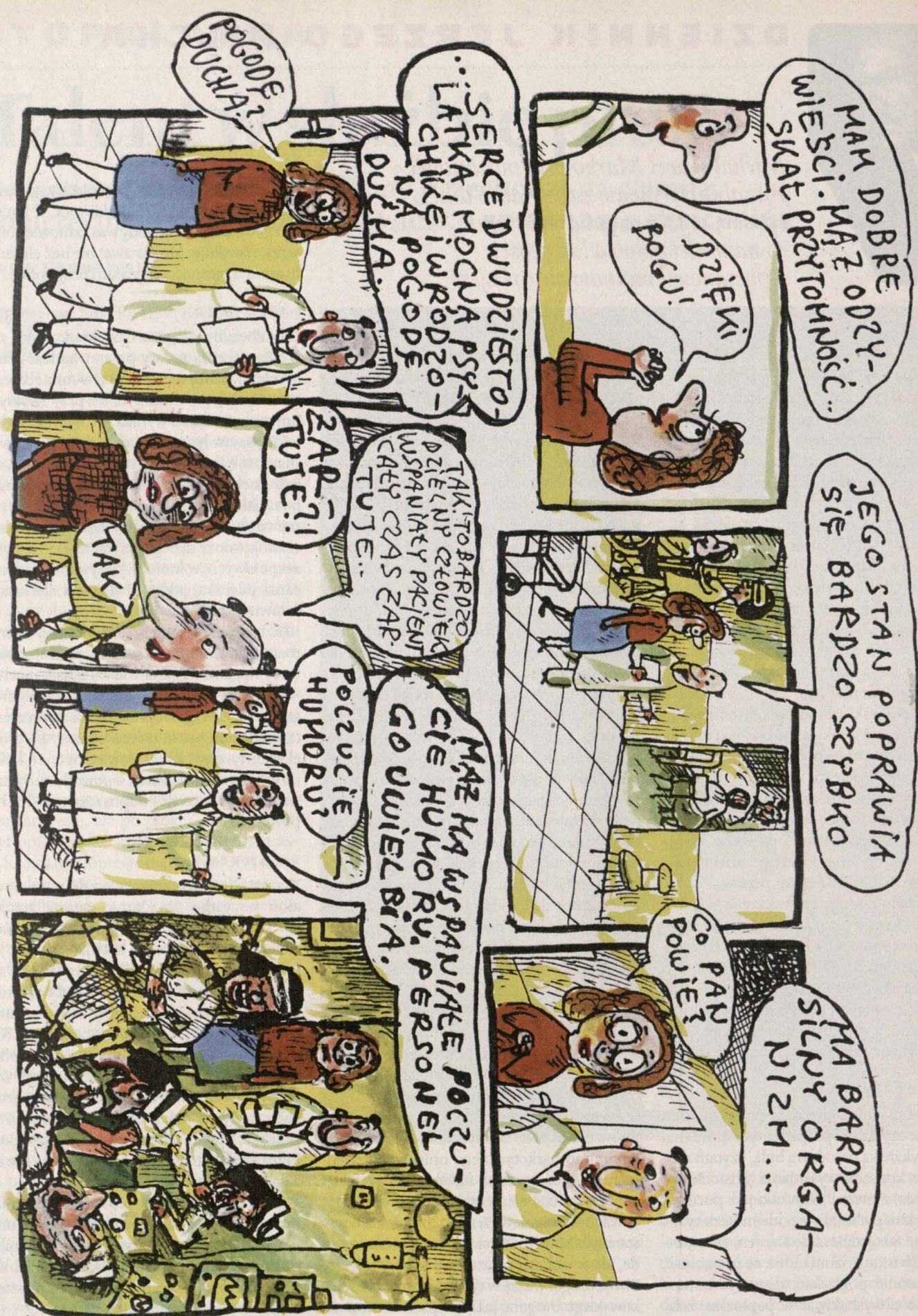
Faktycznie. W Ameryce byłem raz, ilekroć rozmowa schodziła na soccera, moi interlokutorzy nogami wzgardliwie zaczynali machać – owszem, na ogół używałem języka migowego, ale nie do tego stopnia. Pod każdym zresztą względem był to nierealistyczny i wysoce ekscentryczny pobyt. Powiedzieć, że kolejne wyprawy – zwłaszcza z powodu tubylczej wzdury do soccera – odpuszczam, to nic nie powiedzieć.

18 LUTEGO

Wszystko praktycznie wyleciało mi z głowy albo wszystko świadomie zatarte zostało i w kontekście tamtych wydarzeń nie mam zielonego pojęcia, czy w USA jada się tak, jak to Markowski przedstawił, czy też jada się milion razy odmiennie. Bo to, że nad burgerem z piklami unosi się finezyjny zapach z arcy-subtelną cmentarną nutą, jest oczywiste. Nieublagane, niby skromne, ale w istocie przebogate ostatnie życzenie skazańca już wisi w powietrzu? Antoś L. po wieloletnich rozterkach ruszył jednak w drogę? Przez śniegi się przebiję, a przez rozmaite imprezy sportowe? Przez sport sam w sobie? „Cywilizacja nie kazała człowiekowi nóg używać!”.

Ależ kazała, tyle że w prostych i elementarnych celach. Bóg dał człowiekowi ręce, by nimi pracował, i nogi, by – ma się rozumieć tylko na boisku – cuda nimi wyprawiał. Dokładniej: Bóg dał człowiekowi nogi, nad ich kunsztem ludzkość pracować musi już sama. •



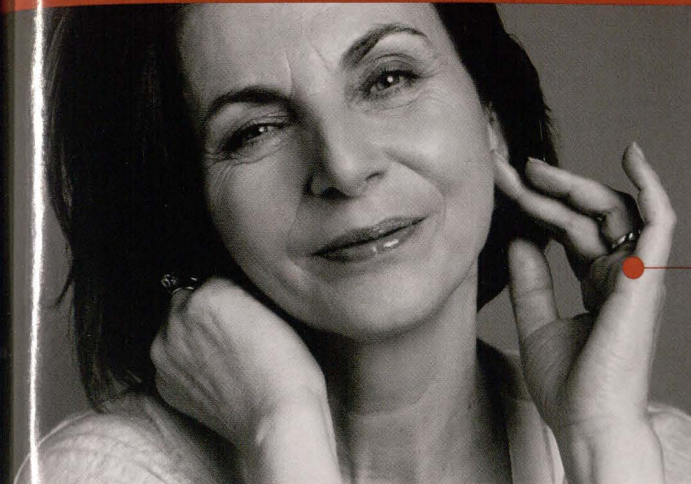


R A Z J E S Z C Z E R A C Z K O W S K I

# NAJLEPSZE STRONY sukcesu



**ZNANE POLKI**  
bez Photoshopa



**DRAGONI BIZNESU**  
pomogą zdobyć pierwszy milion



**PASJE**, w których topią fortuny polscy biznesmeni



**EDYTA GÓRNIAK**  
tylko „Sukcesowi” mówi o decyzjach, których nie żałuje



Sukces możesz kupić... w kioskach i salonach prasowych





## Škoda Octavia

# ŻYCIE OFERUJE WIELE, A TY DOBRZE WYBIERASZ

Nieprzebrany zbiór ludzkich doznań. Życie. Nie sposób doświadczyć wszystkiego. Trzeba wybierać. Na szczęście Ty wiesz, co dobre. Dlatego wybierasz tak, aby nie rezygnować z niczego.

ŠkodaKredyt

[www.skoda-auto.pl](http://www.skoda-auto.pl)

